

Jak słowem nabruździć → 22

Zapytaj piekarza o kryzys → 26

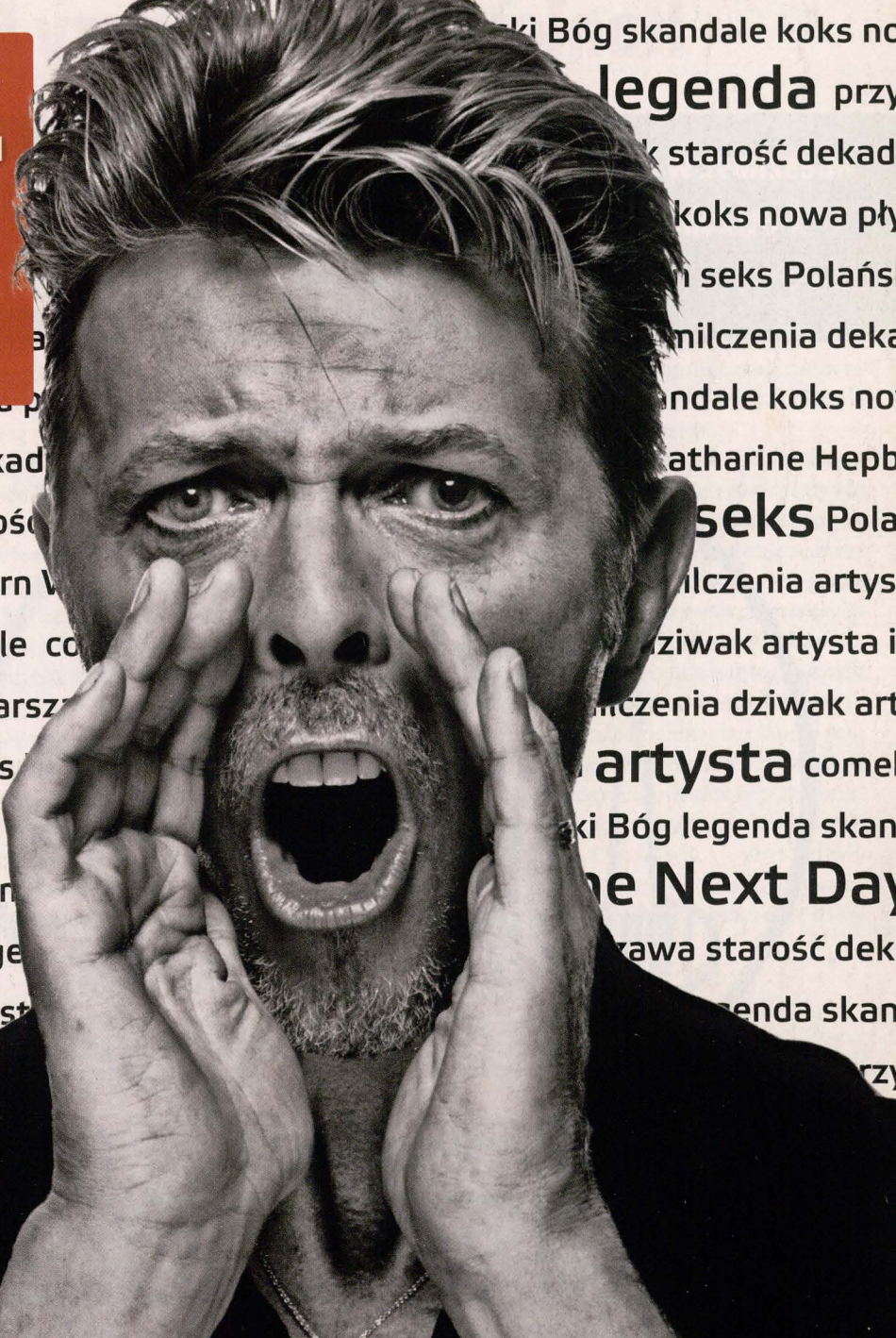
Polskie gejsze w sieci → 46

legenda skandale koks nowa płyta Warszawa comeback starość dekada milczenia dziw

PRZE KROJ

legenda skandale koks nowa płyta Warszawa comeback starość dekada milczenia dziw

nr 9 (3528), 4 marca 2013, cena: 3,99 zł (w tym 8% VAT)
www.przekroj.pl



Warszawa ikona comeback dekada milczenia dziw
comeback starość dekada milczenia dziw
skandale Katharine Hepburn artysta
przyjaźń seks Bóg ikona skandale comeback
nowa płyta Warszawa comeback starość dekada milczenia dziw
przyjaźń seks Polański Bóg seks comeback
dekada milczenia ikona
Warszawa seks comeback
przyjaźń seks Polański Bóg legenda skandale
Katharine Hepburn artysta
nowa płyta Warszawa comeback starość dekada milczenia dziw
koks Bóg legenda skandale comeback
dziwaczka
Warszawa comeback
skandale

David Bowie

→ 6

INDEXS
371424
ISSN 0033-2488
09

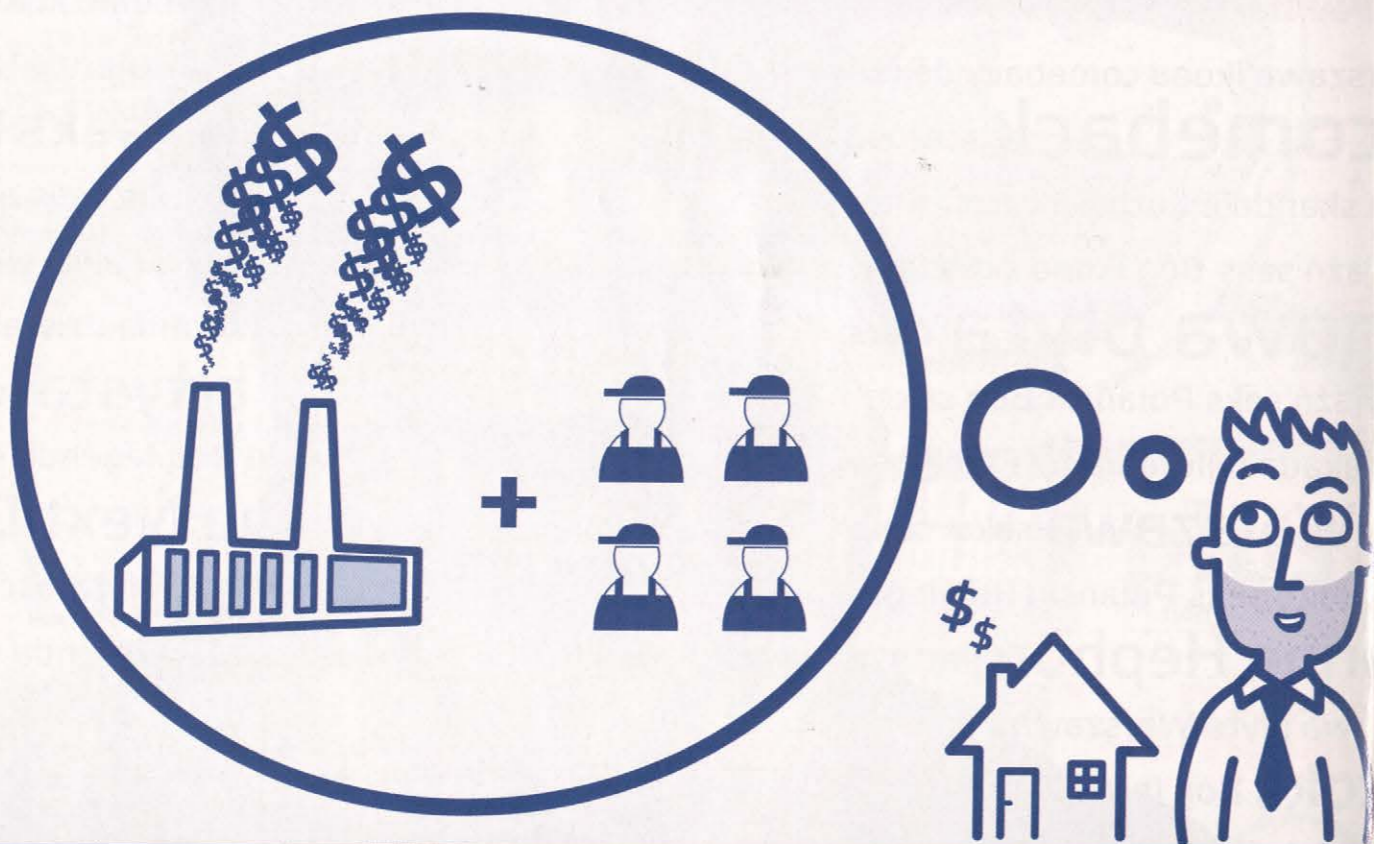
Przekrój" ukazuje się od 1945 roku

Konkurs na najlepszy Biznes Plan

Mieszkasz w miejscowości do 50 tys. mieszkańców, jesteś przedsiębiorczy i masz 20-35 lat?

Potrzebujesz funduszy na rozwinięcie swoich pomysłów, chcesz być własnym szefem?

Stwórz własny biznes i wygraj **50 000 zł**



www.rp.pl/malybiznes

Bank Pocztowy

RZECZPOSPOLITA

ATKearney

IBS
Instytut Badań Strukturalnych

LEWIATAN

NZA

Studenckie Forum
Business Centre Club

PARKIET

PRZE
KROJ

PRZE KROJ

W tym tygodniu
nie piszemy...

...o odlocie posła Platformy Obywatelskiej na Facebooku. Piotr van der Coghren wrzucił na swój profil zdjęcie nagich kobiecych piersi i opatrzył je komentarzem: „Jeszcze wiele szczytów nas czeka”. Na przykład: szczyt wszystkiego i szczyt głupoty.

...o tym, że poseł PiS Jacek Brudziński nazwał Lecha Wałęsę „wydepilowanym starszym panem”. Włos nam się wzięty, na głowie i wszędzie.

...o zamknięciu serwisu Tar-sjusz.pl, który umożliwiał studentom komentowanie pracy wykładowców oraz wymianę informacji o prowadzonych przez nich zajęciach. Powód? Skargi i zastraszania. Prawda w oczy kole. Szczególnie te profesorskie.

...o Wielkiej Wodzie. Amerykanie składają masowo pozwy przeciwko koncernowi piwowarskim „made in USA”. Byli pracownicy fabryk produkujących m.in. słynne piwo „na B” twierdzą, że trunek dla amerykańskich twardzieli jest rozcieńczany wodą. My zawsze wiedzieliśmy, że Słowianie najlepiej radzą sobie z chmielem.

...o nazynostalgii. Na niektórych mapach Polski, dostępnych w Niemczech, nadal widnieją nazystowskie nazwy. Można się z nich dowiedzieć na przykład, że Wartheland wciąż istnieje i ma się dobrze. Partnerami wydawcy są LOT i Polska Organizacja Turystyczna – ci z kolei mają się coraz gorzej.

...o tym, że do rady nadzorczej Aeroflotu została zgłoszona kandydatura 1,5-letniego dziecka. To syn Siergieja Aleksaszenki, szefa banku, który również znalazł się na liście szczęśliwców. Nie ma już na niej z kolei znanego rosyjskiego opozycjonisty Aleksieja Nawalnego. Zakończaj się w Moskwie.



ZUZANNA ZIOMECKA

Każdy może być nosicielem bruzdy. Ja miałam zapachową. Kiedy chodziłam w Stanach do podstawówki, zapach smażonych przez babcię potraw ciągnął się za mną aż do szkoły, gdzie nosiłam ksywę Oily Suzy, i przez cztery lata odgradzał mnie skutecznie od reszty dzieci. Socjolog Adam Ostolski opowiada „Przekrojowi” (str. 22), jak działa mechanizm stygmatyzacji i czemu służy. Wniosek nasuwa mi się taki, że każdy taką bruzdę może mieć, więc z przylepianiem jej dzieciakom lepiej się nie spieszyć. One i tak mają pod górkę, bez względu na to, jak zostały poczęte. Wychowują się coraz częściej w niepełnych rodzinach, uczą się w przepełnionych klasach, leczą (lub próbują) w przychodniach państwowych, a w przyszłości będą miały ogromną populację emerytów do utrzymania. Dajmy im więc spokój! Lepiej się zastanówmy, jak i z czego będą żyć, gdy dorosną, bo pomysły, które podsuwa współczesność, bywają naprawdę zaskakujące (patrz: tekst o gejszach internetowych, str. 46). Sytuacja na rynku w przewrotny sposób daje znaki ostrzegawcze (str. 26), a w happy endy wierzą tylko fani Dynamo (str. 38) i Marysia Sadowska (str. 68). Oby mieli rację.



MARCIN PROKOP

Cholernie się cieszę, że David Bowie po dekadzie milczenia wydaje nową, studyjną płytę (str. 6). Z paru powodów. Po pierwsze, bo uwielbiam tę postać, nie tylko za muzykę. Po drugie, bo bez niej nie wyobrażam sobie istnienia połowy moich ulubionych wykonawców, od The Smiths po Suede. Po trzecie, bo pogłoski o jego artystycznej śmierci oraz zapowiedzi definitywnego końca kariery okazały się grubo przesadzone. Najbardziej cieszy mnie jednak fakt, że Bowie po 46 latach kariery wydaje się nareszcie właściwie doceniany przez Polaków. I to nie przez rockowych kombatantów z sentymentem polerujących stare winyle, tylko w gronie scyfryzowanych dwudziestoparolatków, którzy dopiero budują panteon swoich muzycznych bogów. Dla większości przedstawicieli poprzedniego pokolenia nadwiślańskich fanów rock'n'rolla, celebrytujących uwielbienie dla oczywistych klasyków w stylu Beatlesów, Stonesów czy Zeppelinów, David Bowie zawsze był jak lektura szkolna – szanowany, ale nie kochany. Doceniany, ale zbyt dziwny i niejednoznaczny, żeby katować w kółko jego numery na prywatkach naszych starych. Jak dobrze, że to się zmieniło. Lepiej późno niż wcale.

RACZKOWSKI



AKTUALNOŚCI

- 6 → **BOHATER TYGODNIA - DAVID BOWIE**
Czego nie wiecie o Davidzie O artyście, który wydał nową płytę po dekadzie milczenia, pisze Katarzyna Nowakowska
- 20 → **ŚWIAT J-Law: narodziny gwiazdy** Skutki potknięcia Jennifer Lawrence przedstawia Jan Mirosław

GRUBE SPRAWY

- 22 → **SPOŁECZEŃSTWO** Stygmaty wykluczenia
Dzieci z in vitro - od bruzdy do koźła ofiarnego.
Z Adamem Ostolskim rozmawia Katarzyna Czarnecka
- 26 → **RYNEK** Zapytaj piekarza o kryzys
Co znaczy większa sprzedaż chleba i szminek, tłumaczy Grażyna Raszewska i Grzegorz Siemionczyk
- 30 → **KOBIECOŚĆ** Baby, ach, te baby! Dlaczego krzyczą
CHÓR KOBIET? Odpowiada Mike Urbaniak
- 34 → **SPOŁECZEŃSTWO** Macewa jak zwierciadło O powrocie na cmentarze „macew codziennego użytku” z Łukaszem Baksikiem rozmawia Katarzyna Czarnecka
- 38 → **ZAGADKI** Magiczna nawijka O Dynamo - iluzjonście nowej generacji, opowiada Karolina Sulej
- 42 → **KUCHNIA I POLITYKA** Kucharka rewolucji
Czy Ghalie Mahmoud, arabską Nigellę Lawson, czekają kłopoty? Pyta z Kairu Jerzy Ziemacki
- 46 → **OBYCZAJE** Nie rozłączaj się, kotku Wideomodelki czy wideoprostytutki? Zastanawia się Jerzy Ziemacki

KULTURA

- 50 → **BERLIN** Rzuć kamieniem, trafisz Polaka Jak polskim artystom mieszkało się w Berlinie, dowiedział się Jacek Tomczuk

- 54 → **WYSTAWA** Z archiwum T. O Stefanie i Franciszce Themersonach opowiada Jasia Reichardt. Wystuchała Martyna Sztaba
- 58 → **TEATR** Czułe zwierzę - Nawiązałam kontakt z muchą - mówi Adamowi Radeckiemu aktorka Renate Jett
- 62 → **SZTUKA** Niedzielny konceptualista Janusz Łukowicz specjalizuje się w robieniu rzeczy bezcelowych, nieużytecznych i nonsensownych. Dlaczego? Odpowiada Stach Szabłowski
- 68 → **RECENZJE FILMOWE** Babski western w spożywczaku Marysia Sadowska opowiada Zuzannie Ziomeckiej o swoim filmie „Dzień kobiet”
- 70 → **RECENZJE MUZYCZNE**
- 71 → **RECENZJE LITERACKIE**

ROZMAITOŚCI

- 72 → **GRY** Niech moc newsa będzie z Tobą Jak grać w wiadomości? Instruuje Anna Przybył
- 75 → **PO-PATRZ** Nagość w Prowansji Willy'ego Rolisa wspomina Kuba Dąbrowski
- 76 → **DESIGN** Lanie wody wyszło z mody I co na to designerzy? Zdradza Wanda Modzelewska
- 78 → **PIERWSZA PRACA** Magdalena Różczka śpiąca na sali rozpraw Rozmawiają Bartosiak & Klinke
- 78 → **WINA** Winiarstwo w Italii jest na skraju przepaści Diagnostuje Wojciech Bońkowski

FELIETONY

- 15 → **RAFAŁ NOWAKOWSKI** GOŚCINNIE
Lunatykowanie w pościeli
- 66 → **MACIEJ NOWAK** Wagina narodowa

PRZEKROJ

ADRES REDAKCJI
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa,
22 463 03 00, www.przekroj.pl,
e-mail: doredakcji@przekroj.pl

Redaktorzy naczelni:
Zuzanna Ziomecka
Marcin Prokop

Zastępcy redaktorów naczelnych:
Hanna Rydlewska
Monika Brzywczy
(redaktor działu Kultury)

Redaktor działu Grube Sprawy:
Anna Gwozdowska

Redaktor:
Grzegorz Sobaszek

Sekretarz redakcji:
Katarzyna Czarnecka

Współpracownicy:
Wojciech Bońkowski, Max Cępielski,
Kuba Dąbrowski, Aga Kozak,
Angelika Kucińska, Wojciech
Mikołuszko, Katarzyna Nowakowska,
Cezary Polak, Marek Raczkowski,
Marianna Saska, Karolina Sulej,
Stach Szabłowski, Mike Urbaniak,
Jerzy Ziemacki

Projekt graficzny:
Magdalena Piwowar

Pracownia graficzna:
Andrzej Figatowski

Fotoedycja:
foto@przekroj.pl,
Dorota Majka-Czarnocka

Korekta: Dominika Stepien,
Agnieszka Ujma

Strona internetowa: KRCMedia.pl

Wydawca: GREMI MEDIA Sp. z o.o.
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa

Promocja i marketing:
Cezary Piernikowski - p.o. Dyrektora
Marketingu i Rozwoju, Paulina Bierska
(p.bierska@rp.pl)

Biuro Reklamy i Ogłoszeń:
GREMI MEDIA Sp. z o.o.
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa;
tel. 22 629 86 14; 22 621 48 69;
fax. 22 621 46 58; 22 625 61 57;
reklamainfo@presspublica.pl

**Dyrektor Biura Sprzedaży
Korporacyjnej** Witold Trzciniński
tel. 22 463 05 53

**Dyrektor Działu Agencyjnego
i Magazynów** Filip Weichert
tel. 22 463 01 88



PRENUMERATA TYGODNIKA „PRZEKROJ”
Prenumerata redakcyjna:
Cena prenumeraty 2013 r.:
Roczna: 175 zł, kwartalna: 46,80 zł
Zamówienie na prenumeratę należy
składać e-mailem:
prenumerata@przekroj.pl
Dodatkowe informacje
tel. 800 120 195; 22 463 00 87

Prenumerata kolporterska
Oddziały Ruch SA, tel. 801 800 803
lub 22 717 59 59 - telefoniczne Biuro
Obsługi Klienta czynne w godz. 7-18
www.prenumerata.ruch.com.pl,
urzędy pocztowe

Prenumerata na e-Wydania:
www.przekroj.pl, www.sklep.p.p.pl,
www.egazety.pl, www.e-kiosk.pl

Dostęp na stronę www i wersję na iPada
Prenumerata na iPad przez App Store
tydzień - 0,79 €, miesiąc - 1,59 €,
rok - 19,99 €

Prenumerata na Android
przez Google Play: tydzień - 3,49 zł,
miesiąc - 6,89 zł, rok - 78,99 zł
Dostęp do serwisu oraz e-wydania
przez przekroj.pl: tydzień - 2,89 zł,
miesiąc - 8,89 zł, rok - 89,00 zł
Informacje: senwisyplatne@rp.pl,
tel. 22 46 30 066

Okładka:
Gavin Evans/Corbis

Jeśli myślisz, że

Merval

to amerykański wydawca
komiksów o superbohaterach...

Dałeś się „złapać”? Nie szkodzi!

Czytając dziennik „Parkiet” posiadasz fachową wiedzę, która pozwoli Ci mądrze inwestować w przyszłości. Zrozumiesz, że gry giełdowej można się nauczyć, trzeba tylko korzystać z profesjonalnych narzędzi.

Znajdziesz w nim:

- ▲ sprawdzone newsy z rynku kapitałowego, walutowego i surowcowego
- ▲ analizę spółek, trendów i wydarzeń rynkowych
- ▲ rzetelne rekomendacje dla inwestorów
- ▲ akademię inwestowania dla początkujących



KATARZYNA NOWAKOWSKA

Czego nie wiecie o Davidzie

Jaką rolę w życiu Bowiego odegrał Roman Polański? Która płyta artysty jest adaptacją Orwellovskiego „Roku 1984”? I która postać w komiksach Neila Gaimana jest nań wzorowana? Z okazji wydania **nowej płyty** po dekadzie milczenia: **David Bowie** – trivia dla zaawansowanych.

Album „The Next Day”, który ukaże się 11 marca, jest – jak zauważył jeden z brytyjskich recenzentów – katalogiem obsesji i fascynacji artysty. Już pierwszy singiel „Where Are We Now”, który miał premierę w styczniu w dniu 66. urodzin Bowiego i był pierwszym nowym utworem od 10 lat, zabierał nas w tyleż nostalgiczną, co erudycyjną podróż po Berlinie lat 70. To tam Bowie mieszkał przez trzy lata i tam stworzył najwybitniejsze w karierze płyty: „Low”, „Heroes” i „Lodger”.

Pisanie o Davidzie Bowiem bywa frustrującym zajęciem. Trudno na potrzeby gazetowego tekstu dokonać takiej syntezy jego biografii i twórczości, by uniknąć powtarzania banałów i wyświechtanych fraz zrosniętych na stałe z tą postacią. Kameleon, kosmita, wizjoner, ikona – trudno tu o dystans, jeszcze trudniej o oryginalność. By od tego uciec, przyjrzyjmy się kilku wybranym anegdotom i ciekawostkom z życiorysu muzyka – a być może z przypadkowej

DAVID BOWIE

Ur. 1947 r. Na scenie od 1964 r. Jedna z najważniejszych postaci XX-wiecznej muzyki rozrywkowej. Wokalista, kompozytor, aktor. Ma na koncie ponad 20 płyt, od debiutanckiej „David Bowie” (1964) po „The Next Day”, która ukazuje się 11 marca.

układanki wyłoni się jednak mozaikowy portret artysty. Podobny do zawartej na „The Next Day” mapy fascynacji i erudycyjnych tropów.

Bowie w Warszawie

Ta historia rozpala wyobraźnię rodzimych bowielogów. Wiadomo bowiem (!), że na wydanym w 1977 r. wybitnym albumie „Low”, wchodzącym w skład słynnej trylogii berlińskiej, znalazł się utwór zatytułowany „Warszawa”. Piosenka następnie zainspirowała niejakiego Iana Curtisa do założenia zespołu Warszawa, który nieco później dał się poznać jako Joy Division. Już ta część historii jest piękna i napawa nas słuszną dumą, jednak może być jeszcze lepiej. „Warszawa” jest zapisem przemożnego, choć raczej ponurego wrażenia, jakie na artyście zrobiła nasza stolica w latach 70., a stylizowane na ludowe pienia partie wokalne zostały zaczerpnięte z kompozycji „Helokanie” Stanisława Hadyny w wykonaniu zespołu Śląsk. Płytę ową miał Bowie kupić sobie na placu Wilso-

na (wówczas Komuny Paryskiej), dokąd udał się ponoć spacerkiem podczas postoju pociągu na Dworcu Gdańskim.

I tutaj w tej pięknej historii zaczynają się schody. Bowie przejeżdżał przez Warszawę dwukrotnie. Po raz pierwszy na przełomie kwietnia i maja 1973 r., wracając z trasy koncertowej po Japonii (ze względu na niechęć do latania wybrał dość okrężną trasę: statkiem do Władywostoku, stamtąd koleją transsyberyjską do Moskwy, a po kilku dniach w stolicy ZSRR znów pociągiem do Paryża). Po raz drugi w kwietniu 1976 r., gdy wraz z Iggy Popem jechał z Zurychu do Helsinek via Związek Radziecki (z niesławnym incydem na przejściu granicznym w Brześciu, gdzie radzieccy celnicy skonfiskowali mu książki poświęcone Goebbelsowi – do tego wątku zresztą jeszcze wrócimy).

Kiedy więc spacerował i kupował polskie płyty? Nie wiadomo: ponoć nie mogło to być w 1973 r., bo podczas postoju trwała kontrola paszportowa,

DAVID BOWIE

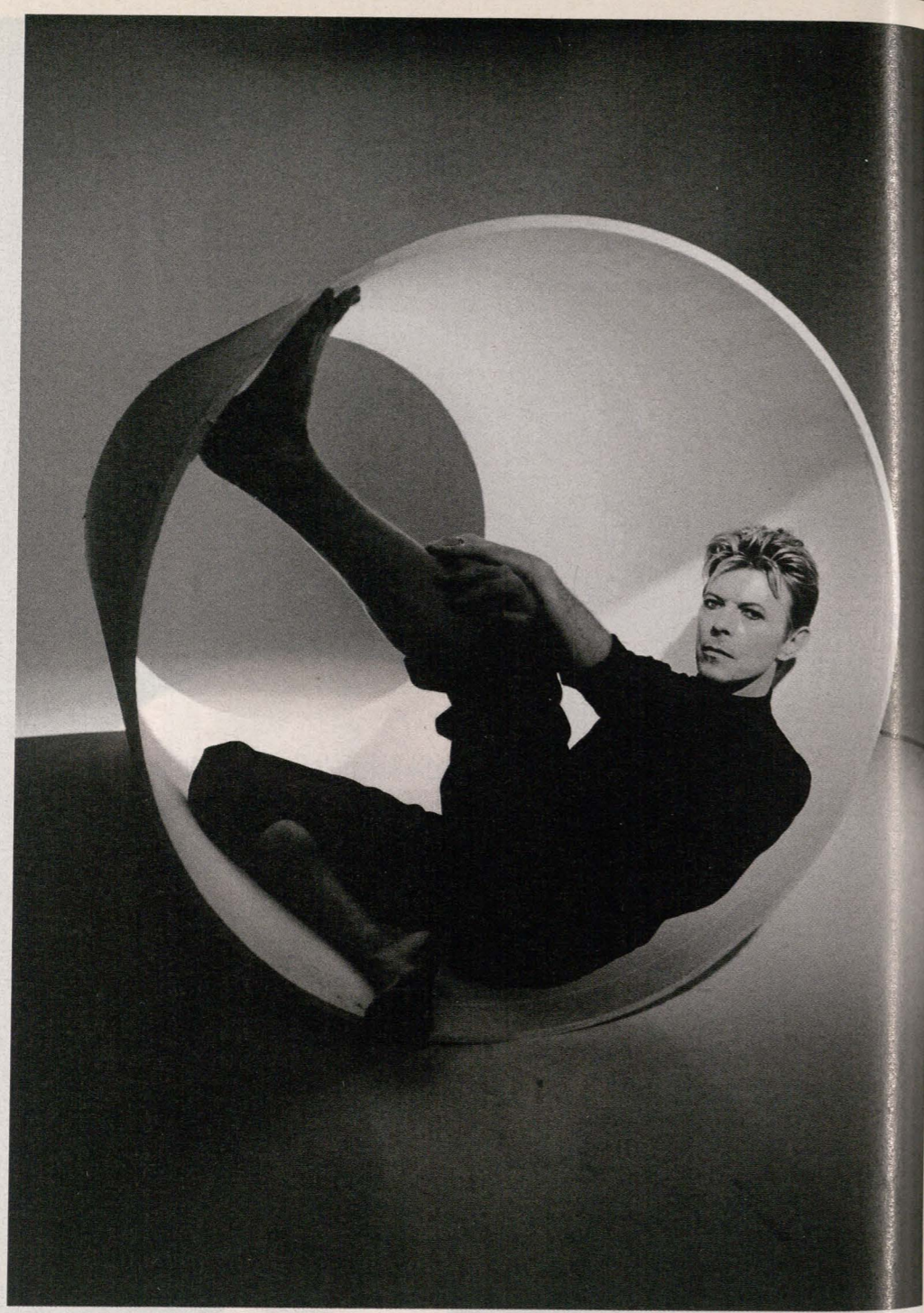


w 1976 r. zaś, ze względu na otwarcie w 1975 r. Dworca Centralnego, zmieniły się trasy połączeń międzynarodowych i pociągi nie zatrzymywały się już na Gdańskim. Możliwe więc, że wspomniane polskie płyty nabył już w Berlinie Zachodnim, choć w dwóch wywiadach udzielonych polskiej prasie w 1997 r. (dla „Machiny” rozmowę przeprowadził Filip Łobodziński, dla „Gazety Wyborczej” zaś Maciej Chmiel) Bowie częściowo potwierdził teorię o płytowych zakupach podczas postoju, choć, jak sam przyznawał, jego wspomnienia były dość mętne.

Niestety, w literaturze źródłowej nie ma wzmianki ani o spacerze po płyty, ani nawet o polskich korzeniach muzycznych inspiracji Bowie. We wspomnieniach producenta Tony'ego Viscontiego oraz w uchodzącym za Bowielogiczną biblię opracowania „The Complete David Bowie” Nicholasa Pegga, jako źródło inspiracji dla tych ludowych śpiewów wymieniony jest enigmatyczny „bałkański chór”. To oczywiście jeszcze o niczym nie świadczy – bo w innym miejscu Visconti pisze, że Warszawa jest stolicą Czech. Możemy więc się pocieszyć, że legendarny producent miał niewielkie pojęcie o słowiańszczyźnie.

Filmy (o)kultowe

Złaknionym polskiego wątku w biografii Bowiego warto podsunąć inną smakowitą anegdotkę. Jesienią 1967 r. w londyńskim biurze wytwórni Essex Music spotkało się dwóch dwudziestolatków: aspirujący producent rodem z Nowego Jorku oraz marzący o karierze gwiazdy rocka ambitny muzyk wywodzący się z londyńskich przedmieść. Nie wiedzieli jeszcze, że to początek pięknej przyjaźni, a także udanej artystycznej współpracy: Visconti w ciągu kolejnych dekad wyprodukował 12 albumów Bowiego – w tym także ten najnowszy „The Next Day”. Młodzieńcy szybko przypadli sobie do gustu, a rozmowa o muzycznych upodobaniach pochłonęła ich do tego stopnia, że opuścili biuro i wybrali się do kina na film „Nóż w wodzie” wschodnioeuropejskiego reżysera Romana Polańskiego.



Obraz spodobał im się tak bardzo, że spędzili długie godziny w pubie, dyskutując o tym, co widzieli, i wkrótce zostali bliskimi przyjaciółmi, zamieszkali też wspólnie w hipisowskiej komunie w Haddon Hall. Polski reżyser okazał się więc akuszerem ważnego muzycznego związku.

Jednak nie wszystkie filmy Polańskiego miały tak dobry wpływ na Bowiego. Kilka lat później, w 1975 r., gdy muzyk mieszkał w Los Angeles, już

po światowych sukcesach odniesionych jako Ziggy Stardust, w głęboką paranoję wpędziło go „Dziecko Rosemary”. Artysta nabrał przekonania, że wokół niego są wiedźmy i czarnoksiężnicy gotowi porwać go w celu pozyskania jego nasienia i splodzenia demonicznego potomstwa. Równie niezbitnie przekonany był o tym, że Jimmy Page z Led Zeppelin, który obnosił się ze swoim zainteresowaniem czarną magią i lekturami w rodzaju „Biblii Szatana”, jest przed-

stawicielem mrocznych sił dybiących nań z każdego kąta. Żeby się obronić, rysował ochronne pentagramy i nigdy nie spał – w czym pomagała mu stała towarzyszką owych dni: kokaina.

„Nie sypiałem całymi tygodniami. Nawet Keith Richards by tego nie wytrzymał”. „Zebrałem wokół siebie załogę ludzi, którzy zawsze byli przy mnie – głównie dilerzy, prawdziwe szumowiny. Zapłaciłem za to najgorszą manią depresyjną w całym moim życiu. Rozpadałem się na kawałki. Miałem halucynacje 24 godziny na dobę” – to ilustrujące ten mroczny okres wypowiedzi Bowiego, które w jego biografii przytacza Mare Spitz. Muzyk cierpiał na paranoję i urojenia, ważył niespełna 50 kilogramów, odżywił się wyłącznie mlekiem, papryczkami oraz kokainą, obsesyjnie też czytał książki o nazistach, zwłaszcza zaś o ich okultystycznych praktykach i ezoterycznych źródłach tych praktyk.

Szatan i kosmita

Jednak gdy na horyzoncie pojawiła się ciekawa artystyczna propozycja, Bowie, który od miesięcy nie był w stanie wejść do studia, by zacząć pracę nad nowym albumem (w styczniu 1975 r. zakończył sesje nagraniowe „Young Americans”, a kolejna płyta „Station to Station” zaczęła powstawać dopiero pod koniec roku), zdołał niemal z dnia na dzień wytrzeźwieć i podjąć wyzwanie. Było nim zagranie głównej roli w filmie „Człowiek, który spadł na Ziemię” Nicolasa Roega. Brytyjski reżyser chętnie obsadzał muzyczne gwiazdy w głównych rolach – w „Przedstawieniu” zagrał już Mick Jagger, a kilka lat później Art Garfunkel wystąpił w „Zmysłowej obsesji”.

Rola zagubionego kosmita w wykonaniu Bowiego okazała się jednak kreacją wręcz ikoniczną, świetnie przyjętą przez krytyków. Zazwyczaj surowa w swych wyrokach Pauline Kael porównała Bowiego do Katharine Hepburn, zauważając także, że tym, co tak działa na widza, jest inność bohatera, z którą może identyfikować się każdy odrzucony, zagubiony i samotny. Zdaniem wielu krytyków, to najlepsza rola w aktorskiej

Rola Bowiego w filmie „Człowiek, który spadł na ziemię” okazała się ikoniczna. Krytycy porównali go do... Katharine Hepburn.

karierze Bowiego. Może dlatego, że nie musiał zbyt wiele grać – reżyser z wyczuciem wykorzystał image muzyka, który podbił świat jako przybyły z kosmosu gitarzysta Ziggy Stardust. Odbiciem rzeczywistości była też paranoiczna scena w limuzynie – niemal całkowi-

cie odtworzona przez Roega na podstawie dokumentalnego filmu Alana Yentoba o Bowie „Cracked Actor”.

Ekranowe emanacje Bowiego nabrały z biegiem lat zupełnie innego charakteru – zwłaszcza jego komediowe występy w „Zoolanderze” Bena Stillera i „Statystach” Ricky'ego Gervaisa pozwoliły odkryć pokłady poczucia humoru Brytyjczyka. Ośladzały też w ostatnich latach brak aktywności na polu muzycznym, gdy po ataku serca i operacji, jaką musiał przejść w 2004 r. podczas trasy koncertowej





„Reality Tour”, Bowie praktycznie wycofał się z życia muzycznego na niemal dekadę – tu viralowym hitem stała się zwłaszcza piosenka, którą skomponował na potrzeby serialu Gervaisa.

Jak wspominał twórca show, zadzwonił do Bowiego i ku swojej konsternacji na dzień dobry usłyszał, że Bowie właśnie je banana. „Sama idea, że Bowie może jeść banana, wydała mi się bardzo dziwna, bo w mojej wyobraźni wciąż miał buty na platformach, pomarańczowe włosy, na twarzy błyskawicę z „Aladdin Sane”, a Spiders from Mars siedzieli obok i odbierali jego telefony. Jakby wciąż był 1974” – mówił Gervais, a całą tę konwersację ze smakiem przytacza w swojej książce Marc Spitz. Na wyrażoną przez komika prośbę, aby utwór skomponowany na potrzeby show był czymś w stylu jego starego hitu „Life on Mars”, Bowie odrzekł z lekkim przekąsem: „Och, oczywiście machnę dla ciebie jeszcze jedno »Life on Mars«. Jednak zadanie wypełnił co do joty, a kawałek zaczynający się od słów „Little fat man, who sold his soul” przyczynił się do renesansu popularności muzyki Bowiego.

Podobnie jak hołd złożony mu przez hipsterski duet komediowy z Nowej Zelandii „Flight of the Conchords”, który poświęcił Bowieemu jeden z odcinków muzycznego kabaretu, ze świetną pastiszową piosenką „Bowie in Space”. Oddani fani doskonale uchwycili klimat jego muzyki i osobowość, po raz kolejny zmuszając publiczność, by przyjrzała się twórczości angielskiego muzyka.

Bowie bywa zresztą inspiracją dla rozmaitych twórców. Poza oczywistymi inspiracjami muzycznymi – mniej lub bardziej otwarcie do fascynacji muzyką i postacią Bowiego przyznawało się wielu twórców: od Joy Division, The Smiths przez Suede i Placebo po Arcade Fire. Ale bywa nią także dla tych działających poza obszarem muzyki – m.in. dla Neila Gaimana, który tworząc serię komiksów o „Sandmanie”, istotną w przebiegu fabuły postać Lucyfera kazał rysownikom wzorować na Bowieem. Jak wspominał jeden z rysowników Kelley Jones, Gaiman miał instruować go w następują-



cy sposób: „Musisz narysować Davida Bowiego. Bo jeśli to nie będzie Bowie, to będziesz przerabiał tę postać tak długo, aż będzie”. Efekt jest tak niezwykły, że gdyby Gaimanowski władca piekieł nagle zaczął śpiewać „Let’s Dance”, nikt by się specjalnie nie zdziwił.

Dziwne fascynacje

Nie wiadomo, czy Bowie jest świadomy tej konotacji, ale zawsze był wyjątkowo uważnym czytelnikiem, a literackie troje z łatwością przenikały do jego piosenek. Nietzscheańskie wątki w piosenkach takich jak „All the Madmen” i „The Supermen”, echa pisarstwa Burroughsa w „Future Legend” czy płyta „Diamond Dogs”, którą w całości właściwie można uznać za musicalową adaptację „Roku 1984” Orwella, to emanacje lektur dość nietypowych jak na gwiazdę rocka.

Związki Bowiego z literaturą mają różny charakter i wymiar. Datująca się jeszcze od szkolnych czasów znajomość z pisarzem Hanifem Kureishim zaowocowała m.in. znakomitym al-

Bowie inspiruje nie tylko muzyków, ale również twórców komiksów, jak genialny Neil Gaiman.

bumem „Buddha of Suburbia” (1993), napisanym jako soundtrack do miniseriale BBC na podstawie powieści Kureishiego, w której pisarz zamieścił wiele autobiograficznych wątków związanych z dorastaniem w podlondyńskim Bromley w latach 50. i 60. W książce znalazła się też nieco wzorowana na Bowieem postać Charliego Hero, który nosi ekstrawaganckie ciuchy i w finale powieści staje się gwiazdą rocka w stylu Billy’ego Idola.

Czytelnicze pasje Bowiego zawsze były wyraziste – jak wspomina już fascynacja Goebbelsem, na temat którego pochłaniał kolejne tomy (planował nawet napisanie scenariusza filmu o nim) oraz Hitlerem czy wykraczająca poza czysto literackie zainteresowanie fascynacja postacią Yukio Mishimy. Własnoręcznie wykonany portret tego japońskiego samuraja i samobójcy ozdobił sypialnię Bowiego w jego berlińskim apartamencie przy Hauptstrasse 155, o czym wspomina biograf David Buckley w książce „Strange Fascination”.

Zresztą do Berlina sprowadził Bowiego także trop literacki – opowieści (i powieści) angielskiego pisarza Christophera Isherwooda, który wraz ze swym kochankiem W.H. Audenem kontentował się liberalną atmosferą Berlina okresu Republiki Weimarskiej, a którego Bowie poznał w Kalifornii po jednym ze swoich koncertów. I choć, jak twierdzą świadkowie konwersacji pisarza i muzyka, Isherwood miał wyznać, iż Berlin lat 20. nie był ani tak liberalny, ani tak ciekawy, jak opisywał to w swoich książkach (jedno z jego opowiadań stało się podstawą filmu „Kabaret”), Bowie był zdeterminowany samemu sprawdzić tę legendę i przeprowadzić się do podzielonej stolicy Niemiec. Reszta jest historią. ☞

PAUL TRYNKA

Kosmita z Hauptstrasse

W Berlinie **David Bowie** stworzył wybitne albumy – w 1977 r. „Low”, „Heroes”, a dwa lata później „Lodger”. Publikujemy „berliński” fragment biografii artysty, która ukaże się w księgarniach 24 kwietnia.



Około dwudziestego sierpnia 1976 roku Tony Visconti (producent płyt Bowiego – przyp. red.) przyjechał na Hauptstrasse 155. Było to typowe „altbau” – stare budownictwo, a w nim rozległe mieszkanie położone przy szerokiej na trzy pasy dwukierunkowej alei na Schönebergu, dyskretnej dzielnicy w południowo-zachodnim Berlinie. Bowie powiedział mu, że mieszka z nim Iggy; Visconti zapukał do drzwi, uściskał starego przyjaciela, przywitał się z Coco, którą znał ze „szkieletowego” okresu Davida z czasów Young Americans. „Potem David powiedział: »To jest Jimmy«. Uściśnąłem więc mu rękę, rozejrzałem się i spytałem: »Świetnie – a gdzie jest Iggy?« Wszyscy się roześmiali i w ten sposób przełamałem lody”.

(...)

Podczas pierwszego pobytu w Berlinie Visconti zamieszkał w Scholsshotel Gerhus, okazałym, podupadającym budynku, który był kiedyś własnością kolekcjonera sztuki Waltera Grafa von Pannwitz. Popołudniami pracowali w Hansa Studio 1, a wieczorami chodzili do „klubu Romy Haag albo innych kazamatów” – mówi Visconti. Bowie z radością dzielił się z innymi atmosferą klubu Haag, który był dziwnie normalny: „To nie był klub gejowski, chodziły tam zarówno małolaty, jak i dorośli, to była po prostu część ich (berlińskiej – przyp. red.) kabaretowej kultury. Nawet jak nie mówiłeś po niemiecku, można było delektować się tym kabaretem. Romy miała około metr osiemdziesiąt wzrostu i w żadnym razie nie mogła być kobietą, co dodawało jej tajemnicy. Zawsze dostawaliśmy najlepszy stolik”.

Schöneberg uosabiał kontrowersyjną naturę fascynacji Davida Berlinem. Pięć minut spaceru od niego znajdował się gigantyczny nazistowski bunkier na Pallasstrasse, w którym Geobbels wygłaszał swoje przemówienie o „Wojnie Totalnej”. Kolejne pięć minut dzieliło go od starego domu Christophera Isherwoda na Nollendorferstrasse – „mrocznej, poważnej i masywnej ulicy”, którą unieśmiertelnił na początkowych stronach „Pożegnania z Berlinem”. Opisywał w niej młodych mężczyzn gwizdających z wyższych pięter na kobiety w nadziei na randkę – była to również ulubiona forma spędzania czasu przez Davida. Typowe dla mentalności Davida było to, że tak samo interesował się ikonografią hitlerowskiego Berlina co społecznością gejoską wymordowaną przez nazistów, która została upamiętniona na Nollendorferplatz, gdzie David i Jimmy kupowali książki i sączyli kawę. David odwiedzał również muzeum Brücke, gdzie studiował dzieła Heckela i Ernsta Ludwiga Kirchnera, wyklętych przez nazistów, a potem snuł się po antykwariatach i oglądał kartki i ulotki ozdobione charakterystycznym znakiem swastyki.

Jimmy’emu nie przeszkadzało zainteresowanie Davida Trzecią Rzeszą – nic dziwnego. Ostatnie sceniczne dokonania Iggy’ego prezentowały między innymi jego kolega z zespołu Rona Ashetona w nazistowskim mundurze i partyjnej opasce, który biczował Iggy’ego pejczem. (Asheton swoją drogą twierdził, że to on wymyślił frazę „Hitler był pierwszą gwiazdą popu”, którą rozpropagował Bowie). Inni przyjaciele starali się go nie oceniać. Pewna znajoma Żydówka, która znała Davida w berlińskich czasach, twierdzi, że „zawsze się tym fascynował. Ale w wypowiedzi, za którą był napiętnowany, wcale nie miał nic złego na myśli. Chciał po prostu powiedzieć, że [naziści] wiedzieli, jak wykorzystać media”. Mimo pewności, iż David był jedną z najmniej rasistowskich osób, jakie kiedykolwiek spotkała, przyjaciółka nie pamięta, by kiedykolwiek prostował swą bezmyślną wypowiedź. Dopiero w późniejszym okresie berlińskim, kiedy David spotkał przyjemnych młodych ludzi, których ojcowie służyli w SS, zdał sobie w pełni sprawę z implikacji jego fascynacji. Dopiero w 1980 roku opisał swój flirt z faszystowskim sznytem jako „upiorne klimaty”. W tym samym czasie w słynnym wywiadzie z Angusem MacKinnonem dla „NME” wykazywał, całkiem rozsądnie, że nigdy nie kierował się rasizmem w życiu osobistym. Ale też nigdy nie przeprosił za swoje wyznania. 📖



David Bowie.
Star Man.
Gwiazdor, który spadł na ziemię
Paul Trynka,
wyd. Sine Qua Non

ARCHITEKTURA

Wielki sukces małego domu

Dom Kereta, najmniejsza czynna przestrzeń działań twórczych dla artystów i intelektualistów z całego świata, został finalistą konkursu architektonicznego Architizer A+ Awards. Jak wielki to prestiż, mówi Jakub Szczepny z grupy projektowej Centrala, autor instalacji.

W konkursie Architizer A+ Awards wzięły udział projekty najlepsze z najlepszych. Finał to właściwie już zwycięstwo. Jak trafić tam z Domem Kereta?

Architizer jest w pierwszej trójce światowych portali architektonicznych. Sami się zgłosiliśmy do konkursu i przeszliśmy wszystkie etapy – aż do finału. Korzyścią jest przecież gigantyczna, globalna widoczność naszego projektu, niesie to również jakiś aspekt marketingu miejskiego dla Warszawy, w której turysta nie szuka pięknych widoków, tak jak w Krakowie, ale historii i anegdoty. W konkursie uczestniczy również Małopolski Ogród Sztuki Ingarden & Ewý Architekci.

Projekty w 50 kategoriach ocenia armia 200 jurorów z całego świata. Was wyróżniono w sekcji Plus Categories – Architecture +Living Small. Swojego laureata mogą jeszcze wybrać internauci.

Gorąco namawiam do głosowania na nasz projekt. Można to zrobić jeszcze do 8 marca na stronie portalu www.architizerawards.com

A warto, bo Dom Kereta to coś więcej niż architektura. To spoiwo między kulturą polską i żydowską. Nie bez znaczenia jest to, że znajduje się on w pobliżu kładki łączącej dwie części warszawskiego getta, w którym mieszkała podczas wojny rodzina pisarza.

To prawda. Wspomnienia Kereta, również te złe, związane ze śmiercią, były ważną częścią naszego konceptu. Projekt bardzo mocno zaistniał w Izraelu, mieliśmy strategię napomykania o nim prasie izraelskiej. Chcieliśmy odemonizować Warszawę. Dom obejrzało mnóstwo wpływowych Żydów z całego świata. Ciągłe otrzymuję mnóstwo e-maili. To miłe, bo widać, że ludzie czekali na tego typu gest z naszej strony.

Dom ze względu na polskie normy nie może być formalnie budynkiem mieszkalnym, mieli w nim jednak pomieszkiwać artyści wyłonieni przez specjalne jury. Czy miał już swoich lokatorów?

Fundacja Polskiej Sztuki Nowoczesnej otrzymała dofinansowanie na program rezydencki. W przyszłym tygodniu w instalacji będzie mieszkać reporterka ze Stanów Zjednoczonych, a potem z Niemiec. Rezydenci będą w nim przebywać zwykle od dwóch do siedmiu dni. Wiele osób chce tego doświadczyć, otrzymuję zgłoszenia z całego świata. Teraz musimy obmyślić jakąś strategię, która pogodzi zwiedzanie domu z planem rezydencji. Wszystkie informacje umieścimy jednak na stronie domkereta.pl.

→ rozmawiała Edyta Borkowska



Rafał Nowakowski

Lunatykowanie w pościeli



„Przed snem wybacz wszystkim i zaśnij ze spokojnym sumieniem” – głosi słynne arabskie powiedzenie. No dobra, a więc kto jest na liście?

Uderzenie w ciemności. Gorączkowa gonitwa myśli i obrazów, rozmyte zdjęcia pod powiekami, idiotyczne memy i zapętłone gify wspomnień... No tak. Znowu tu jestem. Jaskrawy wyświetlacz komórki bezlitośnie kluje w oczy. 03.23. Umysł wpada w jakąś maniacką czujność, nagle wytrącony ze snu każe mi się wpatrywać w granatowo-czerwone niebo za oknem i mające w ciemności przedmioty.

Zaczynają się nużące zmagania z bezsennością, kiedy nagle noc staje się księżycową pustynią pełną niebezpiecznych myśli. Brak uspokajającej bliskości drugiego ciała staje się boleśnie realny. Gdy śpimy razem, nigdy się nie budzę. Pożądanie wzmaga się wraz z oddaleniem. Pragnienie pokonuje czas i przestrzeń, zegary i mury, rutyny i kalendarze, pojawia się nagle, tu i teraz... Skręca mnie uczucie wewnętrznego chłodu. Ale jaki mamy wybór? Zamieszkać razem i spać uczciwym snem pracowitych mieszczan? Ze strachu przed samotnością? Dla spłodzenia kolejnego podatnika? Z twoją złą wybieram bezsenność.

Ale rozsądek podpowiada, że sen jest potrzebny. A więc może jednak powalczyć z tą swoją odmiennością? Instynkt prowadzi mnie do lodówki. Paczki żywności w metalowej skrzyni, oświetlone niczym jakaś surrealistyczna instalacja artystyczna, przypominają wszystko, tylko nie jedzenie. Zielona tubka wasabi, butelka czarnego sosu kikkoman, żółta kostka zafoliowanego sera i plastikowy kubek pasty curry, kulinarne ekstrawagancje z całego świata, ale tak naprawdę nie ma tu nic do jedzenia. Wszystko zjadłem wczoraj w nocy. Chyba żeby połączyć polski żółty ser z japońskim zielonym chrzanem. Żałowana próba osiągnięcia kompromisu, z miejsca siebie za to nienawidzę. Skoro nie jedzenie, to może pomogą papierosy? Wiem, palenie nie służy niczemu i jest szkodliwe dla zdrowia. Jednak z nałogami nie zamierzam walczyć. To w końcu tylko niezdrowe nawyki, złe skłonności

i moje wahania świadczą o tym, że jeszcze nie do końca jestem biologicznym automatem. Przeciwnie, raczej będę bojkotować zdrowy tryb życia, dyktaturę higieny i kult ciała. Nie poddam się narcystycznej potrzebie samodoskonalenia. Jeśli ludzie mają być doskonałymi towarami na globalnym rynku masowej konsumpcji, to ja będę wadliwym odpadem z tej produkcji.

Myszę, że skoro przestanę walczyć z bezsennością, to uda mi się zasnąć. A więc leżę w ciemności z otwartymi oczami. Za oknem po toksycznie czerwonym niebie przelatuje samolot i zostawia za sobą białą smugę, jak zarośnięta blizna. Samoloty zszywają tę otwartą przestrzeń, przez którą kosmos wlewa się do naszego świata, czyniąc ją jedynie przerywnikiem w naszym wirtualnym życiu. Przewracam się na bok. Właśnie przypominają się co zabawniejsze i bardziej irytujące sytuacje z minionego dnia. I co lepsze imprezy sprzed 20 lat. Przychodzą do głowy wszystkie celne riposty, na które nie wpadłem w rozmowach. Wspaniale. Popadam w stan lekkiego uniesienia, jak po koksie. Może coś zaśpiewać do poduszki? Zaczyna się lunatykowanie w pościeli. Spokojnie, żadnych gwałtownych ruchów. Opuść. A sen nadejdzie.

Tradycyjne muzułmańskie powiedzenie głosi: „Przed snem wybacz wszystkim i zaśnij ze spokojnym sumieniem”. No dobra, a więc kto jest na liście? Moja była? To akurat nie problem, w sumie nawet trochę mi jej żal. Urzędnicy magistratu Warszawy?... O nie! Nie wybaczę im tego, co zrobili z moim miastem! To już nawet wolę nie spać... I oczywiście zwykle w tym momencie zasypiam. Choć stwierdzam to dopiero bladym, panicznym porankiem, kiedy budzę się oszołomiony z wyczerpania. A z niewyraźnej nocnej walki pozostało mi jedno mocne przeświadczenie. Z czymkolwiek przyjdzie mi walczyć, na pewno nie zamierzam walczyć ze sobą.

Autor jest poetą i powieściopisarzem. W 2008 r. wydał debiutancką „Rdzeń”, futurologiczną opowieść o Warszawie A.D. 2056.



MATERIAŁY PROMOCYJNE

TECHNOLOGIA

Gogle Googla, czyli „Hi Glass!”

Mityczne smartokulary Google'a stają się rzeczywistością. I to jako monokular o nazwie Google Glass. Gigant robi zaś wszystko, by to niezwykle urządzenie stało się obiektem powszechnego pożądania na miarę pierwszego iPhone'a. Do przedostatniego dnia lutego można było więc składać aplikacje do udziału w testach Google Glass, które już niebawem się rozpoczną. By dołączyć do grona wybrańców, należało publicznie (via Google+ lub Twitter) przedstawić swą twórczą wizję korzystania z Google Glass, do tego zaś zadeklarować gotowość zapłacenia za wersję beta 1500 dol. (!) oraz osobistego stawienia się na testach m.in. w Los Angeles i Nowym Jorku. Ostateczny wybór kandydatów i tak należy do Google. Czy warto tak się poniżyć, by zostać jednym z pierwszych na świecie użytkowników Google Glass? Diabli wiedzą. Na pewno googlowe чудо nie wygląda już tak strasznie jak jego pierwsze koncepty sprzed dobrych pięciu lat, przywodzące na myśl wyłącznie „Star Trek”. Ma być zresztą jeszcze lepiej, bo internetowy gigant nawiązuje już kontakty z topowymi producentami oprawek. Google Glass zdają się też mieć imponujące możliwości – pozwalają między innymi na przekazywanie i udostępnianie obrazu w czasie rzeczywistym, korzystanie z funkcji rozszerzonej rzeczywistości. A jako że są właściwie w stanie wyręczyć smartfon, w razie potrzeby... wyświetlą nam na dłoni w pełni funkcjonalną wirtualną klawiaturę. Na co dzień wystarczy jednak do nich zagadać, zaczynając od specjalnego hasła wywoławczego. „Hi Glass” – czy właśnie to będzie niebawem najczęściej wypowiedana fraza świata? → kw



JESSICA GOW/AFAP

SKANDAL

Ikea bez klopsików

Panika w konsumpcyjnych świątyniach młodej klasy średniej. Afera z koniną uderzyła właśnie rykoszetem w Ikeę. A konkretnie w jej kulinarny fundament, czyli w... klopsiki. Podejrzewane – zdaje się, że nie bez podstaw – o pochodzenie raczej z polskiej stajni niż ze szwedzkiej obory kultowe köttbullar znikają na jakiś czas ze sklepów i jadalni Ikea w 21 krajach Europy. W tym i u nas. Wygłodniałym miłośnikom sofy Ektor i lampy Kroby pozostaje więc chwilowo raczej rostbef. Na otarcie łez: żurawina nie jest zagrożona. → kw



SULEMAB SCHULZ/STUDIO

SIEĆ

Islandia bez porno

Już niedługo Islandia może stać się państwem wolnym od pornografii – zabiega o to islandzki rząd. Pomysł wydaje się zupełnie nierealny w czasach, kiedy przepływ informacji nie zależy od żadnych granic państwowych. Jak kontrolować pornograficzne treści w Internecie? Rozwiązaniem ma być blokowanie adresów IP stron z takimi treściami i zakaz płacenia za nie przy użyciu islandzkich kart kredytowych. Według zwolenników nowej ustawy problemem nie jest sama pornografia, ale promowana przez nią przemoc. Przeciwnicy widzą w pomysle zagrożenie dla wolności słowa, sceptycy nie wierzą, że ustawa przyniesie jakiegokolwiek efekty. Kilka lat temu podobna dyskusja toczyła się, bez efektów, w Wielkiej Brytanii. Islandia ma jednak na swoim koncie sukcesy: w 2011 r. parlament przegłosował zakaz działalności klubów ze striptizem. Gdyby udało się zrealizować nowy projekt, Islandia byłaby pierwszym europejskim krajem zakazującym pornografii. → bcz

KOSMETYKI

Lakier halal

Nowy lakier O2M polskiej firmy Inglot jest rewolucją nie tylko kosmetyczną, lecz także kulturową. Produkt ma szansę być pierwszym na świecie lakierem do paznokci uznanym za halal, czyli religijnie czysty. Do tej pory religijne muzułmanki musiały rezygnować z malowania paznokci – przed każdą modlitwą trzeba obmyć dokładnie całe ręce, a lakier na paznokciach tę czynność skutecznie uniemożliwia. Kobiety mogły malować paznokcie jedynie w czasie miesiączki, kiedy i tak są wyłączone z życia religijnego, jednak dla wielu był to zbyt krępujący i jasny komunikat. Ponieważ do modlitwy siada się pięć razy w ciągu dnia, zmywanie lakieru też nie rozwiązuje problemu. Okazuje się, że wymyślony przez Wojciecha Ingłota lakier przepuszcza parę wodną, co daje podstawy do tego, by uznać, że paznokieć pod warstwą lakieru ma kontakt z wodą. Komentatorzy Koranu interpretują mycie rąk i twarzy jako „niepozostawianie tych obszarów suchych” – lakier do paznokci Inglot te wymagania spełnia. Tak jak wiele innych rewolucyjnych rozwiązań również ten efekt uzyskano przypadkiem. Celem badań było stworzenie oddychającego lakieru dla kobiet, które częściej mają pomalowane niż niepomalowane paznokcie. W wywiadzie do „New York Timesa” założyciel Ingłota przyznawał, że myślał przede wszystkim o zdrowiu paznokci: tradycyjny lakier tworzy sztuczną i sztywną powłokę niepodobną do niczego, co występuje w przyrodzie. Dodatkowo kosmetyki halal nie mogą zawierać alkoholu ani żelatyny ani być testowane na zwierzętach. Dlatego mogą zainteresować nie tylko muzułmanki. → bcz



MATERIAŁY PROMOCYJNE



MATERIAŁY PROMOCYJNE



AKCJA

Lektury zza krat

„Książki w pudle” to przewrotna nazwa akcji zbierania książek dla zakładów karnych. Organizowana przez Fundację Zmiana zbiórka odbywa się w ramach programu „Bibliotek sąsiedzkich”. Wielu rzeczy w więzieniu brakuje, ale wolnego czasu jest pod dostatkiem – przekazując książki, można pomóc osadzonym zagospodarować go w kreatywny sposób. W manifestie umieszczonym na stronie projektu przeczytamy, że słowo daje wolność i zrozumienie swojego losu. Najbardziej poszukiwane są książki historyczne i kryminały. – Mamy olbrzymie zapotrzebowanie na książki Raymonda Chandlera, ale nie możemy ich dostać – mówi Maria Dąbrowska-Majewska, współorganizatorka akcji. Na razie funkcjonują dwa miejsca zbiórki książek: w Warszawie przy ul. Okrzei 28 i w Tomaszowie Mazowieckim przy ul. Piłsudskiego 1/3. Przed przyjściem trzeba umówić się telefonicznie. → bcz

FILM

Kobiety, nie przeszkadzajcie

„Solidarność według kobiet” jest filmem dokumentalnym Marty Dzido i Piotra Sliwowskiego, oddającym głos kobietom zaangażowanym w ruch „Solidarności”. Wszystko zaczęło się od historii tajemniczego napisu namalowanego na murze podczas strajku w stoczni, który brzmiał: „Kobiety, nie przeszkadzajcie nam, my walczymy o Polskę”. Potem przyszedł namysł nad tym, że chociaż w czasach opozycji solidarnościowej kobiety działały na równi z mężczyznami, to później, w latach 90., w politykę zaangażowało się niewiele z nich. Część podjęła decyzję świadomie, wybierając inną drogę – te kobiety bardzo często do dziś udzielają się w organizacjach pozarządowych. Dla innych przeszkodą była ówczesna kultura i przekonanie, że polityka nie jest dla nich. Jedyną kobietą zaproszoną do Okrągłego Stołu była Grażyna Staniszevska. Barbara Labuda, która chciała wziąć udział w obradach, dostała za zadanie relacjonowanie ich w biuletynie. – Dziś w rozmowie mówi, że chciała wówczas robić coś więcej – opowiada Marta Dzido. – Ale nie można generalizować, różne kobiety miały różne motywacje i oczekiwania wobec „Solidarności”. Chcemy po prostu oddać im głos – deklaruje reżyserka. Na crowdfundingowej stronie wspieramkulture.pl autorzy filmu zbierają pieniądze na dokończenie swojego projektu. – Jeżeli tego filmu nie zrobimy teraz, możemy stracić szansę na opowiedzenie historii „Solidarności” z perspektywy kobiet – mówi Dzido. Portal wspieramkulture.pl działa na zasadach „wszystko albo nic”: jeżeli nie uda się zebrać całej kwoty potrzebnej do realizacji projektu, autor nie dostaje nawet części pieniędzy. Zbiórka trwa do 8 marca. → bcz



LONDYN

David Bowie

Wiosna radosna dla fanów Davida Bowiego. Najpierw, 11 marca, nowa płyta, potem – niespełna dwa tygodnie później – w londyńskim Victoria & Albert Museum otwiera się wielka wystawa poświęcona twórczości artysty – „David Bowie Is”. To pierwsza taka retrospektywna ekspozycja, gdzie będzie można zobaczyć ponad trzysta pamiątek, głównie pochodzących z prywatnego archiwum piosenkarza. Będą to między innymi rękopisy tekstów, niepublikowane i alternatywne okładki płyt, nagrania, filmy, oryginalne kostiumy – w tym słynny płaszcz z brytyjską flagą z płyty „Earthling”, stworzony przez Alexandra McQueena. I choć to tylko wystawa, a nie zapowiedź koncertu (na ten nie mamy raczej co liczyć) – warto między 23 marca a 28 lipca zajrzeć do Londynu. City break z Bowiem? Bez-cenne! → kw

Więcej informacji na: www.vam.ac.uk, „David Bowie Is” – Victoria & Albert Museum, 23 marca – 28 lipca 2013



WARSZAWA

Splendor splotu

Magdalena Abakanowicz, Tadeusz Kantor, Tadeusz Dominik, Zofia Kulik, Olga Wolniak, Kobas Laksa i kilkudziesięciu innych artystów w warszawskiej Zachęcie już w marcu przywracać będzie splendor... tkaninie. Dlaczego? Jesteśmy dumni, gdy na Wawelu podziwiamy królewskie arrasy, nieco mniej – gdy wspominamy kiczowate dywany zawieszane na ścianach w wiejskich chałupach, jednak na co dzień rzadko myślimy o tkaninie jak o dziele sztuki. O matkackach z kuchennymi powiedzonkami przypominała Monika Drożyńska, która w projekcie „Aktywności zimowe” wyszyła na tkaninach hasła znalezione na murach, w tym słynne „Zimo, wypierdalaj”. Kurator wystawy Michał Jachuła pokaże w Zachęcie również jej twórczość. Wybrał on nie tylko dzieła powstałe ze splotu nici, ważny był także splot myśli i idei. Na wystawie znajdują się prace pochodzące z lat 40. XX w. i te najnowsze. W ten sposób materia połączy odległe wizje artystyczne, by dać tkaninie należne jej miejsce w obrębie sztuk wizualnych. → eb „Splendor tkaniny”, 9 marca – 19 maja, Zachęta Narodowa Galeria Sztuki

BERLIN

Kropki Kreski

Paweł Zawiślak to rysownik i ilustrator, szerzej znany jako Kropki Kreski. Jest stypendystą ministra kultury i dziedzictwa narodowego oraz laureatem kilku konkursów (m.in. Grafex 2011, czyli nagroda magazynu „Exklusiv” w kategorii tryptyk modowy, i wyróżnienie na warsztatach Fashion Drawing w ramach Art & Fashion Festival 2011). Teraz wystawę jego prac od 7 marca będziemy mogli zobaczyć w Polnischen Institut w Berlinie. Kropki Kreski początkowo były nazwą bloga, z czasem stały się pseudonimem artysty. – Wydawało mi się to odpowiednie, jeśli chodzi o technikę i dualizm mojego charakteru: raptowna i agresywna kropka oraz stateczna, spokojna kreska – tłumaczy Paweł Zawiślak. Skojarzenie z prostą formą może być mylące – jego prace to raczej hiperrealistyczny surrealizm z opanowanym do perfekcji detalem. W swojej twórczości korzysta z różnych technik: od ołówka przez flamastry i farby wodne po używanie haftu. Jak sam mówi, zarówno w wybieranych technikach, jak i w podejmowanych tematach nie chce niczego precyzować czy planować. Wyznaje zasadę łączenia technik i dziedzin sztuki. W podobny sposób udaje mu się umiejętnie godzić zlecenia komercyjne z ambitnymi pomysłami, co zaowocowało współpracą z magazynami takimi jak „Vice” czy „Viva!”, a także projektami z firmami Converse i W. Kruk. Na wystawie w Berlinie zobaczymy zarówno jego ilustracje do gazet, jak i prywatne, niepublikowane wcześniej prace. Organizatorzy zapowiadają też niespodziankę przygotowaną z wykorzystaniem nowego dla artysty medium. → bcz

Miarą mojego sukcesu jest spełnienie. Czy jestem spełniony? Zawodowo na pewno tak. Wiem jedno: tacy ludzie, jak ja, potrafią budować imperium.

Sukces to rzecz osobista. Dowiedz się, czym tak naprawdę jest dla projektanta

Robert Kupisza.

NOWY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY.

Czytaj m.in.:

Gołota vs. Saleta

Tylko dla nas SPOWIEDŹ przed wyjściem na ring

Auta za miliony

TAJEMNICA klubu dżentelmenów kierownicy

10 najgroźniejszych **LUDZI** świata



SUKCES. MAGAZYN LUDZI WYJĄTKOWYCH

www.sukcesmagazyn.pl



JAN MIROSŁAW

J-Law: narodziny gwiazdy

Chwila, w której gwiazda ekranu odbiera Oscara, powinna być doskonała. Do tego przyzwyczyli nas poprzednie transmisje, podczas których wiotkie piękności sunęły przez scenę w powiewnych kreacjach, by odebrać statuetkę i wygłosić wyuczone kwestie pełne fałszywej skromności. Ale oto pojawia się ona i wywraca wszystko do góry nogami. Wywraca dosłownie – przewracając się. Dziękujemy ci, Jennifer Lawrence!



Oscarowa noc miała należeć do „Operacji Argo”, ale mimo zwycięstwa tego filmu w najważniejszej kategorii będzie pamiętana jako ostateczna koronacja Jennifer Lawrence na nieformalną królową wszystkiego, co fajne w Hollywood. Kiedy zaplątana w suknię Diora potknęła się na schodach prowadzących na podium, świat patrzył ze współczuciem. Kiedy dzielnie się otrzepała i zaczęła sypać autoironią, świat się zakochał. Już sam fakt, że 22-latką zdobywa Oscara dla najlepszej aktorki, zasługiwałaby na uwagę, ale w przypadku Lawrence dużo ważniejsze okazało się to, jak go zdobywa. I choć zdominowana przez starszych mężczyzn Akademia Filmowa ma długą tradycję nagradzania młodych i pięknych kobiet, takich jak Reese Witherspoon, Natalie Portman i Gwyneth Paltrow, to w odróżnieniu od nich tegoroczna zwyciężczyni ma iskrzącą osobowość.

Operacja Oscar

Jej magiczny moment na Oscarach przywodzi na myśl lata, w których wygrywały legendarne debutantki: Audrey Hepburn za „Rzymskie wakacje” i Barbra Streisand za „Zabawną dziewczynę”. Tyle że Jennifer Lawrence debutantką nie jest – tegoroczna nominacja była już drugą na jej koncie. Pierwszą otrzymała dwa lata temu za występ w niskobudżetowym dramacie „Do szpiku kości”. Surową rolę w naturalistycznym, brutalnym filmie ówczesna dwudziestolatka wysłała jasny sygnał, że nie interesuje jej kariera ładnej buzi. Hollywood, o dziwo, zrozumiało i obsadziło Lawrence w obliczonej na cztery filmy adaptacji „Igrzysk śmierci” – jedynej wysokobudżetowej serii, w której centralną postacią jest kobieta. Łuczniczka Katniss, walcząca w telewizyjnych zawodach, w których nastolatki zabijają się wzajemnie na oczach obywateli skorumpowanego świata przyszłości – to nie jest rola, którą łatwo udźwignąć bez popadania w przesadę. Jennifer się udało. Pierwsze „Igrzyska śmierci” zarobiły prawie 700 mln dolarów i dały jej status,

Jej profil w „New York Timesie” nosił tytuł: „Strzela dowcipami tak dobrze jak z łuku”.



MATERIAŁ PRASOWY

o jakim aktorki w jej wieku mogą marzyć. Awans do I ligi pozwolił Lawrence powalczyć o rolę w „Poradniku pozytywnego myślenia”. Ze względu na scenariusz i osobę reżysera Davida O. Russella, który poprowadził do oscarowych zwycięstw Christiana Bale'a i Melissey Leo, angaż do „Poradnika” interesował każdą dwudziesto- i trzydziestolatkę w Los Angeles (o ironio, niemal pewną kandydatką była Anne Hathaway, której udział zniweczyły przedłużające się zdjęcia do ostatniego „Batmana”). Choć wątpiono, czy Lawrence jest na tyle dojrzała, by oddać psychologiczne niuansy wdowy nimfomanki, podczas castingu (przeprowadzonego częściowo na Skype) rozłożyła konkurencję na łopatki. Reszta jest historią. Od momentu, w którym skończony film pokazano na festiwalu w Toronto – gdzie wygrał z „Operacją Argo” – Lawrence była typowana do nagrody Akademii. Nie znaczy to jednak, że nie musiała się napracować, by ją otrzymać. Kampania oscarowa to przedsięwzięcie z pogranicza polityki, marketingu i konkursu piękności, ale tym razem po stronie Jennifer stał Harvey Weinstein. Nawet on jednak, z całą swoją machiną PR-ową, nie potrafiłby sztucznie wykreować medialnego zjawiska, jakim w ciągu kilku miesięcy stała się J-Law (bo owszem, dorobiła się skrótu à la Jennifer Lopez).

Kolejna dziewczyna Nicholsona

Naturalny, nieokiełznany wdzięk i gotowość mówienia wprost tego, co myśli, pozytywnie odróżniają Lawrence od ugrzeczniczonych pańienek, które zaludniają wieczorne programy telewizyjne. Jej wywiady skrzą i dostarczają dawki spontaniczności dawno niewidzianej na wyżynach show-biznesu. Zamiast przećwiczonych z asystentem anegdota – strumień świadomości. Zamiast dbałości o wizerunek – głupie miny i sztubacki humor. Zamiast perfekcyjnej gwiazdy – dziewczyna, która postanowiła za wszelką cenę obronić się przed pozą. Taka, która bez oporów opowiada potężnemu „Entertainment Weekly”, jak podczas pierwszej wizyty

w przyczepie Woody'ego Harrelsona na planie „Igrzysk śmierci” spytała, czy coś, co okazało się huśtawką do jogi, służy do seksu, a „Rolling Stone'owi” przyznała się, że słygnie z szybkiego sikania. Nic dziwnego, że jej profil w „New York Timesie” nosił tytuł: „Strzela dowcipami tak dobrze jak z łuku” i podsumowywał ją słowami: „Wygląda jak królowa studniówki, ale mówi jak kalifornijski skejt”. Oczywiście niektórzy w tych wybuchach nadekspresji widzieli prostacką zuchwałość. Nigdy nie było to bardziej widoczne niż przy okazji Złotych Globów, kiedy po wygranej w kategorii Najlepsza Aktorka Komedii Jennifer podniosła statuetkę i zażartowała: „Wiecie, co jest na niej napisane? Pokonałam Meryll!” (Streep była również nominowana). Nie wszyscy zrozumieli, że jej wypowiedź była dosłownym cytatem z komedii „Klub Pierwszych Żon”, gdzie z Meryl Streep żartuje z Bette Middler. Przez chwilę wydawało się nawet, że akcje Lawrence idą w dół i najważniejsze wyróżnienie sezonu otrzyma Emmanuelle Riva, która zdobyła brytyjską BAFTA i francuskiego Cezara za „Miłość” Michaela Hanekego. Już z oscarowej sceny Jennifer złożyła jej życzenia, bowiem Riva obchodziła tego dnia 86. urodziny i byłaby najstarszą zwyciężczynią w historii. Na owację na swoją cześć zareagowała z dystansem: „Wstaliście z litości, bo upadłam, i teraz naprawdę mi głupio”. Zapytana podczas konferencji prasowej, jak przygotowywała się do tego wielkiego momentu, odpowiedziała z rozbawieniem: „Cóż, wstałam, przymierzłam sukienkę – leżała dobrze. Wzięłam prysznic. Zrobiłam makijaż i włosy. Przyszłam na Oscary”. W ustach kogoś bardziej zepsutego zabrzmiałoby to jak blaża, ale Jennifer Lawrence ma w sobie coś, co działa nawet na Jacka Nicholsona. Tuż po ceremonii legendarny aktor przerwał jej trwający na żywo wywiad, by wyrazić swoje uwielbienie i powiedzieć, że wygląda jak jego była dziewczyna. „A nie jak kolejna dziewczyna?” – odparowała. Na takie riposty wobec Jacka Nicholsona zdobywają się tylko wyjątkowe 22-latki. 📺

ROZMAWIA KATARZYNA CZARNECKA, ILUSTRACJE DAWID RYSKI

Stygmaty wykluczenia

Debata wokół in vitro toczy się w Polsce od dawna. Temperaturę dyskusji podgrzała ostatnio wypowiedź księdza profesora Franciszka Longchamps de Bérier, który stwierdził, że dzieci poczęte tą metodą można rozpoznać po „dotykowej bruździe”. Te słowa oburzyły nawet tych, którzy in vitro nie popierają. O tym, że każdy z nas może stać się kozłem ofiarnym, mówi socjolog **Adam Ostolski**.



ANDRZEJ RYBCZYŃSKI/PAP
ADAM OSTOLSKI

Socjolog. Zajmuje się ruchami społecznymi, pamięcią publiczną i socjologią gender. Analizował powinowactwo między językiem antysemitycznym i homofobicznym. Wykłada socjologię medycyny na Warszawskim Uniwersytecie Medycznym. W nauce reprezentuje perspektywę teorii krytycznej, łączącej badania naukowe z zaangażowaniem w przemianę społeczeństwa. Członek „Krytyki Politycznej” i partii Zieloni.

Zastanawiam się, czy powinniśmy odbyć tę rozmowę. Czy niektórych publicznych wypowiedzi – a właśnie w takiej sprawie się spotykamy – nie powinno się zignorować, zamiast nadawać im znaczenie, dyskutując o nich?

Rozumiem, że chodzi o słowa księdza profesora Franciszka Longchamps de Bérier na temat dzieci z in vitro.

Tak.

Mówienie o tym w trybie sensacji oczywiście nie ma sensu. Ale ponieważ w pracy naukowej zajmowałem się mową nienawiści – badałem obecność antysemityzmu i homofobii w polskim języku publicznym – myślę, że trzeba się przyglądać takim wypowiedziom jako przejawom pewnych głębszych tendencji. Przeanalizowanie kontekstu, w jakim takie słowa są możliwe, w jakim coś znaczą, jest potrzebne.

Zacznijmy więc od znaczenia. Ksiądz profesor powiedział: „Są tacy lekarze, którzy po pierwszym spojrzaniu na twarz dziecka wiedzą, że zostało poczęte z in vitro. Bo ma dotykową bruźdę, która jest charakte-

rystyczna dla pewnego zespołu wad genetycznych”.

Moim zdaniem te słowa wynikają z pewnej bezzadności Kościoła katolickiego w próbie przekonania społeczeństwa, że metoda in vitro jest moralnie zła. Kościołowi, przy dużej pomocy państwa, udało się przekonać Polaków, że aborcja jest moralnie zła. Kiedy zatwierdzono ustawę antyaborcyjną, zdecydowana większość społeczeństwa była przeciwko niej. A że w wielu przypadkach świadomość społeczna podąża za zmianą prawa, po wprowadzeniu ustawy liczba przeciwników prawa do aborcji zaczęła rosnąć i w pewnym momencie stała się większa niż liczba zwolenników.

Chociaż z punktu widzenia Kościoła in vitro jest co najmniej tak zła jak aborcja, ludzie jakoś nie są w stanie tego w ten sposób postrzegać. Traktują to po prostu jako metodę leczenia niepłodności, nie rozumieją kontrowersji. I co może zrobić przedstawiciel Kościoła w sytuacji, gdy nie udaje mu się przekonać wiernych, że metoda in vitro jest moralnie zła? Ma dwa wyjścia: ominąć

opinię publiczną i wpływać bezpośrednio na polityków...

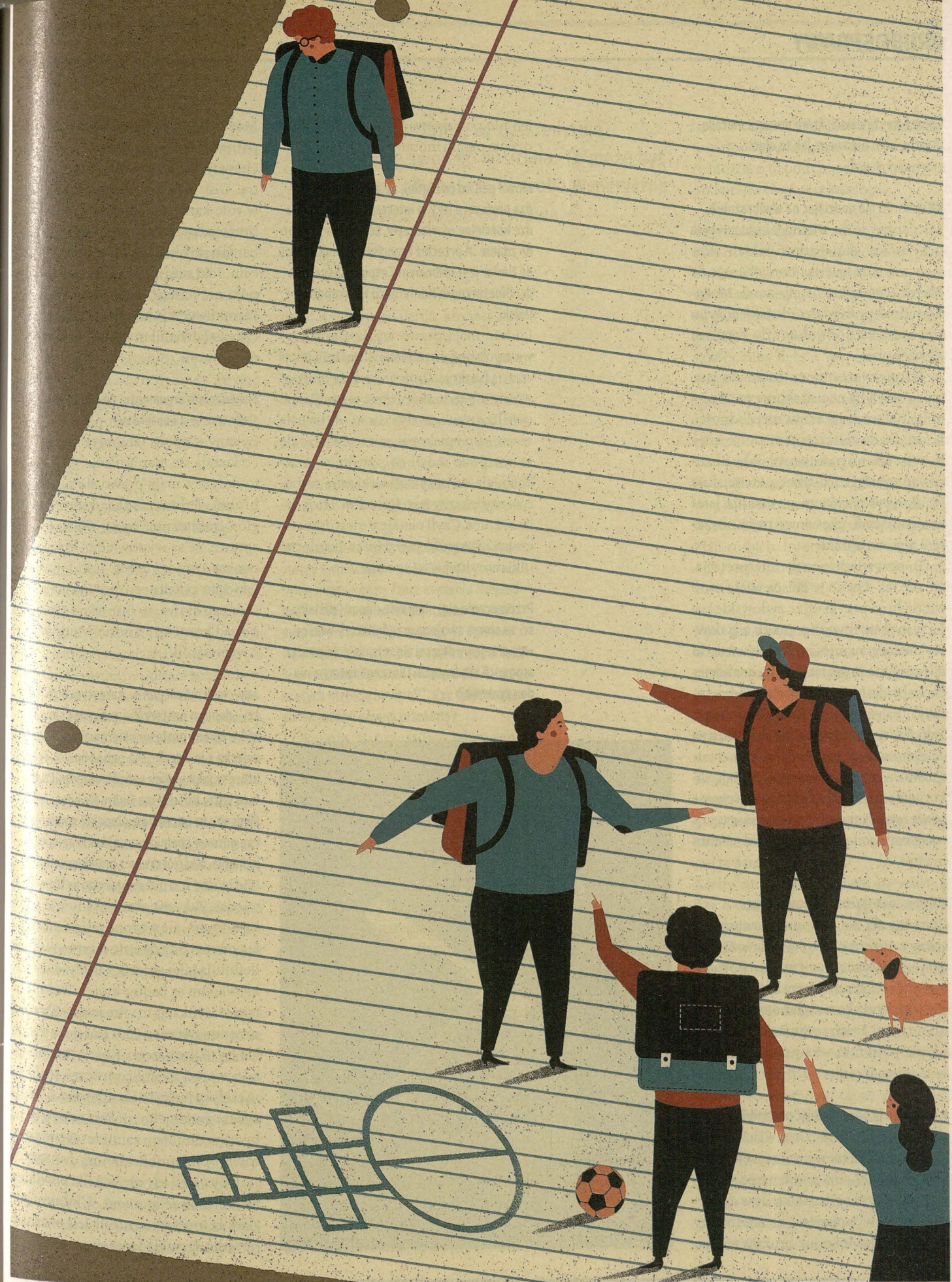
...co zresztą się dzieje w wielu innych kwestiach.

Tak. Polska polityka często nie odzwierciedla postaw społecznych, jest raczej efektem mocnej pozycji Kościoła katolickiego czy – precyzyjniej – hierarchii kościelnej.

A jeśli naciskanie na polityków nie wystarcza?

Wtedy można próbować zmanipulować opinię publiczną, przestraszyć, żeby wpłynąć na postawy społeczne. Już nie argumentem moralnym. Wypowiedź księdza profesora nie jest próbą przekonania społeczeństwa, że katolickie stanowisko przeciwko in vitro jest racjonalnie uzasadnione. To próba wzbudzenia atawistycznych lęków przed obcością, potwornością.

Nawet mówienie w kontekście in vitro o zabijaniu potencjalnych braci i siostr utrzymuje sprawę na poziomie abstrakcyjnym. Ale po-

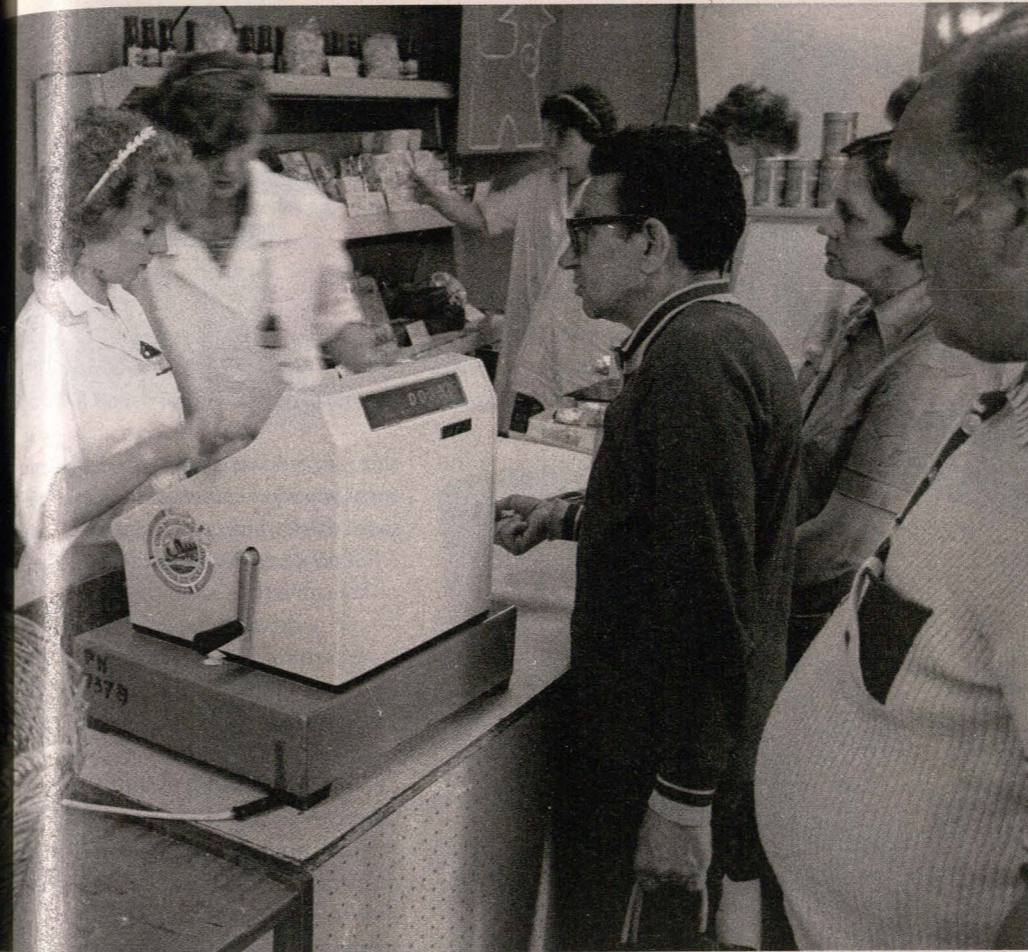
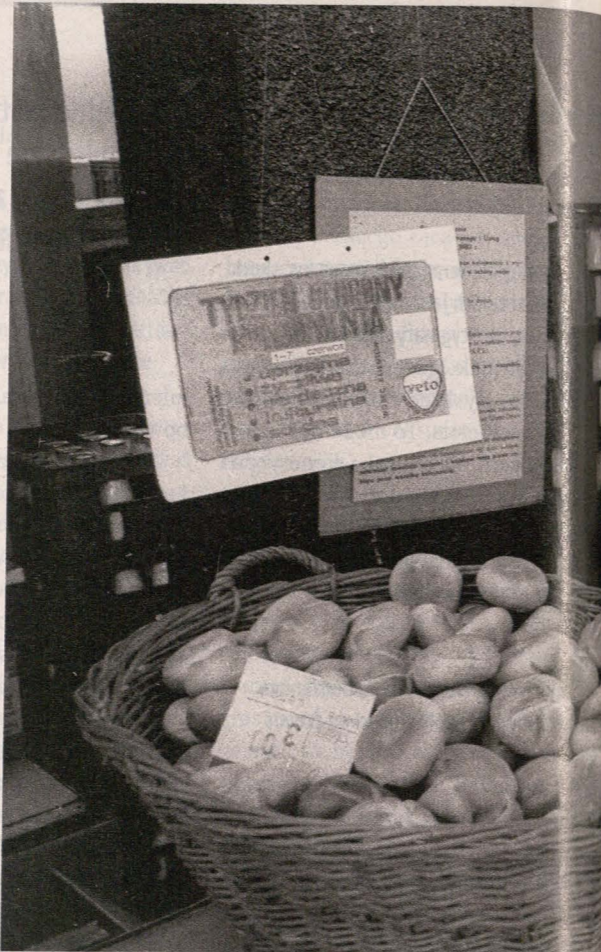


GRAŻYNA RASZKOWSKA, GRZEGORZ SIEMIONCZYK

Zapytaj piekarza o kryzys

Nuda, nuda, nuda – tak najczęściej reagujemy, kiedy słyszymy kolejne komentarze na temat kryzysu. Nic dziwnego, skoro ciągle to samo: produkt krajowy brutto spada, a stopa bezrobocia rośnie. Ale jest wiele danych, które **opisują świat gospodarczy w barwny i niestandardowy sposób**. Wzięliśmy pod lupę kilka z nich.

ROMAN NOTOWICZ/FORUM



der, prezes kosmetycznego potentata Estée Lauder, który stworzył nawet termin „wyprzedzający wskaźnik szminki” (ang. Leading Lipstick Indicator).

Zapytaliśmy firmę Coty Polska, jednego z liderów rynku kosmetyków do makijażu, jak ocenia sprzedaż produktów w ostatnim czasie. Okazało się, że sprzedaż kolorówki, czyli szminek, podkładów, lakierów do paznokci, kredek do oczu, dynamicznie rośnie. – Trudno jednoznacznie mówić o efekcie szminki, bo rośnie sprzedaż całej kolorówki. Zwyczki są naprawdę wysokie, dwucyfrowe, a najlepiej wypada sprzedaż lakierów do paznokci. Tak naprawdę powinniśmy mówić teraz raczej o efekcie lakieru, a nie szminki – opiniuje Joanna Górka z firmy Coty Polska. I przytacza dane. Sprzedaż lakierów do paznokci marek Coty, takich jak Rimmel, Astor, Miss Sporty, Manhattan czy Sally Hansen, wzrosła w 2012 r. o ok. 35 proc., a całej „kolorówki” o 22 proc. Zwolennicy analizowania kobiecych wydatków nie będą więc zaskoczeni, że w tym roku tempo wzrostu gospodarczego w Polsce spaść ma do poziomu najniższego od dekady.

Teoria, że w chudych latach konsumenci sprawiają sobie drobne przyjemności, aby zrekompensować brak tych większych, ma wiele innych przejawów. Można ją tłumaczyć np. dynamiczny wzrost sprzedaży w ostatnich latach piwa z małych browarów – nie tylko w Polsce, choć jest ono droższe niż produkty dużych koncernów piwowarskich. Ale jeśli teoria ta jest prawdziwa, sprzedaż produktów luksusowych powinna maleć. Na przykład takich jak torebki i buty ze skóry aligatorów. W 2009 r., w trakcie pierwszej powojennej ogólnoświatowej recesji, „New York Times” donosił, że firmy tych zwierząt w Luizjanie znalazły się na skraju bankructwa. Aligatory nie przestawały się bowiem mnożyć, choć projektanci mody zmniejszyli zapotrzebowanie na ich skórę.

Czekolada i tanie pieczywo

Ugruntowaną pozycję jako jeden z czołowych, nieformalnych wskaźników kryzysu ma sprzedaż czekolady, która zawsze

Alternatywne wskaźniki ekonomiczne mają różną wagę. Żaden nie przekonuje wszystkich ekspertów. Niektóre trzeba traktować z przymrużeniem oka. Ale inne cieszą się sporym uznaniem i mają wieloletnią historię. Doczekały się opracowań w publikacjach naukowych, a ich zmiany zyskały miano „praw”.

Zaskakującą skutecznością charakteryzuje się choćby „indeks wysokościowców”, od kilkunastu lat publikowany przez brytyjski bank Barclays. Opiera się on na spostrzeżeniu, że w przeszłości realizacja ambitnych projektów budowlanych wielokrotnie zbiegała się w czasie z końcem gospodarczych boomów. – Być może zaczęło się to już od wieży Babel, ale wiemy na pewno, że w ostatnich 140 latach widać niezdrową korelację między budową kolejnych najwyższych budynków świata a nadciągającymi kryzysami – twierdzą analitycy Barclaysa.

Najsłynniejszy przykład to nowojorski Empire State Building, którego bu-

dowa ruszyła w 1929 r., gdy rozpoczynał się tzw. wielki kryzys. Kolejne rekordy wysokości padły dopiero na początku lat 70., kiedy wzniesiono m.in. chicagowską Sears Tower. Ich budowie towarzyszyły kryzysy naftowe oraz rozpad systemu walutowego z Bretton Woods. Kolejnym rekordzistą były Petronas Towers w Kuala Lumpur, których ukończenie poprzedziło kryzys azjatycki z końca lat 90. Obecnie najwyższą budowlą świata jest Wieża Chalify w Dubaju, oddana do użytku w 2010 r., gdy ten arabski emirat stanął na krawędzi bankructwa. Jakby tego było mało, niedługo po tym, gdy w 2007 r. dubajska wieża osiągnęła wysokość ówczesnego rekordzisty, tajwańskiego biurowca Taipei 101, wybuchł światowy kryzys finansowy.

Wyjaśnienie tej zależności jest proste: budowa drapaczy chmur jest na ogół wyrazem wiary w świetlaną przyszłość. A zdaniem ekonomisty z Yale Roberta Shillera, znanego tropiciela baniek spekulacyjnych, jednym z ich zwiastunów

jest właśnie pojawienie się narracji uzasadniających, dlaczego „tym razem jest inaczej”, a trwający boom nie zakończy się krachem, tak jak wszystkie w przeszłości. Poza tym ogromne inwestycje budowlane rozpoczyna się wtedy, gdy na świecie nie brakuje kapitału, a to zwykle jest oznaką zbyt luźnej – w skali globu – polityki pieniężnej. Dlatego mieszkańcy „zielonej wystpy” niepokoić może widok Sky Tower, ukończonego w zeszłym roku wrocławskiego wieżowca, który wysokością niemal zrównał się z Pałacem Kultury i Nauki, czy sąsiadującego z tym ostatnim „Żagiel Liebeskinda”, najwyższego apartamentowca w Unii Europejskiej.

Szminki i lakiery

Mocną stroną „indeksu wysokościowców” jest to, że pozwala jakoby przewidywać zwroty koniunktury z wyprzedzeniem. Tej cechy brakuje bowiem nawet większości oficjalnych wskaźników ekonomicznych. O spadku tempa wzrostu produktu krajowego lub wzroście

stopy bezrobocia dowiadujemy się dopiero po fakcie. To zresztą jest jednym z powodów, dla których ekonomiści prawdy o stanie gospodarki zaczęli poszukiwać na jej marginesach. Ataki próby podejmowane są co najmniej od 1926 r., gdy amerykański ekonomista George Taylor zauważył, że nastroje konsumentów znajdują odzwierciedlenie w długości spódnic (tzw. hemline index). Jak twierdził, spódnice wydłużają się w okresach gospodarczej niepewności, a skracają w czasach prosperity.

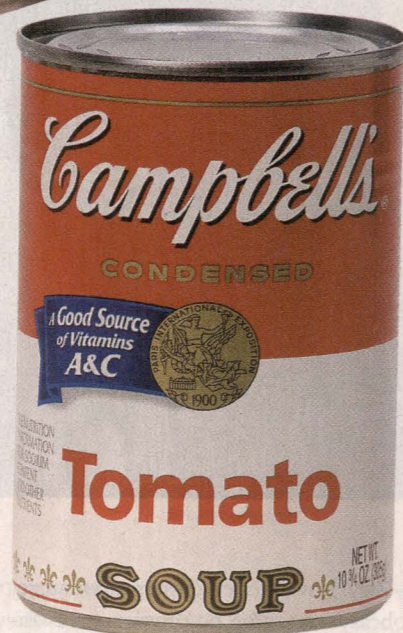
Ta teoria doczekała się kilku innych interpretacji, ale nie znajduje odzwierciedlenia w faktach – w każdym razie dziś, gdy moda zmienia się szybko, a wyraźne trendy coraz trudniej wychwycić. Z tego samego powodu trudno jednoznacznie ocenić, jak zmieniają się damskie fryzury (w trakcie kryzysów powinny być krótsze, bo wymagają rzadszych wizyt u fryzjera) oraz wysokość obcasów.

– Zwykle w okresie zapaści gospodarczej obcasyszły w górę, bo konsumenci zwrócili się ku bardziej krzykliwej modzie, był to sposób na ucieczkę – twierdzi Trevor Davis, ekspert ds. zachowań konsumentów w IBM.

Inaczej jest ze sprzedażą kosmetyków, która podobno pozwala dobrze – i znów z wyprzedzeniem – ocenić koniunkturę. Jedną z najbardziej znanych kryzysowych miar jest tzw. efekt szminki, chociaż nasi rozmówcy wskazują obecnie raczej na „efekt kolorowych lakierów” (do paznokci oczywiście). Okazuje się, że w trudnych czasach panie nie rezygnują ze znamion luksusu, starają się jednak zapewnić je sobie jak najtańszym kosztem. Dlatego gwałtowny wzrost sprzedaży szminek to niestety zły znak dla gospodarki. Oznacza, że panie nie mają pieniędzy na poważniejsze zakupy i dlatego pozwalają sobie tylko na te tańsze przyjemności – czyli kosmetyki – a im bardziej kolorowe, tym lepiej. To zjawisko zaobserwował jako pierwszy Leonard Lau-

Im społeczeństwo biedniejsze, tym bardziej poszukuje taniego pieczywa. To prawda, która zawsze się sprawdza.

STEVEN MARK NEEDHAM/ENVISION/CORBIS



CORBIS



ale to zdecydowana mniejszość. Obecnie coraz więcej klientów szuka jak najtańszego chleba, innego nie kupują – mówi. – Jest też oczywiście jeszcze jedna grupa konsumentów, która w ogóle pieczywa nie nabywa. To ta, która otrzymuje je za darmo w miejskich jadłodajniach czy np. od Caritasu. To niestety także rosnąca rzesza osób – dodaje prezes.

Zdrowie na drugim planie

Dlaczego w kryzysie chcemy się objadać gorszymi produktami? Dlaczego zapominamy o zdrowiu? Zapytaliśmy o to psycholożkę i psychodietetyczkę Annę Januszewicz z warszawskiej Wyższej Szkoły Psychologii Społecznej. – Prawdopodobnie w czasach kryzysu skupiamy się bardziej na problemach codziennych, a na co dzień nie obserwujemy przecież gołym okiem efektów zdrowotnych związanych z jedzeniem. Niezależnie od tego, czy zjemy białą bułkę czy dobrej jakości ciemne pieczywo, funkcjonujemy podobnie. Mało osób odczuwa natychmiastową różnicę – komentuje.

Tylko ci, którzy już zaczęli zwracać uwagę na sposób odżywiania i przyzwyczaili się do lepszej jakości jedzenia, taką różnicę zauważają. Ale takich osób nie jest w polskim społeczeństwie jeszcze zbyt wiele, a zdrowy tryb życia dopiero staje się modny.

– Osoby, które się do niego przyzwyczaiły i zaczęły go cenić, zapewne nawet w sytuacji kryzysu finansowego zadbają o zdrowie i nie będą oszczędzać na kosztach zdrowego żywienia. Natomiast ci, którym na tym jakoś szczególnie nie zależy i nie mają motywacji, by prowadzić zdrowy tryb życia, będą bardziej podatni na kupowanie tańszych i gorszych produktów – zauważa Januszewicz.

Czyli jeśli zdrowe odżywianie nie jest w naszym życiu priorytetem, to skłonność do oszczędzania na jedzeniu w gorszych czasach staje się oczywista. – Kupujecie się wówczas produkty, które są większe i tańsze, tym bardziej że panuje przekonanie, iż zdrowsza żywność jest droższa. Zresztą w przypadku podstawowych produktów takich jak pieczywo tak właśnie jest – dodaje psycholożka.

Białe pieczywo to typowy przykład tego, co w podręcznikach ekonomii nazywa się dobrami niższego rzędu. Teoria wskazuje, że popyt na nie powinien rosnąć, gdy maleją dochody nabywców. Wśród produktów tego typu jest kilka, które mają status symbolu. To zupy w puszkach firmy Campbell's, konserwa mięsna SPAM i puszkowana fasolka w sosie pomidorowym Heinz. Z analizy wyników tej ostatniej firmy trudno wyciągnąć jednoznaczne wnioski, bo ma ona bogatą paletę produktów. Ale firma analityczna Nielsen podawała w czasie recesji z 2009 r., że w Wielkiej Brytanii sprzedaż fasolki w puszkach była o 23 proc. wyższa niż rok wcześniej. Sprzedaż SPAM i skondensowanych zup Campbell's z okresów największych zawirań w gospodarce też nie pozostawia raczej wątpliwości, że teoria dóbr niższego rzędu ma sens. To, że w przeliczeniu na kilogram wiele konserw mięsnych jest droższych niż zwykle mięso, nie ma zna-

czenia, bo liczy się to, jak ich przystępność oceniają konsumenci.

Dźwięki ożywienia

W kryzysie ma być więc kolorowo (szminki), słodko (czekolada) i tanio (białe pieczywo i konserwy). Zdrowy tryb życia schodzi na drugi plan choćby z tego powodu, że kojarzony jest z wydatkami. To oczywiste obserwacje. Ale są też inne. Bo alternatywne wskaźniki gospodarcze



BEW

można mnożyć w nieskończoność. Nie brakuje wśród nich makabrycznych.

I tak oznaką dekoniunktury jest podobno rosnąca liczba zwłok, których rodziny nie odbierają z kostnic. Wiadomo, pogrzeb kosztuje. Podobnie jak jazda autem czy komunikacją miejską. Stąd w trakcie zapaści gospodarczych rzekomo rośnie liczba śmiertelnych ofiar wy-

Coraz więcej klientów szuka jak najtańszego pieczywa.

padków z udziałem rowerzystów. O ile dla pierwszej z tych teorii istnieją jedynie dowody anegdotyczne, o tyle drugą zdają się potwierdzać dane. Brytyjski Departament Transportu podaje, że liczba zabitych rowerzystów w ostatnich latach wzrosła, podobnie jak w czasie kryzysów z lat 30. i 80. (po ich zakończeniu malała).

Zapaść gospodarczą sygnalizuje też wzrost liczby nieszczęśliwych małżeństw. Lub, patrząc z innej strony, spadek liczby rozwodów. Bo pozostawanie w związku małżeńskim ma pewne korzyści finansowe, a rozstania kosztują. Ta zależność ma potwierdzenie w pracach naukowych i w polskich statystykach. Liczba rozwodów nad Wisłą pobiła rekord w 2006 r., czyli rok przed wybuchem światowego kryzysu finansowego. Później przez cztery lata konsekwentnie malała. Wzrosła w 2011 r., ale w ub.r. znów zanotowano spadek rozwodów. To sygnał spowolnienia gospodarczego nad Wisłą.

Przyjemną metodą śledzenia koniunktury, w oczekiwaniu na jej poprawę, będzie z pewnością słuchanie muzyki. Według Terry'ego F. Pettijohna z Uniwersytetu Coastal Carolina, gdy sytuacja gospodarcza zacznie się malować w lepszych barwach, na listach przebojów zadomowią się krótsze, weselsze utwory o łatwiejszej treści. Ale za to w restauracjach pojawią się mniej atrakcyjni kelnerzy i kelnerki. Bo urodzonym łatwo będzie o inną pracę. ☞

REKLAMA

KRS: 0000097123



... bo jutro



Fundacja
Warszawskie
Hospicjum dla Dzieci



mnie nie będzie



MARTA ANKERSZTEIN

MIKE URBANIAK

Baby, ach, te baby!

Trzy lata temu nawet się nie znały. Dzisiaj tworzą najsilniejszy głos kobiety w polskim teatrze. I mimo że ostatnio zaprosiły także mężczyzn, to nazwy nie zmieniły. Bo to po wsze czasy będzie po prostu **CHÓR KOBIEC**.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa, legendarna autorka wspaniałych XIX-wiecznych książek kucharskich, nie mogła przewidzieć, że jej przepis na babę stanie się częścią artystycznego kobiecego manifestu, że grupa „zwykłych kobiet” zjedzie z jej recepturą połowę świata, że baba stanie się przyczynkiem do rozmowy o roli kobiety we współczesnym społeczeństwie. A tak się, zupełnie przewrotnie, stało. Bo kobiety, jak ciasto na babę, urabiają się od początku ludzkości – rękami mężczyzn oczywiście. Lepienie, formowanie, wałkowanie, wkładanie w różne formy trwa nieustannie jak świat światem. Sama Ćwierczakiewiczowa, choć była wzorową gospodynią domową, nieustannie propagowała ideę emancy-

pacji. Dziś jej receptury zestawione są w jednym dziele z Foucaultem i Simone de Beauvoir. I trzeba przyznać, że efekt jest piorunujący.

Tu mówi CHÓR

Zanim to się jednak stało, musiał powstać pomysł. Narodził się w głowie Marty Górnickiej, która chciała przywrócić współczesnemu teatrowi chór. Chór kobiecy, żeby była jasność. Sama była do tego świetnie przygotowana. Najpierw skończyła Szkołę Muzyczną im. Fryderyka Chopina w Warszawie, potem reżyserię dramatu na stołecznej Akademii Teatralnej. Zainteresowania miała zawsze rozległe. Na koncie Górnickiej jest film „Łaknąć. Próba zapisu” według Sarah Kane, praca z aktorami

nad głosem (m.in. z Redbadem Klijnstrą) czy płyta z songami Astora Piazzolli, którą zrobiła dla Polskiego Radia. Ale ciągnęła ją przede wszystkim reżyseria teatralna.

Jesienią 2009 r. ogłasza nabór do chóru. Na casting przyszła ponad setka kobiet. W różnym wieku, z różnych środowisk, zajmujących się różnymi rzeczami. Od szansonistki do matematyczki. – Babski kosmos! – śmieje się Górnicka.

Wymagania były sprecyzowane i dość dziwaczne na pierwszy rzut oka, a raczej ucha. Trzeba było bowiem przygotować na przykład przepis na dowolny specjał i go zaśpiewać. Ale nie tylko. Marta Górnicka prosiła kobiety, żeby mówiły jak komputer albo jak zwierzę

„Tu mówi CHÓR”. Spektakl Marty Górnickiej miał premierę w czerwcu 2010 r.

sprzed tysiąca lat. To był wielki sprawdzian aktorsko-muzyczny, bo przyszły chór nie planował śpiewania koled i pastorałek. Dzisiaj chórzystki mówią, że zdawały sobie sprawę, czym to pachnie.

Katarzyna Jaźnicka, na co dzień śpiewa w swoim zespole: – Od początku wiedziałyśmy, jaki jest temat, że będzie bardzo kobieco. Zaskoczono byłyśmy chyba tylko tempem, w jakim z czegoś, co miało być warsztatem, powstał spektakl. Justyna Chaberek, studentka kulturoznawstwa, potwierdza: – Od razu dostałyśmy libretto i wiedziałyśmy, w co wchodzimy. Tu nie było zaskoczenia. Marta Górnicka: – To był od początku projekt artystyczny, ale też polityczny, skierowany głównie do kobiet w Polsce. Dziewczyny o tym wiedziały.

Chórystki zaczynają intensywną pracę na scenie Instytutu Teatralnego, który jest ich artystycznym domem. Po zaledwie pół roku i morderczych próbach, w czerwcu 2010 r., dają pierwszą premierę. „Tu mówi CHÓR” jest jak uderzenie w twarz. A raczej w ohydny ryj patriarchy. CHÓR KOBIET krytykuje, wyśmiewa i grozi. Jęczy, mruczy i syczy. Czegoś takiego na deskach polskiego teatru nie było.

Na pokazy zaczyna przychodzić coraz więcej ludzi. Widownia jest bardzo wymieszana. Okazało się, że mężczyźni są także zainteresowani czymś, co w założeniu było bardzo dziewczynskie. Prasa drukuje coraz więcej recenzji. Joanna Derkaczew pisze w „Gazecie Wyborczej”: „Ten teatralno-społeczny projekt ma w sobie wiele ze zbiorowej terapii. Chwilami wydaje się, że nie pokazuje niczego poza starym »ciężki twój los, kobieto, ale i siła w tobie niezwykła«. Jednak energia bijąca z tego rozwrzeszczanego tłumu okazuje się porywająca. Wchodząca głęboko w ciało”. Aneta Kyzioł w „Polityce”: „CHÓR KOBIET jest wykrzyczaną, wyskandowaną, wyśpiewaną i wyszeptaną, na głosy, chórem i solo, kobiecą niezgodą na narzucane wizje kobiecości. Niezgodą, która buduje”. Miesięcznik „Teatr”, w swoim dorocznym podsumowaniu sezonu uznaje CHÓR KOBIET za jeden z najlepszych i najciekawszych spektakli teatru alternatywnego i muzycznego w Polsce. Ale nie wszyscy się zachwycają. Anna Jagłowska, chórzystka, na co dzień pracowniczka Urzędu Patentowego: – Usłyszałam też oprócz wielu pozytywnych głosów i takie, że to jest krzykliwe, zbyt mocne i w ogóle obrzydliwie feministyczne.

Feministyczne? A jakże! Chór wkrótce występuje na Kongresie Kobiet.

„MAGNIFICAT”

Tymczasem, siłą rozpędu i dużej kumulacji energii, Marta Górnicka zaczyna pracować nad kolejnym spektaklem,



„MAGNIFICAT” (premięra czerwiec 2011 r.) to spektakl krytykujący instytucję Kościoła katolickiego.

który otrzymał tytuł „MAGNIFICAT”. Chce powiększyć chór i dokooptowuje kilka kobiet. Kiedy otrzymują libretto, te nowe, w większości, rezygnują, „stare” zostają. Są zaprawione w boju. Tekst rzeczywiście nie jest prosty, szczególnie dla kobiet w takim czy innym stopniu związanych przecież w większości z Kościołem katolickim.

Marta Górnicka: – Jedną z bohaterów tego projektu jest Matka Boska, czyli – według Kościoła – ikona, niedościgniony wzór do naśladowania. Niepokalana i jednocześnie matka. Jeden wielki konstrukt sprzeczności, który serwuje się kobietom. Ja nie mogę być dziewczicą i matką jednocześnie, do tego milcząca, modląca się i płacząca brylantowymi łzami. „MAGNIFICAT” miał, w założeniu, rozmontować ten mit Matki Boskiej, kobiety niemożliwej, której wizerunek w Polsce wpływa przecież na kobiety.

Jak wyglądała praca nad tym spektaklem? Anna Jagłowska: – Jeśli chodzi o formę, to było łatwiej, bo już przeszliśmy przez „Tu mówi CHÓR”. W sferze ideologicznej trzeba się było z tym zmierzyć, co nie było proste. – Ja miałam z tym inny problem – mówi Justyna Chaberek. – Na począt-

ku „MAGNIFICAT” wydawał mi się za bardzo jeden do jednego, że to takie zwykle uderzenie w Kościół. Miałam wątpliwości, czy to będzie interesujące artystycznie. Podczas prób okazało się jednak, że to wszystko działa. I dzisiaj chyba nawet wolę to grać. Katarzyna Jaźnicka: – Była jeszcze jedna trudność, o której warto powiedzieć: spotkanie z nowymi koleżankami. My już, mówię o pierwszym składzie, pracowałyśmy jak jeden organizm. Czujemy się, słuchamy. A tu nagle w ten organizm wchodzi „obce ciało”. Proces polegał na „wchłonięciu” tych nowych dziewczyn.

Premiera „MAGNIFICAT” w czerwcu 2011 r. była artystycznym wdarcieciem się chórzystek na Jasną Górę, zdjęciem Czarnej Madonny ze ściany i roztrząskaniem jej wizerunku w drobny mak. Ale nie ma w tym żadnej profanacji, chęci szokowania, raczej autentyczna, kobieca wściekłość. Jakby krzychały: „Nie ma takiej kobiety! To wasz, mężczyzn, fantazmat”.

Oczywiście, co było do przewidzenia, na „MAGNIFICAT” nie spada deszcz zaproszeń z kraju. Spektakl krytykujący instytucję Kościoła katolickiego jest zbyt ryzykowny. Jan Pa-

weł II przecież całą Polskę zawierzył Najświętszej Panience.

Górnicka: – Ciekawe jest to, że za granicą nasze oba spektakle odbierane są po prostu jako wielkie eseje humanistyczne o człowieku. Ludzie reagują, wstają, klaszczą, krzyczą. Zdałam sobie wtedy sprawę, że chór działa. Naprawdę działa. Jest siła!

Nagrody i walizki

Co do tego nie ma wątpliwości. CHÓR KOBIET zostaje szybko zasypany zaproszeniami z zagranicy. Jest właściwie, z czego mało kto zdaje sobie sprawę, chyba najczęściej zapraszany polskim teatrem. Nawet Krzysztof Warlikowski i Grzegorz Jarzyna, kierujący flagowymi Nowym Teatrem i TR Warszawa, nie grają tyle na całym świecie.

Trudno wręcz wymienić wszystkie miejsca, w których chór występował. Witano go entuzjastycznie na festiwalach teatralnych między innymi w Pilźnie, Lyonie, Lille, Arras, Belfaście, Tokio, Berlinie, Lipsku, Dreźnie, Düsseldorfie, Monachium, Zurichu, Sarajewie, Kijowie czy New Delhi. Chórystki

zjechały także całą Polskę: od Gdańska do Krakowa, od Szczecina do Lublina, od Suwałk do Wrocławia.

Wszystko to jest karkołomnym zadaniem, bądź – jak mówią dziewczyny – logistyczną masakrą. Członkinie CHÓRU KOBIET śpiewają w nim bowiem w wolnym czasie, „po godzinach”. Anna Jagłowska: – Właściwie całe moje życie od trzech lat jest podporządkowane chórowi. Nie pamiętam, kiedy miałam urlop, i po prostu odpoczywałam. Moje urlopy zawsze są planowane tak, że pokrywają się z naszymi występami. Do tego dochodzą próby w tygodniu czy weekendy. Nasze rodziny cierpliwie to znoszą. – Planowanie naszych wyjazdów, szczególnie zagranicznych, jest naprawdę trudne. Dziewczyny mają przecież swoje życie: studia, prace, obowiązki. Każda robi co innego. I zebranie ich na przykład na trzytygodniowe tournée po Francji było wielkim wyczynem – dodaje Górnicka.

CHÓR KOBIET od momentu powstania zagrał swoje dwa spektakle 200 razy. W zeszłym roku wrócił jeszcze z wojaży z główną nagrodą na szczeciń-

skim Przeglądzie Teatrów Małych Form „Kontrapunkt”, nagrodą za reżyserię i nagrodą publiczności przyznanymi na Koszalińskich Konfrontacjach Młodych „m-teatr” i Srebrnym Wieńcem Laurowym oraz nagrodą dziennikarzy Międzynarodowego Festiwalu MESS w Sarajewie. Samą Martę Górnicką nagrodzono też za reżyserię spektaklu „MAGNIFICAT” na Europejskim Festiwalu Młodych Reżyserów w Brunzshwiku w Niemczech. Co dalej?

Gdzie ci mężczyźni

Dalej będzie rewolucja. I to na dwóch frontach. Po pierwsze, Górnicka postanowiła włączyć do chóru mężczyzn. Szukała panów po trzydziestce, którzy na przesłuchania musieli przygotować między innymi piosenkę, przepis na ulubioną potrawę, dziecięcą wylizankę, a także zdanie w języku robotników. Po drugie, libretto oparła na twórczości Władysława Broniewskiego – poety, bądź co bądź, rewolucyjnego. Spektakl jest koprodukcją teatrów francuskich (w tym Teatru Narodowego w Strasburgu) ze wsparciem niemieckim. Trzecia premiera będzie nosiła tytuł „Requiemaszyna”. O czym będzie?

Marta Górnicka: – To rzecz o współczesnej pracy, o człowieku zakleszczonym między terrorem bezrobocia i totalnym przepracowaniem. Bo to są obecnie jedyne alternatywy dla niemal każdego z nas. Marzyłam, żeby to zrobić także z mężczyznami, to dla nas kolejny krok.

Panowie są tak samo różni jak panie. Jest i profesor fizyki, i prawnik, i anglista. Podczas prób pracują równie intensywnie jak ich koleżanki, bo pod koniec marca trzeba dać pierwszą premierę już w składzie mieszanym. Jak to radykalne posunięcie, czy włączenie mężczyzn zmieni chór, okaże się już za kilka tygodni. Jedno się z pewnością nie zmieni – nazwa. To nadal jest i będzie CHÓR KOBIET. ☞

Oba spektakle CHÓRU witano entuzjastycznie na międzynarodowych festiwalach, m.in. w Lyonie, Berlinie czy w New Delhi.



MARTA ANKERSTEIN

ROZMAWIA KATARZYNA CZARNECKA, ZDJĘCIA ŁUKASZ BAKSIK

Macewa jak zwierciadło

O zadośćuczynieniu za rozkradanie i niszczenie żydowskich nagrobków oraz o przywracaniu pamięci mówi **Łukasz Baksik**. Jego zbiór zdjęć zatytułowany „Macewy codziennego użytku” wydany przez Wydawnictwo Czarne i Fundację Uptown 4 marca trafił do księgarń.



Dom i budynek gospodarczy, Pilica, miasto w Śląskiem. Lata 40. XX w. (wszystkie podpisy pod zdjęciami autorstwa Łukasza Baksika; daty oznaczają czas powstania obiektów).



Nawierzchnia placu. Inowrocław, miasto w Kujawsko-Pomorskiem. 1939-1945.

„Wyrośli wśród śmiechu i milczenia” – pisze o naszym pokoleniu Joanna Tokarska-Bakir we wstępie do pana albumu. Milczenie pamiętam, ówczesnego śmiechu nie, słyszę za to dzisiaj. A pan?

Tak samo. Ale to bardzo ciekawy wątek. Ktoś powiedział, że śmiech jest reakcją głupca na rzeczy niezrozumiałe. A może pokrywa się nim coś innego. Nie wiem.

Na przykład wstyd... Pomówmy o wstydzie. Odczuwał go pan, rozpoczynając w 2008 r. projekt „Macewy codziennego użytku”?

W takich kategoriach o tym nie myślałem, choć muszę przyznać, że jest coś na rzeczy. Wstyd automatycznie budzi we mnie skojarzenie z poczuciem winy w religijnym, katolickim znaczeniu. Nie wiem, czy ma to sens, w każdym razie takie poczucie winy jest mi obce. Wstyd jednak mniej.

Co wtedy dla pana znaczyło słowo „powinność”. Konieczność przywrócenia – przynajmniej sobie – pamięci o Żydach w Polsce.

A „ukojenie”?

Liczyłem na to, że uda mi się wywołać debatę. Nie taką, jak ta niedawna przy „Pokłosiu”, gdzie obie strony do siebie strzelają, tylko spokojną, rzeczową. Wielkopostną powiedziałbym, choć nie jestem katolikiem.

Mniej lub bardziej nerwowe dyskusje o historii polsko-żydowskiej trwają od lat.

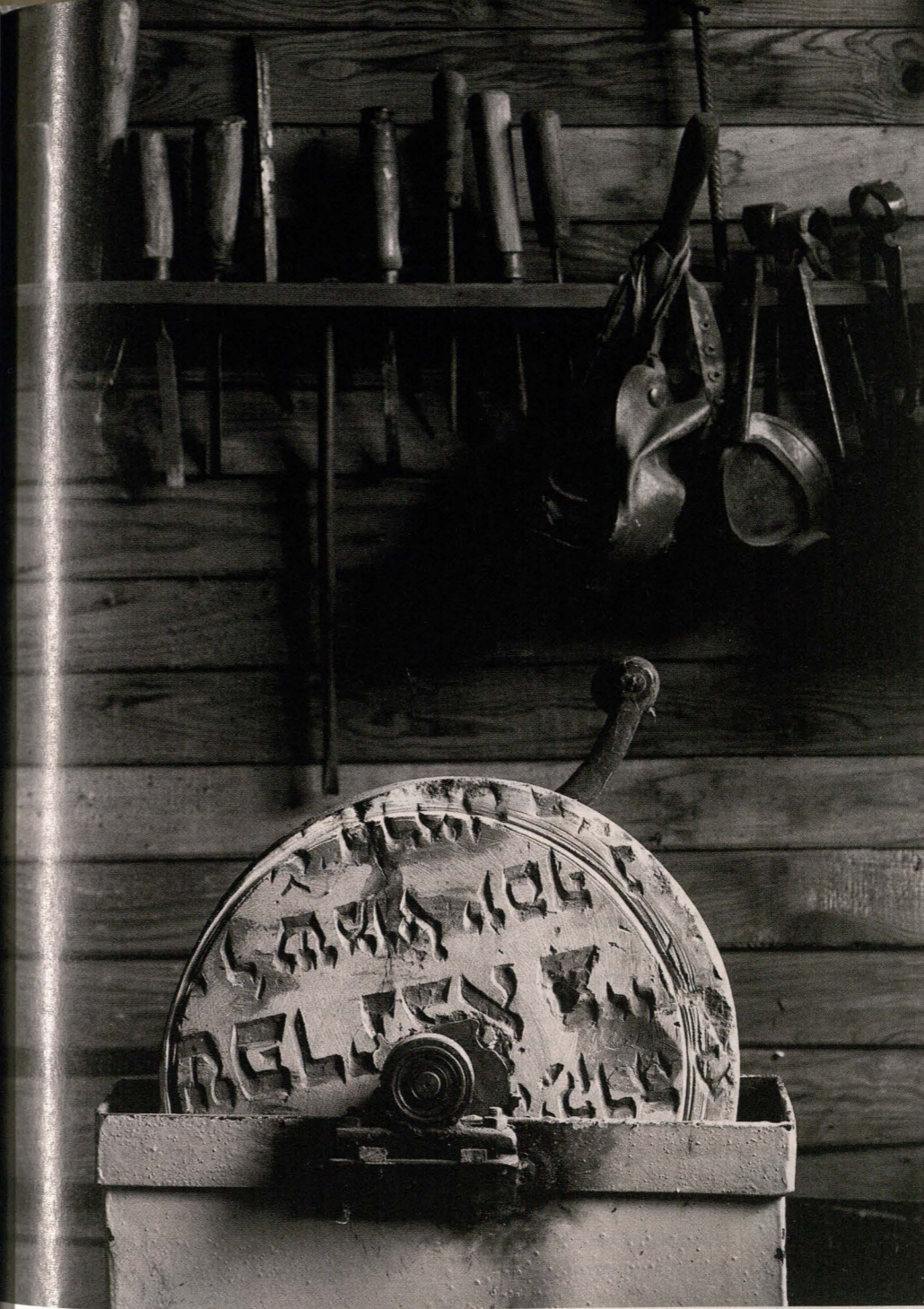
Ale ja nie mówię o historii. Władysław Pasikowski filmem „Pokłosie” czy Wojtek Wilczyk wystawą „Niewinne oko nie istnieje” też nie. My pokazujemy to, co się dzieje teraz. Lubię słowa Tokarskiej-Bakir: „Nie rozpoczynają od pytania, co można zrobić z macewami. Pytają, co te macewy mogą zrobić nam”.

Nam? Czy dla nas?

Nam. One nam coś robią. A może my sobie nimi coś robimy.

Da się to zdefiniować?

Nie wiem do końca. Myślę o tym, co napisał do mojego albumu Jan Gross: „W Polsce nie było żałoby po zamordowanych Żydach”. Macewy przypominają



Toczek (koło szlifierskie). Brok, miasto w Mazowieckiem. II połowa XX w.

ją nam o tym, że musimy ją przeżyć. Nie dlatego, że ktoś nam każe. Wierzę w to, że kiedy już miną gniew, złość, wstyd, przerażenie, strach, przyjdzie moment prawdziwego zastanowienia.

Żeby odbyć żałobę, trzeba mieć poczucie straty.

Podskórnie cały czas wyczuwamy, że czegoś, kogoś nam brakuje. Ciekawi mnie na przykład jeden taki moment, w którym o tych naszych sąsiadach

pamiętamy: kiedy mówimy o 5-6 mln polskich ofiar II wojny światowej. Nie wyodrębniamy tu zazwyczaj 3 mln Żydów. To nie w porządku z jednej strony. Ale z drugiej właśnie tak powinniśmy myśleć – w ten sposób przywracamy tych ludzi naszej społeczności.

Wyrzucanie poza swój krąg odbywa się z różnych powodów, dla różnych celów czy korzyści, najczęściej bez konsekwencji. Jednak wynoszenie czegośkolwiek z cmentarza ma reperkusje obyczajowe. To naruszenie

tabu śmierci, czyn niespotykający się zwykle z aprobatą innych.

Tak, ale te cmentarze uchodzą za nie nasze, tylko innych, obcych, wykluczonych. Niejako nie-ludzi. Grób, w którym jest pochowany nie-człowiek, przestaje być tabu. A duch, który ewentualnie mógłby nas nawiedzać, nie straszy. Nie boimy się przecież nie naszych duchów.

A jeśli – o co w małych miejscowościach nie-trudno – rodziny złodziei macew i zmarłych się znały?

Jedna z pierwszych znalezionych i odczytanych przez mnie macew należała do Miriam zmarłej w 1914 r. Ktoś ją ukraść w 1943, może 1944 r. Dziadek czy ojciec tego kogoś, nawet on sam, mógł się z nią codziennie mijać na ulicy, spotykać w sklepie czy na targu, chodzić do szkoły.

Nawet napisów nie skuwali. Patrzyli na te litery, ale ich nie widzieli. Były dla nich przezroczyste. Nie było przełożenia, że coś się stało, kogoś nie ma, a my sobie używamy ich rzeczy.

No tak: kamień dobry, blisko, za darmo.

To „tylko” praktyczne, żadnej nienawiści.

Na początku myślałem, że wszystko jest jednoznaczne, proste. Teraz mam więcej pytań niż odpowiedzi. I wiem, że nigdy nie uda mi się tego zjawiska zrozumieć. Zresztą ja bym go nawet nie chciał zrozumieć, bo zrozumienie oznacza przyjęcie czegoś rozumem, akceptację. Ja zobaczyłem, co się stało, nie zgadzam się na to i chcę to pokazać innym.

I z jakimi reakcjami się pan spotykał?

Często uruchamiał się mechanizm obronny. Słyszałem, że to nie my, tylko Niemcy, jeśli jednak my, to na rozkaz, za przyzwoleniem, z inicjatywy Niemców. A jeśli jednak Polacy, to że wojna była, że to z biedy. Że pewnie tylko na Wschodzie, bo Zachód lepszy. Że tylko na wsiach, bo miasto lepsze. Nie my, nie u nas, tylko inni i gdzie indziej.

Trudno nam to przyjąć. Mimo że macewy można znaleźć wszędzie, nawet w parku na warszawskim Grochowie. Mimo że dopuszczali się tego nie tylko zwykli ludzie, ale też wła-

dze – przecież takiego mostu w Brzezinach nie wybudował rolnik, tylko gmina czy powiat. I mimo że obiekty z macew powstawały w jeszcze w latach 70.

Nie wiem tylko, czy ze wstydu – co byłoby bardziej w miejscu, czy po prostu ze strachu.

A z użytkownikami nagrobków łatwo było nawiązać rozmowę?

Kilka razy się nie dało. Trafiam na przykład do miasteczka, do domu, w którym, jak mi powiedziano, jest szlifiernia wykonana z macewy. Gospodarz mi mówi: „Nie, to nie ja, to tamten sąsiad za mostem ma taką”. I wskazuje mi konkretne gospodarstwo. Idę tam i słyszę: „To ten za mostem ma”. I kieruje mnie do domu, z którego właśnie przyszedłem.

Ostatecznie jednak – poza nielicznymi wyjątkami – wpuszczano pana i pozwalano robić zdjęcia.

Jedni byli chłodni i zdystansowani, inni próbowali być pomocni. W większości przypadków w tych gospodarstwach czy domach mieszka już kolejne pokolenie. Nie oni te macewy kradli, więc nie czują się winni, najwyżej są nieufni, czują się zagrożeni.

A zauważali niestosowność tego, że np. chodzą po płycie cmentarnej?

Często nie. Do wielu dopiero w trakcie rozmowy to docierało. Najczęściej wtedy, kiedy pytałem, jak by się czuli, gdyby ktoś spacerował po nagrobkach ich przodków.

Szczerze mówiąc, zdziwiło mnie to, że w pana książce nie pojawiły się te rozmowy. Nie chciał pan nikogo demaskować, oceniać?

Nie zajmuję się pisaniem, robię zdjęcia. Nie chciałem tworzyć dodatkowej narracji, nie chciałem też, żeby na podstawie krótkich wypowiedzi czytelnik tworzył sobie obraz człowieka, z którym rozmawiałem. Sam zresztą mogłem interpretować i nadinterpretować to, co słyszałem. Wydaje mi się, że mogła z tego wyjść jakaś niefajna manipulacja.

Poza tekstami wstępnymi są więc w albumie tylko zdjęcia. Bez komentarzy, z suchymi opisami, rekordami



JAKUB OSTALOWSKI

z bazy danych. Nie chcę narzucać sposobu percepcji obrazu. Patrząc na własne zdjęcia, przeglądam się w lustrze. Chcę, żeby inni też mogli się w nich przejrzeć.

Zuniwersalizował pan temat?

Myszę, że uzyskałem taki efekt. Jeśli ktoś będzie szukał swojej miejscowości w albumie, ale nie znajdzie jej i uzna, że może spać spokojnie, to się myli. Ja wybrałem jedynie nieliczne przykłady, o których się dowiedziałem. Część z nich sfotografowałem. Jednak mapa wykorzystania macew, jak myślę po latach badań, pokrywa się z przedwojenną mapą cmentarzy żydowskich. Tym samym miejscowości, które znalazły się w albumie, to jedynie przykłady zjawiska, które miało dużo szerszą skalę. W każdym zakątku Polski.

Oskarża pan zatem nas wszystkich?

Oskarżenie to może za duże słowo. Chcę zwrócić uwagę, że problem dotyczy każdego z nas w tym sensie, że wszyscy musimy się zastanowić, co z tym teraz zrobić.

No właśnie, co?

Macewy powinniśmy zwrócić tam, skąd je skradziono, na cmentarze. Nawet jeśli to nie my je stamtąd zabraliśmy. Warto się zastanowić, gdzie szukamy swoich przodków. A gdzie potomkowie polskich Żydów mają ich szukać? Cmentarze określa się mianem „miasta umarłych”. Na cmentarzach żydowskich powinno być tyle macew, ilu ludzi liczyła społeczność żydowska. Gdyby nie Ho-

lokaust, tak by było. Uświadomienie sobie tego faktu było bardzo osobistym doświadczeniem.

Dobrze, koło szlifierskie można w miarę swobodnie przestawić, krawężnik wydobyć z ziemi. A co z murami, co z oborami?

Rozbieranie obór, choć możliwe, jest kosztowne. Dlatego uważam, że w niektórych przypadkach, proste upamiętnienie wystarczy. Ot, tabliczka, która wyjaśnia, jak macewy znalazły się tam, gdzie teraz są.

Zwrot byłby najlepszym rozwiązaniem. Tylko trzeba tego chcieć...

Spotykałem się z osobami, które zdecydowanie negatywnie reagowały na taki pomysł. Głównie dlatego, niestety, że oczekiwały zapłaty. Jeden pan zresztą sprzedawał macewy na Allegro. Inny liczył na to, że jego „żydowskie” zabudowania będą więcej warte. Co swoją drogą oznacza, że wiedział, iż one dla kogoś mogą być ważne.

Pan sam zapłacił za odzyskaną macewę.

Faktycznie tak było. Jednak teraz uważam, że to był błąd. Nie powinno się płacić za zwrócenie skradzionego wcześniej nagrobka.

Niektórzy chcą je po prostu oddać. Mieszkańcy miast zwykle liczą, że całą sprawę zorganizuje ktoś za nich,

ŁUKASZ BAKSIK

Ur. 1975 r., zajmuje się fotografią społeczną. Projekt „Macewy codziennego użytku” dokumentujący wykorzystanie żydowskich nagrobków w celach budowlanych lub gospodarskich realizował w latach 2008–2012. W tym czasie przejechał ok. 30 000 km, odwiedził ponad 100 miejscowości. W 2010 r. część wykonanych przez niego zdjęć została zaprezentowana na wystawie w warszawskim Centrum Sztuki Współczesnej.

Nagrobek katolicki. Topczewo, wieś w Podlaskiem. Lata 40. XX w.



na wsiach ludzie często biorą sprawy we własne ręce. Byłem na przykład w Zatorze u państwa, którzy w latach 90. rozbierali swoją oborę. Kiedy zdjęli warstwę gnoju i zobaczyli macewy, sami zawieźli je na cmentarz. Niestety szybko stamtąd zniknęły, więc kilka nadal mają.

Te pozytywne przykłady można mnożyć. Działają władze lokalne, Ochotnicza Straż Pożarna czy – bardzo rzadko – księża. Przede wszystkim jednak ludzie, których ta sytuacja uwiera. Radom, Międzyrzec Podlaski, Sobienie-Jeziory, Grodzisk Mazowiecki, Będzin, Rzeszów...

Poruszył pan jednak jeszcze jeden problem. Jak macewy mają zaistnieć ponownie na cmentarzach?

Według religijnego żydowskiego prawa macewa powinna być tam, gdzie leży osoba, którą upamiętnia. Dokładnie tam. To oczywiście w większości przypadków już niemożliwe. Ale można je ustawić pod murem cmentarza.

Niezależnie od kłopotów pana postulat o zwrot macew jest więc już spełniany.

Tak. W moim projekcie pokazałem przykłady negatywne, żeby zwrócić uwagę

na zjawisko i na to, że jeszcze za mało robimy, że przecież możemy więcej, bo to tylko kwestia dobrej woli. I bardzo mnie cieszy fakt, że kilka udokumentowanych przeze mnie przypadków zdążyło się zdezaktualizować.

Jest dwujęzyczny – chce go pan wysłać w świat. Nie boi się pan wciąż jeszcze stawianych w takich przypadkach zarzutów?

Usłyszę być może, że jestem antypolski. Cóż – nie jestem, więc nie mam z tym problemu. Uważam za to, że świat powinien zobaczyć, że rozliczamy się sami ze sobą. Że mówimy: „Mamy taki problem, pokazujemy go i staramy się go rozwiązać”. To bardzo ważny sygnał.

Pana projekt moim zdaniem uświadamia jeszcze jedną rzecz. Tokarska-Bakir w „Obsesji niewinności” napisała: „Nasza pamięć jest miejscem, w którym nie ma Żydów”. A my przecież na wyciągnięcie ręki mamy pokryte imionami koła szlifierskie, chodniki, krawężniki, mury, pergole...

Gross powiedział, że może one wywędrowały w poszukiwaniu nieżyjących i tam, gdzie je sfotografowałem, są niejako na właściwym miejscu.

Murki i pergole. Warszawa, miasto w Mazowieckiem. Lata 50. XX w.

Zauważenie ich i zastanowienie się nad kwestią ich powrotu na cmentarze jest tym, co robią nam... A co zrobiły panu? Wciąż odczuwa pan wstyd?

Raczej poczucie niestosowności tej sytuacji, choć teraz mniej niż przed realizacją mojego projektu.

Co z powinnością?

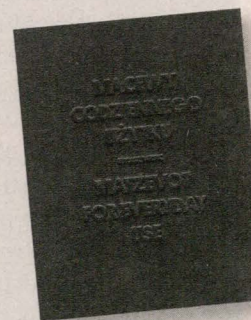
Mam poczucie, że wykonałem jakąś pracę i swoje zadanie zrealizowałem, choć oczywiście można zrobić więcej.

A z ukojeniem?

Nie ma go i nie do końca mi na nim zależy, nie sądzę, że jest do osiągnięcia. Mamy jeszcze sporo spraw do załatwienia.

I chce je pan dalej załatwiać?

Nie mogę już temu poświęcić tak wiele czasu. Mam rodzinę i najwyczajniej w świecie muszę ją utrzymać. Z dziećmi nie da się być ciągle w podróży. Ale mam w planie kolejny projekt. Chcę poruszyć temat tor. Pamiętając oczywiście o różnicach między traktowaniem świętych ksiąg w judaizmie i katolicyzmie. O tym, co robiliśmy z torami. I co tory mogą zrobić nam. ☞



Łukasz Baksik, „Macewy codziennego użytku”, słowa wstępne: Joanna Tokarska-Bakir, Ewa Toniał, Jan Tomasz Gross wyd. Czarne, Fundacja Uptown, 69,90 zł

KAROLINA SULEJ

Magiczna nawijka

– Magia to zaburzanie reguł rzeczywistości. Pamiętacie „Matrix”? Łyżka nie istnieje – mówi z uśmiechem. **Dynamo** – bo taki przydomek wybrał – to iluzjonista nowej generacji. W ubiegłym tygodniu pojawił się w Warszawie.

Nie znosi kojarzonego ze swoją profesją eleganckiego sztafażu, brokatu i kłębow dymu, ceni za to poczucie humoru, uliczny styl i technologiczne gadżety. Z zahukanego chłopca z zakazanej dzielnicy stał się podziwianym na całym świecie artystą, milionerem i idolem celebrytów. Potrafi przejść po Tamizie suchą stopą i zaimponować księciu Karolowi.

Mierzy ledwie ponad półtora metra wzrostu, jest drobny i nieśmiały. Najchętniej chowa się pod obszernym kapturem albo w objęciach za dużych o numer kurtek skórzanych. Na zdjęciach promocyjnych stroi srogie miny, dodaje sobie powagi i demoniczności – to jednak tylko żartobliwy komentarz do utrwalonego wizerunku iluzjonisty. **Dynamo** to wciąż „swoją chłopak”.

Chociaż jest milionerem i swoje przybory wozi w torbach Louis Vuitton wających połowę tego, co on, wciąż wykonuje magiczne sztuczki na ulicach miast, które odwiedza w czasie swoich tournée, żeby zadziwić lokalnych zadziornych chłopaków. Pokaże, jak włożyć telefon do butelki. Jak przegryźć monetę. Jak sprawić, żeby karty płynęły do ciebie w powietrzu. To właśnie tacy chłopcy byli jego pierwszą widownią.

Demoniczne moce i rodzinne tradycje

Steven Frayne urodził się w 1982 r. w Bradford, w południowej Anglii. Nie jest to miejsce, które polecają w prze-

wodnikach. W jednym z rankingów turystycznej atrakcyjności brytyjskich miast wylądowało nawet na drugim miejscu listy najmniej romantycznych zakątków na Wyspach. Wciąż trapią je rasowe niepokoje – druga rozpozszechniona opinia o Bradford głosi, że to jedno z najbardziej w Wielkiej Brytanii podzielonych rasowo miast, z dużą emigracją i nieprzyjaźnią do niej nastawioną lokalną większością.

Delph Hill i Holme Wood – osiedla, gdzie dorastał Steven – to jedno z największych tego typu powierzchni mieszkalnych w Europie. Rzędy niskich kamienic zasiedlone zostały przez biedujących robotników zarówno angielskich, jak i napływowych. Tutaj rozgrywa się najwięcej konfliktów – to jedno z najbardziej niebezpiecznych i problemowych osiedli w Wielkiej Brytanii.

Steven dorastał z samotną matką. Ojciec zostawił ich zaraz po jego urodzeniu. Przez lata na przemian: trafiał do więzienia i z niego wychodził. Pierwszy raz spotkali się dopiero wtedy, gdy syn miał 18 lat. Nie chciał go zobaczyć ponownie.

Starał się pomagać мамie w prowadzeniu domu, ale nie było to łatwe dla chorowitego dziecka. Jako kilkulatek zapadł bowiem na przewlekłą chorobę jelit, z którą boryka się do dziś. To zapalenie jelita o nieznanym etiologii określa się mianem choroby Leśniowskiego-Crohna. Jej objawy to przewlekłe biegunki, silne bóle brzucha, złe samopoczucie

i niedowaga. Uporczywe bóle brzucha potrafią zapełnić całe dni.

Steve był cichym i skrytym dzieckiem. Szybko stał się więc wymarzoną kozłem ofiarnym dla szkolnych dręczycieli. Najpierw obrażali go słownie, a potem przeszli do czynów – ich ulubioną zabawą było wciskanie Stevena do miejskich koszy na śmieci, a potem urządzenie sobie spektaklu z turlania kosza z górki. Wszystko zmieniło się, kiedy Steven, jako 16-latek, przeprowadził się do domu dziadków. Dziadek, Kenneth Walsh, przekonał wnuka,

Magik nie chce ci udowodnić, że jesteś od niego głupszy, nie chce cię upokorzyć swoją sztuką. Chce cię zadziwić i odświeżyć ci umysł, podnieść na duchu.

że bronić można się nie tylko dzięki fizycznej przewadze – można wykryzać swoje atuty umysłowe. Jednym słowem – przechrzyć drani. Walsh w czasie II wojny światowej, kiedy służył w marynarce, zainteresował się sztuczkami magicznymi. Odkrył, że dzięki opanowaniu nawet kilku trików można sobie dorobić, a również zyskać pewien społeczny szacunek. Wszystko, co wiedział o magii, przekazał nastoletniemu Stevenowi. W paśmie sukcesów ostatnich lat była tylko jedna ciemna

plama. Dziadek Kenneth zmarł w wieku 84 lat. **Dynamo** dochodził do siebie po tej stracie przez kilka miesięcy. Zastanawiał się nawet, czy nie odwołać trasy. Dziadek zmarł 29 lutego. Odpowiednia data śmierci, jak dla magika. Może dziadek wyciął więc swojemu protegowanemu ostatni numer?

Pierwszy trik, jaki wykonał Steven, zadziałał na jego oprawców skuteczniej niż dziesięć ciosów karate. Siłą koncentracji sprawił, że wydawał się tak ciężki, że tamci nie mogli go ruszyć z miejsca ani podnieść. – Ci kolesie nie byli najmądrzejsi, więc kiedy pokazałem im kilka rzeczy, których nie byli w stanie zrozumieć, przestraszyli się nie na żarty i zaczęli plotkować, że mam demoniczne moce – tłumaczy. Te plotki nie pomogły jednak sytuacji towarzyskiej Stevena. Wcześniej prześladowany, teraz stał się izolowany. Równiecy bali

się z nim przyjaźnić. On zaś całkowicie poświęcił się nauce sztuk magicznych.

Magik Niemożliwy

Stopniowo magia przestała też zniechęcać ludzi do Stevena – wręcz przeciwnie – zaczęła przyciągać ich do niego. Zawsze był rozpoznawany jako „ten najmniejszy w szkole”. Teraz stał się „inny” w pozytywny sposób. Nie czuł się naznaczony, czuł się wyróżniony. Jego znajomi nagrywali DVD ze swoimi raperskimi popisami. Wszyscy w okolicy byli zafascynowani hip-hopem. Steven zamarzył, że chciałby popisywać się podobnie jak kumple, nie chwając się jednak nawijką czy breakdance’em, ale swoją magią. Jego postanowienie, że właśnie taki zawód chce uprawiać, zostało wzmocnione po ciężkim ataku choroby, który na pół roku unieruchomił go w szpitalu. – Zrozumiałem, że nie mogę umrzeć, nie zostawiając po sobie czegoś ważnego – wspomina dziś. Ból wywołany chorobą nigdy nie przeszkadzał mu tworzyć i występować. Wręcz przeciwnie – nakręcał go do jeszcze większej pracy, żeby móc na chwilę o nim zapomnieć.

W czerwcu 2011 r. w czerwonym polarze i dzinsach spacerował jak gdyby nigdy nic po Tamizie u stóp Westminsteru. Setki gapiów zgromadziły się na moście, żeby zobaczyć „współczesnego Jezusa”, jak pisały o nim gazety. Ten wyczyn reklamował jego pierwszy odcinkowy program: „Dynamo: Magician Impossible”, w którym podróżuje po świecie i pokazuje coraz to nowe sztuczki – głównie celebrytom, którzy podziwiając jego występy, zmieniają się w małe, zachwycone dzieci. **Dynamo** nie potrzebuje wielkiej sceny. Swoją magię pokazuje w korytarzach, w garderobie, na tyłach studia.

Dobrze zna takie miejsca z początków swojej kariery. Za stypendium księcia Karola kupił sobie kamerę oraz laptopa do montowania filmów i rozpoczął swoje wielkie kłusowanie po celebryckich eventach i koncertach. Cwaniakowi z Bradford udawało się wcisnąć niemalże wszędzie, a ochroniarze zadziwieni jego umiejętnościami wpusz-



JASON CARRODDIFF/ACTION IMAGES/REUTERS/FORUM

czali go do VIP roomów gwiazd. Potrafił też, mimo drobnej postury, przebić się przez tłum na koncercie, tak żeby w pierwszym rzędzie zwrócić na siebie uwagę gwiazdy. Albo raczej – odwrócić od niej uwagę. Tak powstał „magiczny mix tape” pełen wyczynów niemożliwych nie tylko jeśli chodzi o magię, ale także o umiejętności docierania w miejsca, w które nie trafiają „zwykli śmiertelnicy”. Nadał mu tytuł „Underground Magic”. Umieścił nagranie na stronie i absolutnie bez żadnej reklamy zaczął sprzedawać po 8000 sztuk na miesiąc. Był 2005 rok. Kolejne gwiazdy zakochwały się w uroku młodego magika.

Jestem twoim największym fanem

– Ludzie pragną tego, czego nie mogą zrozumieć. Niby chcą twardej wiedzy, dowodów, logicznych wyjaśnień, ale wystarczy spojrzeć na ich twarze, kiedy widzą coś, czego nie umieją sobie wytłumaczyć, żeby pojąć, że jest na nich wyraz czystego szczęścia. Niezależnie od tego, czy jest to celebryta czy chłopak z ulicy. Wszyscy zmieniają się w zachwycone światem dzieci, które pragną wierzyć w cuda, w to, że życie nie jest tak oczywiste, jak nauczyli się wierzyć. Ludzie chcą też zrobić wrażenie na swoich znajomych, pokazać im coś, czego jeszcze nikt nie widział, spróbować to powtórzyć. Szukamy niezwykłości. Chcemy wierzyć, że istnieją supermoce i superbohaterzy. Nieważne, jak szczelnie otoczmy się technologią, i tak nie wyjaśnimy tajemnic magii. To inne terytorium – twierdzi Dynamo.

Teraz, w 2013 r., ich grono to już co najmniej liczba uczniów przeciętnych rozmiarów klasy, a wraz z kolejnymi sezonami „Dynamo: Magician Impossible” dołączają kolejni. Są wśród nich: Chris Martin z Gwyneth Paltrow, Ian Brown, Kim Kardashian, Sir Paul McCartney, Sir Ian McKellen, Jay-Z,



JULIE EDWARDS/PAP

Dynamo jest gwiazdą programu „Więcej niż magia”, emitowanego na antenie Discovery Channel HD (dostępne na platformie UPC).

Lindsay Lohan, Robbie Williams, Natalie Imbruglia, Brian May, Will Smith, Jonathan Ross, Wayne Rooney, Paris Hilton oraz książę Karol, który gościł go w swojej rezydencji w Clarence House. Lindsay Lohan stała się fanką Dynamo po tym, jak sprawił, że lewitowała na tarasie hotelu w Hollywood. Tini Timpah, gwiazda hip-hopu, był zafascynowany i przerażony, kiedy Dynamo pokazał mu trik z łańcuszkiem. Wziął złoty kajdan w dwie ręce i przełożył sobie przez szyję tak, jakby łańcuszek była gilotyna. To zresztą niejedyna rzecz, jaką Dynamo potrafi robić z naszyjnikami – umie także je zjadać i wyciągać sobie z brzucha. Ashton Kutcher był jednocześnie zniesmaczony i zachwycony, kiedy Steven wyciągnął sobie z brzucha długi sznurek od dzinsów, który wcześniej połknął.

Dla Stevena najważniejsi są jednak jego niegwiazdorscy fani. Ma prawie dwa miliony followersów na Facebooku i na Twitterze, a jego najbardziej oddana grupa admiratorów nazywa siebie „Dynamitami” i podróżuje za nim po świecie, nieczym dwór. Kiedy kilka miesięcy temu pojawił się w centrum handlowym w Westfield we wschodnim Londynie, wywołało to taką grupową euforię, że

ze względów bezpieczeństwa trzeba było zamknąć sklep.

Sztuka i sztuczki

Steven jest przekonany, że jednym z powodów, dla których stał się tak popularny, jest fakt, że rozumie swoją publiczność, czuje epokę, w której żyje. – Mamy dzisiaj wszystko na wyciągnięcie ręki. Na początku magicy usiłowali z tym walczyć, przeciwstawiać się takiemu światu, pilnować tradycji, dyskredytować technologię jako zagrożenie, ale w ciągu ostatnich lat wielu magików, wśród nich ja, pokazało, że można używać technologii w służbie magii, że nie trzeba, a wręcz nie można odcinać się od współczesnej kultury. Magicy pracują z tym, co ludzie noszą przy sobie, w kieszeniach. Staram się używać wszystkich rekwizytów współczesności dla swoich celów. Teraz oprócz kluczy i portfela noszą tam telefon, nie ruszają się bez nich. Nie można ignorować tego, co buduje codzienność ludzi, bo na niej bazuje magia, niecodziennosc – tłumaczy.

Steven nie zgadza się ze mną, kiedy nazywam jego sztukę „iluzją”, a jego „iluzjonistą”, i kiedy wyrażam obawę, że nie wszyscy są zadowoleni z oglądania sztuczek magicznych, bo sprawiają one, że czują się głupi i naiwni. – Nie jestem iluzjonistą. Iluzjonista wykonuje triki, na które nabiera łatwowernych. Nikt nie lubi, jak się go oszukuje. Każdy też może się nauczyć takich sztuczek manipulacyjnych. Nie każdy jednak może się nauczyć sztuki magicznej. Magik nie chce ci udowodnić, że jesteś od niego głupszy, nie chce cię upokorzyć swoją sztuką. Chce cię zadziwić i odświeżyć ci umysł, podnieść na duchu. Mam nadzieję, że pokazuję ludziom, że świat nie jest czarno-biały i jeśli zatrzymasz się na chwilę, żeby spojrzeć na niego inaczej, możesz się zachwycić. Twojej ocenie pozostawiam, czy to, co robię, to prestidigitatorstwo czy magia. Wiem jedno – tak dobrze opanowałem swoją sztukę, że kiedy występuję, nikt z publiczności nie czuje się tak, jakbym pokazywał im sztuczki iluzjonisty. Widzą magię.

Bloomberg Businessweek

Polska

Biznes i gospodarka świata

Biznesplan na tydzień

Najważniejszy dla nas jest rynek polski

Bloomberg Businessweek

Polska

7 dni na biznes



W każdy poniedziałek. Dostępny także w kioskach.



Z KAIRU JERZY ZIEMACKI

Kucharka rewolucji

Do niedawna była sprzątaczką. Po rewolucji została gwiazdą telewizji. **Ghalia Mahmoud to arabska Nigella Lawson.** W swoim programie kulinarnym łączy z finezją dwa składniki: jedzenie i politykę. Po dojściu do władzy Bractwa Muzułmańskiego może mieć jednak kłopoty.

W egipskiej TV 25 Ghalia gotuje we własnych garnkach. Składniki, których używa, są tanie: fasola, pita, ryż, czosnek. Robi z nich keshk, mahshi, bisavę i tameję – tradycyjne egipskie dania. Każdą jej potrawę można przyrządzić za jednego dolara. Podczas gotowania mówi o niesprawiedliwości społecznej, o demokracji, o wolności słowa. Opowiada o prawach człowieka – prostym językiem. Słuchają jej miliony. Program „El Set Ghalia” (Pani Ghalia) ma w Egipcie większą oglądalność niż dziennik telewizyjny. – To nie jest tylko program o gotowaniu, to program, który ma wprowadzić Egipt w nową erę – przekonuje Mahmoud Gohar, prezes TV 25.

Ghalia Mahmoud jest żywym symbolem zmian w Egipcie. 32-letnia sprzątaczką z nadwagą, bez wykształcenia, gotująca proste egipskie jedzenie – nie miałaby szans zostać chefem TV w poprzednim systemie. W telewizji publicznej, za czasów Mubaraka, również emitowano programy w stylu „gotowanie na ekranie”. Ale pokazywano tylko luksus: królewskie krewetki i baraninę w liściach winogron. Prowadzące program były szczupłe, mówiły świetnie po angielsku, bywały w paryskich restauracjach. Władza chciała stworzyć iluzję, że Egipt jest krajem bogatym, prestiżowym, zachodnim.

Ghalia wspomina, że oglądała te programy z niesmakiem. Dzieci oblizywały się na widok smakołyków, ale jej rodziny nie było stać na taki zbytek. Rosła frustracja. – Rząd darzył szacunkiem tylko zamożnych, reszta obywateli była dla rządu niewidzialna – mówi.

Kanapki z placu Tahrir

Na placu Tahrir, podczas Dnia Gniewu, rozdawała protestującym kanapki. Jedną z tych „rewolucyjnych kanapek” zjadł Mohamed Gohar, twórca nowego kanału telewizyjnego. Urzeczony Ghalią zaprosił ją do współpracy. Jej program na żywo okazał się strzałem w dziesiątkę. Obecnie program emitowany jest trzy razy w tygodniu, w najlepszym czasie antenowym. Rekordy oglądalności bije również w Arabii Saudyjskiej. Nawet gospodynie domowe w Katarze chcą gotować tanie potrawy według przepisów egipskiej kucharki, mimo że ich mężowie to milionerzy. – Mój program nie jest tylko dla ludzi biednych. Uważam, że zaoszczędzone na jedzeniu pieniądze można wydać na inne cele – tłumaczy najsłynniejsza kucharka Egiptu.

– Nazywają mnie Kucharką Rewolucji, ale ja robię to, co robiłam całe życie: gotuję i sprzątam. Jedyna różnica jest taka, że teraz robię to przed kamerami – mówi. Egipcjanie oszaleli na jej



Program „El Set Ghalia” (Pani Ghalia) ma w Egipcie większą oglądalność niż dziennik telewizyjny.

punkcie. Dlaczego? Powodów jest kilka. Po pierwsze, wszystko, co gotuje, jest tanie. Każdego stać na to, żeby jeść to samo, co ogląda na ekranie telewizora. Po drugie, wszystko smakuje jak u mamy; Ghalia specjalizuje się w tradycyjnej egipskiej kuchni, przyrządza: mahshi (faszerowane liście winogron), bisara (puree z fasoli), fava (pastę z grochu) i różnego rodzaju gulasze. Większość Egipcjan jadła te potrawy w dzie-

ciństwie. Wielu ogarnia kulinarna nostalgia.

Ale w kuchni pani Ghali rozmawia się nie tylko o przepisach. W studiu pojawiają się działacze społeczni, duchowni, aktorzy i muzycy (goście zwykle pomagają robić sos). Ich udział w programie ma być czytelnym komunikatem: nowy Egipt jest otwarty na dialog ze wszystkimi. Ważne jest również, że ludzie dzwonią do stu-

dia. Pytają o przepis na falafel i o wybory – chcą wiedzieć, jak doprawić cieciorkę i na kogo głosować. Bez cenzury. Dzięki gościom w studiu i rozmowom telefonicznym na antenie program jest żywy i demokratyczny. – Studio staje się miejscem spotkań ludzi z różnych kultur, religii i warstw społecznych. Nasz program to platforma porozumienia – chwali się Habiba Hesham, producentka programu, muzulmanka w różowych tenisówkach.

Poznają Ghalie tuż przed programem, w budynku TV 25, w centrum Kairu. Ma na sobie różowy hidżab, podomkę w kwiatki i czarną spódnicę. Jest uśmiechnięta i serdeczna. W trakcie rozmowy zaczyna przygotowania do wejścia na żywo. Poprawia marchewki w salaterce, wyjmując z lodówki śmietanę. W dzisiejszym programie zamierza przyrządzić ciasto marchewkowe z chałwą. Składniki kupuje na kairskich ba-

zarach. Studio przerobione na kuchnię wygląda ubogo: nie ma zmywarki, blenderów i robotów kuchennych. Są słoiki, stara lodówka, ciekący zlew. Tak wygląda większość kuchni w Egipcie. Studio to replika jej własnej kuchni. Teraz, gdy kupuje naczynia, bierze dwa komplety: jeden do domu, drugi do studia.

Sławna, ale niezamożna

Przed rewolucją gotowała dla 20-osobowej rodziny. Oprócz jej dwóch córek i męża na garnuszku byli: seniorzy rodu, bezrobotni kuzyni, ubogie ciocie i zaniebane dzieci sąsiadów. Jej mąż pracował jako kierowca autobusu, ona dorabiała jako służąca. Było ciężko. Domowy budżet wynosił ledwie kilka dolarów dziennie. Mięso na stole pojawiało się tylko raz w tygodniu. W telewizji Ghalia przyrządza mięso tylko w piątki. Większość rodzin w Egipcie żyje podobnie. Dlatego jej program jest tak bardzo popularny.

Dorastała w biednej dzielnicy Waraa w Kairze, największym mieście Afryki, przeludnionym i brudnym. Kair liczy 17 mln mieszkańców, każdego roku przybywa tu kolejne 300 tys., ludzie migrują za chlebem. Na jednego mieszkańca przypada jedynie 13 cm kwadratowych zieleni. Nie miała łatwego dzieciństwa. Jej ojciec zmarł, gdy była mała. Jako nastolatka musiała ciężko pracować. Nie zdobyła wykształcenia. Tylko jeden jej kuzyn ukończył szkołę średnią. Zaraz po tym, jak uzyskał dyplom, rozpoczął pracę w KFC. To nie był szczyt jego marzeń. Ale w Egipcie Mubaraka na więcej nie mógł liczyć.

Ghalia jest pierwszą osobą w rodzinie, która odniosła sukces. Teraz jest sławna. Dokument o jej karierze wyemitowało BBC. „The Washington Post” napisał, że Ghalia Mahmoud jest jak Rachel Ray, amerykańska celebrytka, która prowadzi program „\$40 a Day”. Różnica jest znaczna: Ghalia za 40 dol. mogłaby gotować przez cały miesiąc. Natomiast czytelnicy „The Guardian” porównali ją do Oprah Winfrey. Tak jak Winfrey, Ghalia Mahmoud przeszła drogę od nieznanego, biednej dziewczyny do gwiazdy telewizyjnej. Ale w przeciwieństwie

do Amerykanki nie osiągnęła jeszcze komercyjnego sukcesu. Nadal jest niezamożna. Telewizja, w której pracuje, dopiero zaczyna działalność. Roczny budżet TV 25 nie przekracza 3 mln dol. W tym czasie Oprah Winfrey zarabia 150 mln dol.

Portret męża zamiast twarzy

Nie wszyscy lubią Ghalie. Mieszkańcy kairskiej dzielnicy Abbasiya od początku byli przeciwko rewo-



FREDERIC SOREAU/AFP

lucji. Dla nich Ghalia jest symbolem zmian, których nie chcą. Większość z nich potępia zaangażowanie kobiet w rewolucję; gorszą się, gdy słyszą, że na placu Tahrir aktywistki spały obok aktywistów. Obawiają się, że obecnie, po upadku Mubaraka, Egipcjanom grozi zepsucie moralne. Zbierają się w pobliżu siedziby Rady Wojskowej; manifestują przynajmniej raz w tygodniu. Rozmawiam o nich z kairskim taksówkarzem o imieniu Ramzes. Tłumaczy mi: – To ludzie, którzy kochają Mubaraka. Służyli mu. Są dzięki nie-

Ghalia zaopatruje się na lokalnych bazarach. Za dolara potrafi przygotować smaczny i sycący posiłek.

mu zamożni. To stołeczna klasa średnia. Oni nie chcą zmian.

To właśnie ci ludzie wybrali nową władzę po rewolucji – Bractwo Muzułmańskie. Mieszkańcy dzielnicy Abbasiya wolą oglądać programy prowadzone przez islamskich duchownych. Przez całą dobę w telewizji satelitarnej salaficy kaznodzieje udzielają porad małżeńskich, religijnych i politycznych. Salafici mają bardzo silne wpływy w społeczeństwie

egipskim. Po rewolucji założyli partię polityczną. Kobiety startujące z listy Partii Światła musiały zasłaniać twarz na plakatach wyborczych; część z nich zasłoniła twarz kwiatkiem, inne portretem męża. Żadna z nich nie dostała się do parlamentu. Nie da się ukryć: sukces Ghalii to również mały triumf feminizmu w świecie silnego patriarchy.

Światowe Forum Ekonomiczne opublikowało ranking określający stopień równości płci w życiu społecznym i politycznym (Global Gender

Gap Report). Egipt zajął w tym rankingu 120. miejsce, jedno z końcowych. I choć ostatnie lata przyniosły znaczną poprawę, bo kobiety coraz częściej podejmują studia i pracują poza domem, system nadal promuje mężczyzn. Bezrobocie wśród kobiet wynosi ponad 32 proc. Trzy czwarte społeczeństwa uważa, że to mężczyzna w pierwszej kolejności powinien dostać pracę. Kobiety w Egipcie są często odcięte od edukacji. Prawie połowa kobiet

Podczas protestów ich największym wrogiem byli reżimowi dziennikarze. To oni przekazywali fałszywy obraz rzeczywistości. Wmawiali społeczeństwu, że przez „wybryki młodzieży” Egipt traci stabilność finansową. To przez nich większość Egipcjan była przeciwko rewolucji; młodych z placu Tahrir obrzucono wtedy wyzwiskami. Dopiero gdy dopięli swego, obalili rządy Mubaraka, społeczeństwo poparło ich działania. W redakcji TV 25 walka trwa nadal.



FREDERIC SOREAU/AFP

na wsiach to analfabetki. W miastach nie potrafi czytać ani pisać co czwarta kobieta. Ghalia to typowa egipska kobieta. Dlatego jej sukces niesie nadzieję milionom Egipcjanek.

Córa rewolucji

Egipska TV 25 powstała tuż po rewolucji. W nazwie nawiązuje do Dnia Gniewu – 25 stycznia. Założyli ją ludzie Pokolenia Tahrir – młodzi, dla których rewolucja była momentem życiowego przełomu. Po wygranej rewolucji postanowili tworzyć wolne media. Dlaczego?

– To walka o nowy Egipt – tłumaczy Seif Khirfan, który swoje studio ma tuż obok studia Ghalii.

Seif jest jej rówieśnikiem. Przed rewolucją był lekarzem. Podczas protestów na placu Tahrir został ranny. Władza otworzyła do niego ogień z ostrej amunicji. Wtedy zrozumiał, że Egipt Mubaraka zabija własnych obywateli. Te 18 dni na placu Tahrir zmieniło jego życie. Nie wrócił już do kliniki. Został dziennikarzem. – Egipt po rewolucji potrzebuje rzetelnych dziennikarzy, może bardziej niż lekarzy. Potrzebuje

Program Ghalii trafia do najbiedniejszych. Klasa średnia woli golądać audycje muzulmańskich duchownych.

również kucharzek, szczególnie takich jak nasza Ghalia – tłumaczy w rozmowie. Nowe idee słabo się przyjmują na pusty żołądek.

– Ghalie, Seifa i wielu innych wspólnych ludzi poznałem na placu Tahrir. Nie pozwoliłem im wrócić do domów. Nie chciałem, żeby duch rewolucji uleciał. Zaprosiłem ich do telewizji – tłumaczy Mahmoud Gohar. Po zwycięstwie Bractwa Muzułmańskiego w pierwszych demokratycznych wyborach po rewolucji jego telewizja zaczęła mieć problemy. Bracia Muzułmańscy to organizacja religijno-polityczna. Od początku istnienia, czyli od lat 20. XX wieku, sprzeciwiają się świeckim tendencjom w krajach muzulmańskich, odrzucając zachodnie wzorce i żądają bezwzględnego powrotu do zasad Koranu. Niechętnie patrzą na mniejszość chrześcijańską w Egipcie, do której należy Ghalia. Z niepokojem obserwują opozycyjne działania niezależnych mediów. Sytuacja w Kairze wciąż nie jest stabilna. Być może nowa władza odważy się wkrótce ocenzurować najpopularniejszy program kulinarny. Ale czy nie stanie się wtedy śmieszna? I czy nie będzie już za późno? Ghalie zdążyły pokochać miliony, kucharzka rozpałała w Egipcjanach nowego ducha.

Kobiece paluszki

„Po rewolucji czasem nasze dni są słodkie jak chałwa, a czasem gorzkie jak cebula” – mówi Ghalia zatroskanym widzom. Omar, bezrobotny wieśniak spod Aleksandrii, pewnego razu obejrzał „El Set Ghalia”. Pokazywała właśnie, jak przyrządzić cukierki z dwóch składników. Genialnie proste! Omar wszedł do swojej kuchni i zrobił kilogram cukierków, które nazwał „kobiecie paluszki”, ze względu na kształt i wyjątkową słodycz. Cukierki rozdał sąsiadom. Poprosili o więcej. Omar zaczął produkcję. Obecnie wytwarza sto kilogramów cukierków dziennie. Ma pracę i perspektywę. Wcześniej nie miał nic. Dla niego różnica między starym i nowym Egiptem jest wyraźna. Nowy Egipt ma uśmiech Ghalii Mahmoud. Ale nie wszyscy chcą, aby Egipcjanie mogli się uśmiechać.

JERZY ZIEMACKI

Nie rozłączaj się, kotku

Zarabiają duże pieniądze, leżąc na łóżkach w swoich pokojach. Ich narzędziami pracy są kamerki internetowe. To **wideomodelki**. Choć niektórzy wolą mówić: **wideoprostytutki**.



się wygłupiać, tańczyć i trzepotać rękami – liczba widzów skacze do 300. Sypią się pierwsze wirtualne tipy. Dobrze jej idzie. W języku angielskim prowadzi błyskotliwe rozmowy z mężczyznami. Gdy pytają Valentinę, z jakiego jest kraju, nie mówi od razu, że z Polski, każe im zgadywać, naprowadza: „Kraj w środku Europy o tragicznej i smutnej historii, Chopin, Kraków, Jerzy Dudek”. I tak nawiązuje się rozmowa. Bliższa relacja. Minuty lecą, facet się wkręca, ona zdejmuje stanik, w lewej części ekranu widzi, jak rośnie jej stan konta.

Hajs musi się zgadzać

Natalia z Łodzi, rocznik 1991, jest wideomodelką dłużej niż Valentina, lubi swoją pracę, bo jest łatwa i przyjemna. Siedzi przed kamerką, w staniku lub bez, rozmawia z ludźmi z całego świata. Pije kawę lub alkohol. Puszcza głośno muzykę. Pali papierosy. Posyła gorące buziaczki. Uważa, że jest szczęściarą. Odkąd zaczęła karierę w wideomodelingu, stać ją na wiele: wynajem mieszkania, kosmetyki, ciuchy, kawę w kawiarni i papierosy. W pokoju ma wszystko, co jest jej potrzebne do zarabiania pieniędzy: biały laptop, duże łóżko, mnóstwo zmysłowej bielizny i dwa słowniki do angielskiego.

Jej klientami (woli określenie „ rozmówcy”) są Amerykanie, Brytyjczycy i Australijczycy, ale również Francuzi, Włosi i Hiszpanie. Natalia mówi kilka słów w każdym z języków, ale najczęściej potrafi wyrazić językiem ciała. Z wieloma rozmówcami już zdążyła się zaprzyjaźnić. Kilku z nich odwiedza ją regularnie. Natalia cieszy się, że może pracować na zagranicznych portalach.

Otrzymała wiadomość: „Witaj, czeka na Ciebie stanowisko wideomodelki. Praca od zaraz. Zarobki od 3000 do 5000 złotych. Regularne wypłaty. Legalna umowa o współpracę. Komfortowe warunki. Anonimowość (blokowanie czatów z Polski). Możliwość wzięcia zaliczki na zakup niezbędnego sprzętu: kamerki, bielizny i szybkiego Internetu. Odezwij się, jeśli jesteś zainteresowana. Jak Twój angielski?”. Valentina odpisuje od razu. Umowę podpisuje w kawiarni. Wieczorem włącza kamerkę. To jej pierwszy dzień w nowej pracy.

Ma na sobie czarny stanik. Urodę filmowej Amelii, śnieżnobiały uśmiech i zmysłowe ramiona. Paznokcie pomalowane na czerwono. Jej transmisję w kwadrans ogląda 200 osób z całego świata. Wcale jej to nie peszy. Zaczyna

Poznawać wielu ciekawych ludzi. – Nie chcę pracować na polskim portalu. Polacy muszą się nauczyć oglądy. Płacą mało tokenów, a chcą oglądać tylko cipy i cucky – twierdzi Natalia. Przekonuje, że na zagranicznych portalach jest inaczej. Większa kultura. Lepsze zarobki.

No i atmosfera. Jest mocno rozluźniona. W kamerkach widać masturbujące się kobiety, pary uprawiające seks na żywo, mężczyzn (w mniejszości) onanizujących się przed kamerą. Ale wśród tych hardcorowych kamerkach są również zupełnie niewinne: uśmiechające się nastolatki w bluzkach z dużym dekoltem, dojrzałe kobiety w garsonkach, chłopcy w golfach. Większość z nich czeka na prywatny czat, wtedy pokazują więcej. Są i tacy, którzy nigdy nie przekraczają pewnych granic. Flirtują. Zarabiają pieniądze na podtrzymywaniu erotycznego napięcia. Bez pointy. Natalia mówi mi, że też nie przekracza granic.

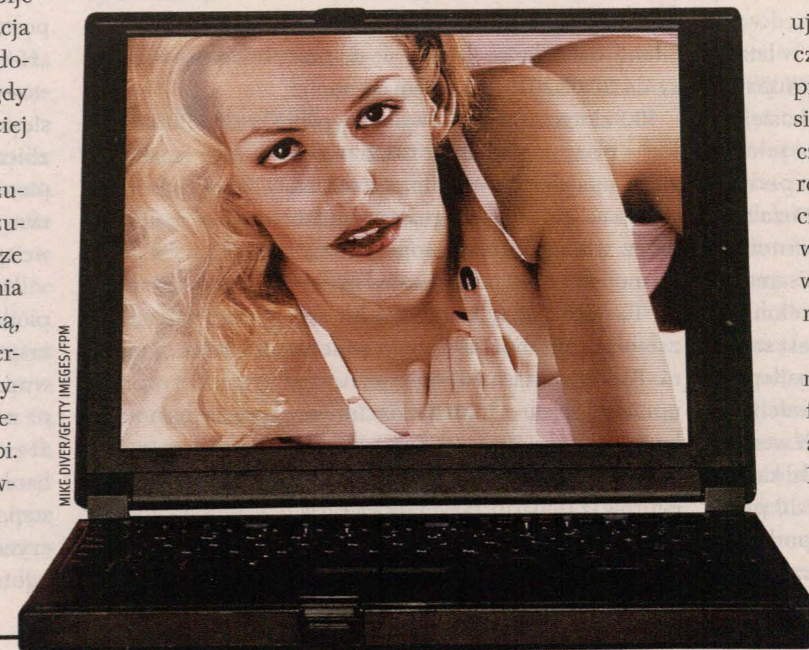
Ale żeby zarabiać naprawdę dużo, trzeba iść na kompromisy. Dziesięć najlepszych modelek dostaje duże premie. Żeby być wśród najlepszych, trzeba położyć dużo. Nic tak nie podbija licznika jak publiczna masturbacja kolorowym wibratorem. Natalia doskonale o tym wie. Ale jeszcze nigdy tego nie zrobiła, choć coraz częściej zdejmuje majtki.

Nie jest osobą wierzącą. Nie czuje, że robi coś złego. Nie ma wyrzutów sumienia. Co więcej: od zawsze interesowała się sztuką uwodzenia i ars amandi. Gdy była nastolatką, uwielbiała wchodzić na czaty internetowe i wypytywać ludzi o ich życie erotyczne. Podniecało ją to. Teraz zarabia pieniądze na tym, co lubi. I w czym jest naprawdę dobra. Również po angielsku. – Rządzą nami popędy. Nie ma co ukrywać. Internet to jedno wielkie seksu-

alne podziemie, a ja robię na tym legalny biznes. Bo hajs musi się zgadzać – tłumaczy Natalia. I dodaje: – Wiele firm, z którymi współpracowałam, oszukało mnie. Zapłacili mi za mało albo wcale. Teraz wszystko jest OK. Chciałabym zaistnieć jeszcze na portalu w Szwajcarii. Jest tam wielu bardzo nadzianych gości.

Ona tańczy dla Was

Valentina godzi się, abym obserwował, jak pracuje. Przez trzy godziny siedzę na krześle naprzeciwko jej komputera. Nie mogę wyjść, bo drzwi są w kadrze, a mężczyzna w kadrze to złamanie regulaminu. Valentina ma na sobie czarną bieliznę, włosy spięte w kok, a w jej oczach odbija się ekran komputera. Píše na klawiaturze, śmieje się, gładzi opuszkami palców dekolt. Niektórzy pokazują się w kamerkach, inni nie. Jedni chcą tylko rozmowy, inni elementów striptizu. W przerwach Valentina poprawia makijaż. Ustawia kamerkę tak, aby tło było korzystne. Wie, że widzowie cenią autentyczność. Dziewczyny, które



w kamerce pokazują bałagan w swoim pokoju, są bardzo lubiane, bo są autentyczne. Teraz za tło służy jej wygodna, granatowa sofa. Ruch na czacie jest dziś duży. Po godzinie Valentina zdejmuje stanik. Zaczyna tańczyć na łóżku. – Dla kogo tańczysz? – pytam. – Dla Richarda, nauczyciela matematyki z Ohio. To jest spoko ziomeczek.

Po pracy bierze prysznic. Właściwie nie wiadomo dlaczego, bo nawet się nie spociała. Pokazuje mi konto na jednym z portali erotycznych: aktualną pozycję w rankingu, efektywność, czas spędzony online, miesięczny dochód. Wszystko wygląda jak gra komputerowa z elementami hazardu. Najlepsi zgarniają najwięcej. Do pensji wliczane są premie w zależności od pozycji w hierarchii, liczby interakcji i zarobionych tokenów. Valentina ma 604 euro na koncie. W tym miesiącu zamierza zaważyć o Top 10.

Mentorki i nowicjuszeki

– Jesteś śliczna, ale zdejmij ten sweter, wyluzuj się, pomyśl o przyjemnych rzeczach, uśmiechnij się. Patrz w kamerkę! – Patrycja instruuje dziewczynę, która dziś wieczorem daje pierwsze show przed kamerką. Komunikują się za pomocą Skype'a. Dziewczyna ma na sobie biały sweter, jest spięta, poprawia włosy, czerwieni się i spuszcza głowę w poczuciu winy. Patrycja już wie, że jeśli nowa się nie przełamie, nic z niej nie będzie.

– Wiele dziewczyn ma wypisany na twarzy konflikt moralny. Chcą zarobić, ale wstydzą się tego, co robią. Istnieje jednak spora grupa dziewczyn, które nie mają problemów z występowaniem przed kamer-

ką. Ja osobiście nigdy nie miałam oporów. Teraz uczę inne dziewczyny, jak to robić – tłumaczy Patrycja, która na portalach z erotycznymi kamerkami debiutowała rok temu jako Loli23. Obecnie ma 24 lata. Jest camgirl (I filar wideomodelingu), ale zajmuje się również moderowaniem (II filar). Trenuje nowe dziewczyny. Często występuje w roli suflera: pisze dziewczynie, jak ma odpowiadać na konkretne pytania mężczyzn.

Praca moderatorki jest opłacalna. Patrycja dostaje jedną trzecią sumy z pieniędzy zarobionych przez modelkę, której pomaga. Zarabia ponad 3 tys. złotych.

– Najbardziej żał mi samotnych matek, które chcą zarobić na kamerkach pieniądze na utrzymanie rodziny. Pracują nocami, gdy ich dzieci śpią, czasem nie znają angielskiego, jedyne, co mogą zaoferować, to mechaniczne, nerwowe pocieranie narządów płciowych. W stresie. W strachu, że dziecko wstanie i zapyta: „Mamusi, co robisz?” – mówi Patrycja. Przyznaje, że nie lubi współpracować z takimi osobami. Woli dziewczyny przebojowe i pewne siebie. Wczoraj moderowała pewną 20-latkę, która od razu wiedziała, jak podkręcić publikę. Zachowywała się trochę jak Paris Hilton, trochę jak Britney Spears, a trochę jak Katarzyna Figura. Budowała napięcie. Takie dziewczyny mają szansę na duże zarobki.

– Dziewczyny urodzone w latach 90. są o wiele bardziej otwarte niż starsze kobiety. Duży wpływ na dzisiejsze 20-latki miała amerykańska telewizja, gdzie erotyka i show to podstawa przetrwania w świecie. Poza tym młodzi wychowali się z Internetem, gdzie króluje pornografia. Ja sama jestem z pokolenia, które przekminia świat zupełnie inaczej niż nasi starzy – tłumaczy. I przyznaje, że najlepsze pieniądze w branży wideomodelingu zarabia się w III filarze, czyli w znajdowaniu nowych modelek. Od każdej znalezionej modelki ma się 10 proc. jej utargu. Wystarczy mieć pod sobą tuzin dziewczyn, które zarabiają



na siebie, żeby mieć z tego całkiem niezłe pieniądze.

90 złotych za minutę

„Kandydatki, które zgłoszą się do pracy do 28.02.2013 r., otrzymają bonus – 500 złotych przy pierwszej wypłacie” – pisze na swoich stronach portal video-modelka.pl. Współpraca z firmą polega na „prowadzeniu transmisji poprzez własną kamerkę internetową”. Co modelka musi pokazywać w kamerce? To zależy już tylko od niej. Ale aby zarabiać, nie można nudzić widzowi. Podczas transmisji nie można też uprawiać seksu z mężczyzną. Innych limitów nie ma. Zleceniodawcy oferują nowym wideomodelkom pomoc moderatorów (z II filaru), takich jak Patrycja, którzy służą wskazówkami. Zajmują się również formalnościami, jak rozliczanie

skomplikowanych systemów tokenów i napiwków.

Hasłem jednego z amerykańskich portali z kamerkami erotycznymi jest: „Have fun and make money!”. To proste: baw się dobrze, nie kontroluj się, daj się ponieść emocjom, zrób dobry show, zbierz wirtualną gotówkę, zarób realne pieniądze, rozlicz się z agencją, z moderatorem i oddaj dziesięć osobie, która wciągnęła cię do biznesu.

W styczniu 2013 r. Polskę obiegła plotka, że użytkowniczka największego krajowego portalu kamerkowego showup.tv w dwie i pół godziny zarobiła na żetonach 13 tys. zł, czyli niemal 90 zł za minutę. Jak to możliwe? Stawiała bardzo wysokie ceny za prywatny występ, umiała przekonać do siebie mężczyzn. Co dziesięć minut (mniej więcej tyle trwał prywatny pokaz) kolejny użyt-

kownik przelewał tysiące żetonów na jej konto. Po tej informacji (a może plotce) wiele dziewczyn zaczęło się poważnie zastanawiać nad pracą o lekkim zabarwieniu erotycznym. Choćby na chwilę. Ot, dla podreperowania budżetu.

Setki atrakcyjnych dziewczyn rozpoczęły poszukiwania portali, na których mogłyby zarabiać w ten sposób. Naprzeciw ich oczekiwaniom wyszły firmy rekrutujące wideomodelki, takie jak: pracanakamerkach.pl, pinksensations.pl, camwork.pl i dziesiątki innych.

Portal showup.tv powstał kilka miesięcy temu. To portal żetonowy. Ma w Polsce już ponad 6 mln użytkowników. Większość anonimowych. Na showup.tv za 100 żetonów modelka (lub model) dostają 18 zł, za 10 żetonów niewiele ponad złotówkę. Jeden żeton to 10 gr. Każdy nadawca obrazu w kamerce sam decyduje, ile kosztuje rozmowa prywatna. Ustawienie wysokich zapór cenowych bywa ryzykowne. Zbyt droga transmisja nikogo nie zainteresuje. Konkurencja jest bardzo duża. Setki półnagich dziewczyn w umiarkowanych cenach kilkunastu złotych czekają na rozmówców-klientów. Wizyta na tego typu portalach przypomina wizytę w Dzielnicy Czerwonych Latarni w Amsterdamie, gdzie kobiety lekkich obyczajów stoją w witrynach. Tu również są w witrynie. Ale nie sprzedają swojego ciała, tylko cielesność.

Żetoniary

Valentina tłumaczy, że istnieje duża różnica między kamerkami „żetonowymi” i „walutowymi”. Nigdy nie weszła na polski showup żetonowy. Trochę tym gardzi. Na portalach żetonowych są tłumy. Panuje chaos. To olbrzymie portale, na których może pokazać się każdy. Każdy może robić pokazy ogólne dla wszystkich. Istnieje jednak ryzyko, że oglądać będzie nas 400 osób, a tipa da tylko co 20. z nich. Valentina zdecydowanie preferuje czaty walutowe. Są to bardziej elitarne strony, na których wyselekcjonowane modelki mają swoje stałe profile. Mężczyźni płacą ustaloną stawkę za rozmowę sam na sam (25 eurocentów za minutę). Panuje bardziej dys-

W styczniu 2013 r. Polskę obiegła plotka, że użytkowniczka największego krajowego portalu kamerkowego showup.tv w dwie i pół godziny zarobiła na żetonach 13 tys. zł, czyli niemal 90 zł za minutę.

kretna atmosfera. Ale żeby się załapać na portale walutowe, trzeba mieć wysokie predyspozycje do wykonywania zawodu. Valentina również zaczynała na żetonówkach, ale awansowała. Teraz trochę pogardza żetoniarami, czyli dziewczynami, które żyją tylko z żetonów i nie mają kont na portalach walutowych. To według niej niższa kategoria wirtualnych modelek. Ale solidaryzuje się z nimi – wykonują ten sam zawód.

Na początku roku karierę w Internecie zrobił wywiad z żetoniarą Magdą, efektowną brunetką, która tak tłumaczyła filozofię swojej pracy wszystkim tym, którzy nie rozumieją wideomodelek: „Ja nikogo nie proszę o pieniądze – zarabiam je sama. Mnie bogaty grubasek nie daje co miesiąc na ratkę za mieszkanie. Nie muszę też mrugać rękami do narzeczonego po pieniądze na buty. Wolę pokazać tyłek w kamerce, bo w każdej chwili mogę ją wyłączyć i polecieć na Haiti, bawić się, z kim chcę i jak chcę”. Valentina była urzeczona siłą jej słów. Chciała nawet napisać do Magdy, odważnej i niezależnej żetoniarzy, list z podziękowaniem. Ale nie znalazła adresu do korespondencji.

Werbunki i obiecanki

– Zobacz, jaką wczoraj wyhaczyłem dupeczkę – mówi Piotr, łowca modelek z III filaru wideomodelingu. Pokazuje mi na telefonie kilka zdjęć atrakcyjnej dziewczyny w pończochach i butach na obcasie. Piotr będzie miał 10 proc. od sumy, którą zarobi ta kobieta. Uważa, że to jedna z tych, które są pazerne na pieniądze, siedzą na czatach całymi dniami, nabijają punkty, z których jedna dziesiąta idzie do niego. Pieniądże płyną na konto, a on szuka kolejnych dziewczyn. Jego praca polega głównie na przeglądaniu serwisów z modelka-

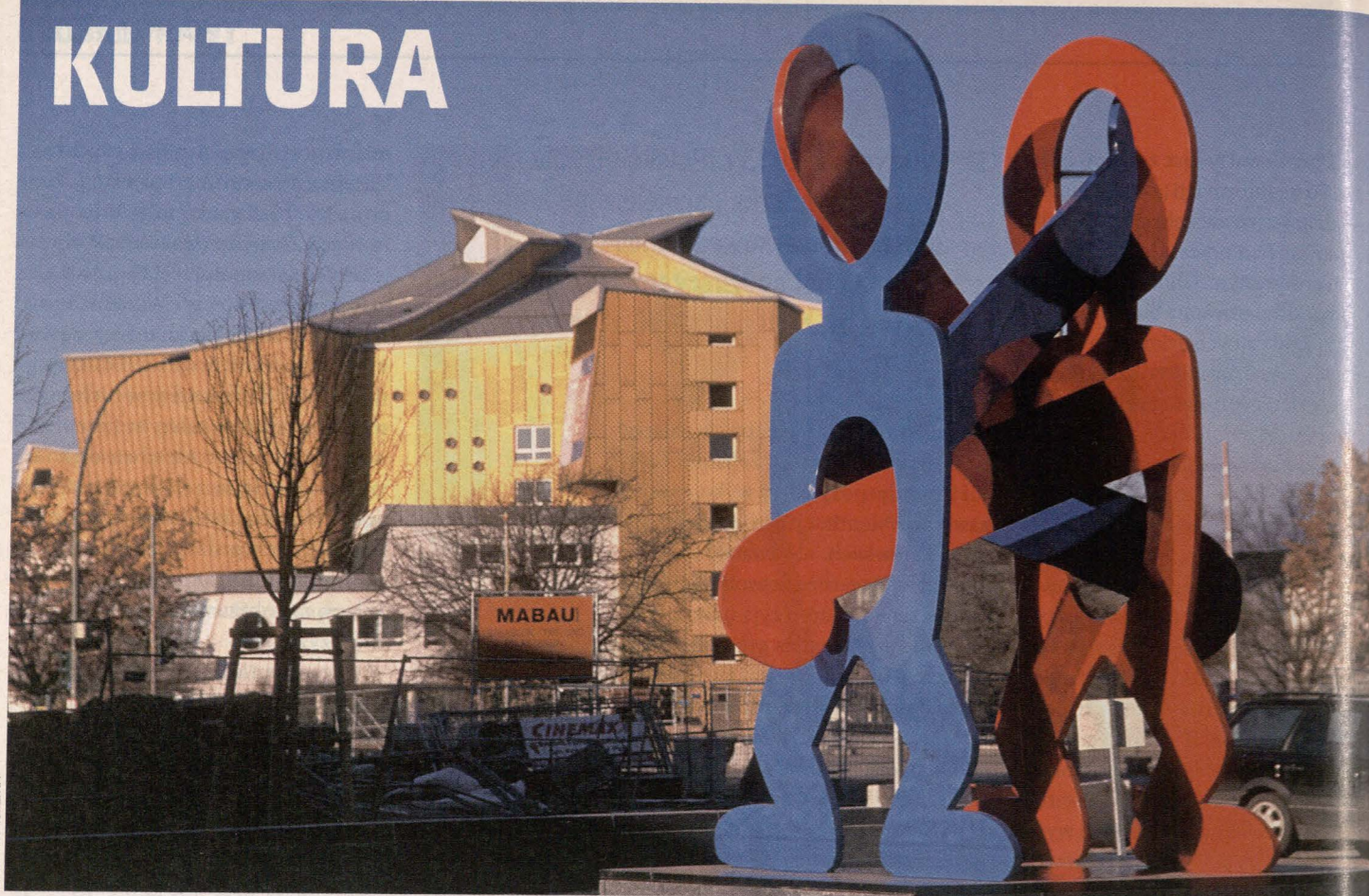
mi lub portali społecznościowych (najlepiej nacechowanych erotycznie). Pisze do nich krótkie wiadomości. Umawia się na kawę. Zachęca, opowiada. Podpisuje umowy o współpracę. Nie uważa, że to, co robi, jest stręczycielstwem. Prawo nie nadaje za regulacjami dotyczącymi życia w przestrzeni wirtualnej. Dlatego działalność Piotra nie jest nielegalna. – Czasem myślę o sobie, że jestem wirtualnym alfonsiem. Ale to nie do końca tak jest. Jestem raczej hunterem dużej agencji internetowej. Moja praca to polowanie na dupeczki. Daję im zarobić w ciekawy i łatwy sposób. To od nich zależy, co pokażą w kamerce – twierdzi mężczyzna.

Sprawnym hunterom wystarczy parę dni, aby podpisać kilka umów z nowymi modelkami. – Dla Polek oferta tysiąca euro bez wychodzenia z domu jest bardzo atrakcyjna. Podczas spotkań, na których tłumaczę mechanizmy funkcjonowania naszej branży, jestem wypytywany o wszystkie szczegóły. Wiem, że największe emocje wzbudzają pieniądze – mówi Piotr. I doprecyzowuje: – Polki są nieufne. Nie wierzą, że można zarobić tyle pieniędzy w tak łatwy sposób. Ale, prawdę mówiąc, nie zbijają kokosów. Bo wychodzi im często kilka lub kilkanaście euro za godzinę, co na Zachodzie jest standardem.

Piotr również próbował sił jako wideomodel. Występował ze swoją partnerką przed kamerą, uprawiając seks. W ten sposób zarobili na wakacje w Hiszpanii.

Nowy wymiar erotyki

Od początku 2013 r. zainteresowanie showupami wyraźnie wzrosło. Po obu stronach. Coraz więcej ludzi szuka modelek, które w Internecie pogadają, poflirtują, zatańczą, może pokażą coś więcej. Coraz więcej kobiet w Europie dotkniętej kryzysem decyduje się na taką formę zarobkowania. Praca jest wirtualna, a pieniądze realne. Warunki pracy wydają się komfortowe. Wiele wideomodelek współpracujących z agencjami to domowe amatorki, które szybko zamieniają się w profesjonalistki. I zarabiają coraz więcej. Nawet dziewięć dych na minutę.



JACEK TOMCZUK

Rzuć kamieniem, trafisz Polaka

Berlin jest uosobieniem naszych marzeń. Bogaty, ale nie luksusowy. Elegancki, ale na luzie. Nowoczesny, ale z historią. **Kiedyś był symbolem wolności, dekadencji, anarchii.** Dziś coraz częściej normalności, którą wybrało 200 tysięcy Polaków. W tym wielu artystów.

Nie informować się. Nie czytać ani książek, ani gazet. Nie oglądać muru. Nie interesować się znanym niczym. Siedzieć w kawiarni i gapić się na ulicę – taki program ułożył sobie Witold Gombrowicz, który w maju 1963 r. przyjechał do Berlina Zachodniego z Argentyny. Widywał osobistości, pisarzy (Günter Grass), lewicową młodzież. Mało z kim umiał rozmawiać. „By-

liśmy hermetyczni, oni dla mnie, ja dla nich, z góry wiadomo, nic, zupełnie, nic, a najlepsze, co można zrobić, to żeby jeden drugiego zostawił w spokoju” – pisał. Miasta-wyspy nie rozumiał, było dla niego zagadką, pozornym gmachem porządku, który ma swoje ciemne piwnice. Najlepsze fragmenty berlińskiej części „Dziennika” dotyczą pogody. Gombrowicz, siedząc w jednym z pokoi gościnnych

Akademie der Künste, zajmował się obserwacjami meteorologicznymi.

Autor „Pornografii” był chyba pierwszym Polakiem, który został stypendystą miasta, które do dziś zaprasza tysiące artystów z całego świata. Kiedyś było to formą oczyszczenia narodu w oczach świata ze zbrodni wojennych, chęcią odbudowy życia artystycznego zrujnowanego Berlina. Po upadku muru kultura stała się ofi-

cialną wizytówką metropolii, formą uprawiania ekonomii.

Stolica Niemiec przyjęła tysiące „kulturalnych” Polaków. Dla przybyszów z nad Wisły to miasto idealne, spełnienie wyobrażeń o możliwości bycia tym, kim się jest. Po 1989 r. ludzie ciągnęli tam, by zacząć karierę, popracować, potańczyć... I robili odwrotnie niż Gombrowicz. Chłonęli atmosferę miasta, ładowali akumulatory i wracali do siebie. Nie wszyscy, dziś mieszka tam 200 tys. Polaków, wielu nie ma potrzeby nauczenia się języka. Przecież w automatach komunikacji miejskiej polski pojawił się obok tureckiego i angielskiego.

Kamil Sipowicz: Zawsze natykałem się na mur

Po raz pierwszy byłem w Berlinie Wschodnim w 1976 r. u Niny Hagen, którą znałem z Warszawy, gdzie mieszkała w komunie artystycznej. Wtedy na polski paszport można było wjeżdżać do Zachodniego. Nina dała mi adres jej przyjaciela Bułgara. Przyjął nas winem i dał kwas. Nina i ja go wzięliśmy. Był bardzo mocny. Trzymał nas kilkanaście godzin. Wyszedłem w nocy na dwór i obserwowałem zabawy chińskich smoków. Nina skakała jak szamanka, raptem dostała tak zwanego tripu śmierci, przerażające wizje umierania. Opisała ten trip na pierwszej płycie, która przyniosła jej światową sławę.

Do Berlina Zachodniego przenieśliśmy się w 1980 r. z Monachium, zacząłem pisać doktorat o Heideggerze. Szybko wpadłem w środowisko punków, polskich artystów, głównie Małgosi Starowieyskiej (znanej też jako Mao Star).

Berlin Zachodni zachował coś z atmosfery przedwojennej dekadencji. Czasami w nocy wpadało się do podejrzanego lokalu, okazywało się, że to knajpa z transwestytami, gdzie w latach 30. na seks i narkotyki chadzał Göring. Panowała atmosfera wolności, zepsucia, przyzwolenia, nawet na wy-

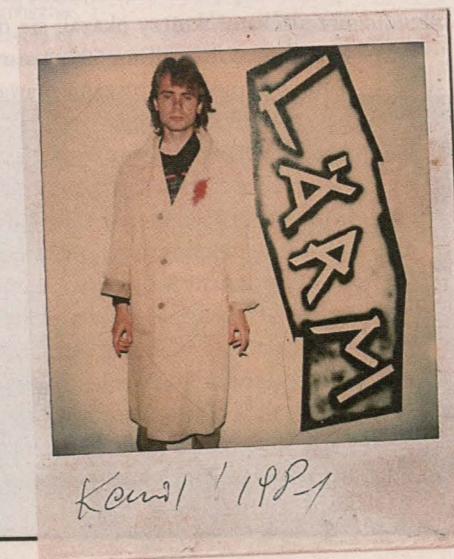
Sipowicz: „W Berlinie mieszkałem na skłocie. Zimą było tak lodowato, że spędzaliśmy całe dnie w kawiarniach, żeby nie zamarznąć. Wśród nas byli uciekinierzy z bloku wschodniego, anarchiści, punki”.

uzdany seks... Jednym z najmodniejszych miejsc w mieście był Homo Bar, sama nazwa wiele mówi.

Mieszkało tam mnóstwo freaków z całego świata. Widziałem Davida Bowiego, Iggy'ego Popa, Nicka Cave'a. Panowało ciągle wrzenie: nowa fala, punk. W sztuce rządili nowi dzicy, w muzyce gejowski DAF, w filmie Lynch, Wenders czy Fassbinder. Tego ostatniego poznałem w knajpie na Kreuzbergu. Pił jak smok, épał i kręcił film po filmie. Miał słabe serce, więc przy takim trybie życia nie mógł dożyć starości.

Żeby zarobić na życie, pracowałem w fabryce żarówek, szamponów, w manufakturze tytoniu fajkowego, jako kierowca, na budowach, nieraz od 5 rano do 24, zdarzało się zemdleć ze zmęczenia. Po kilkunastu godzinach pracy, żeby wytrzymać, brałem spidy, kwas, po którym miałem cudowny odlot. Często nie miałem nawet pięciu marek na kebab. Wtedy pokochałem Turków, najczęściej to prości chłopcy z Anato-

Kamil Sipowicz w 1981 r. w Berlinie, gdzie wtedy pracował nad doktoratem o Heideggerze.



ARCHIWUM KAPSZYDY KOBRO

li lub Kurdowie niezepsuci kapitalizmem, pomagali sobie i innym.

Przez lata skłoty zamieszkiwali ludzie, którzy nie mieli gdzie się podziać: uciekinierzy z bloku wschodniego, anarchiści, punki. Ale kiedy zaczęły się walki z policją, okazało się, że modnie jest mieszkać na skłocie. Przeprowadzali się tam nawet tacy, którzy mieli własne mieszkanie. Kiedyś zamieszkałem w jednym z takich lokali. Ale jak zrobiliśmy party i okazało się, że pies porzygał się w łóżku właścicieli, to nas wywalili. W końcu też trafiłem na skłot, zimą było tak lodowato, że spędzaliśmy całe dnie w kawiarniach, żeby nie zamarznąć.

Berlin Zachodni politycznie był bardzo czerwony. Na uniwersytecie bez przerwy zaczepiali nas agitatorzy stu odmian komunizmu: trockiści, maoiści, marksiści... Dla nas to było okropne, bo my na własnej dupie doświadczaliśmy, czym jest komunizm.

Polacy nie wiedzieli w Berlinie, na czym stoją: zostać, emigrować dalej, wrócić? Mieliśmy poczucie absurdu, śpiewaliśmy „Nie będzie Niemiec pluć nam w twarz”, z drugiej strony większość berlińczyków to zniemczeni Słowianie. Wystarczy pójść na cmentarz, same polskie nazwiska. Dziwne. Pamiętam takiego artystę ze Śląska, co głową przebijał mur. Robił to tak zajadle, że tracił przytomność. Mnie to się nie podobowało, ale świadczy o szalonej atmosferze tamtego czasu.

U Wiesława Sadurskiego spotykało się towarzystwo ezoteryków, którzy ostro przypalali i dyskutowali o reinkarnacji. Skrzyposzek grał na fortepianie i oglądał tenis w telewizji, przychodził lekarz mistyk, który powiedział, że wyciągnie go z choroby, bo on każdego wyleczy. Lekarz długo się nie odzywał, okazało się, że zmarł na AIDS. Była żona Skrzyposzka miała koty i jak jeden zmarł, pojechała do Indii do dalajlamy z pytaniem, gdzie się ten kot odrodzi. Większość ludzi albo popadła w szaleństwo, albo latami wracała do mieszczkańskiego, niemieckiego trybu życia.

Jak moi kumple, handlarze kokainą. Dziś mają piekarnię i są wzorowymi obywatelami.

Kamil Sipowicz, rocznik 1953, filozof, artysta, poeta, ostatnio wydał książki „Pieśni solarne”, „Hipisi w PRL-u”, „W obronie Kory i wolności. List do premiera”. W Berlinie od 1980 do 1981 r. oraz od 1984 do 1988 r.

Wojciech Stamm: Nieudacznik w mieście sukcesu

W listopadzie 1989 r. akurat przywoziłem sztangę papierosów i oglądałem „Imię róży” w telewizji, kiedy ktoś wpadł do mieszkania na Kreuzbergu i krzyknął: „Mauer ist weg!”. Gospodyni, Ela, znana bluesmanka, stwierdziła: „Oni stanowczo za dużą palą”. Pół godziny później wpadł sąsiad w podszłym wieku i wtedy okazało się, że rzeczywiście runął mur. Zachód poznawał Wschód i vice versa. Żart polegał na tym, że Berlin Zachodni, stolica kontrkultury, zderzył się z postępowym tylko w teorii społeczeństwem komunistycznych Niemiec. Wszyscy chcieli tworzyć nowe społeczeństwo, tylko nikt nie wiedział, na jakich zasadach. Wtedy zaowocowało to wysypem nielegalnych barów, skłotów i kontenerów artystycznych. Nikt nie zaprzętał sobie głowy prośbami o pozwolenia. Ktoś zajmował pustostan. Miasto patrzyło na to z przy-mrużeniem oka, dopóki nie zjawili się deweloperzy. Przejmowali po 500–600 domów, które zaczęli czyścić z biedoty i punków. Skłoty nie stały na straconych pozycjach. Jak mieszkali tam kumaci ludzie, wynajmowali adwokata i udawało im się wybronić. Ale jak gościły tam pijusy, szły na bruk. Zresztą po jednej z takich brutalnych interwencji policji na skłocie (Mainzer Strasse) do dymisji musiał pójść burmistrz Berlina Walter Momper po votum separatum Zielonych. Dziś by nie musiał.

Z Nieudacznikami było tak: kilka osób czuło dysonans poznawczy, a nawet głęboką i rozległą idiosynkrazję z powodu pobytu w stolicy Niemiec, mieszkania, jedzenia niemieckiego czy też tureckiego chleba. Drżały, gdy kierowca autobusu ogłaszał przez

Klub Stowarzyszenia Polskich Nieudaczników. Miejsce kipiące wydarzeniami kulturalnymi, gdzie można było pogadać, popijając polskie piwo spod lady.

głośnik przystanek. Na „halt” stawała przed oczami duszy cała Polska Szkoła Filmowa i „Stawka większa niż życie”. W 2000 r. powstało Stowarzyszenie Polskich Nieudaczników, a potem klub. Wszyscy byliśmy zgodni, że trzeba go otworzyć 1 września o 4.55 rano, tyle że prawie wszyscy zaspali. Ja i Piotr Mor-del dotarliśmy tylko dlatego, że miałem nocną zmianę, zrobiłem buchalterię i ledwo zdążyłem nalać pierwszy kufel piwa. Nawet ktoś zajrzał i napiliśmy się razem.

Brakowało zezwolenia na alkohol, ale jako stowarzyszenie mieliśmy prawo do tak zwanej konsumpcji wewnętrznej. Znaleźliśmy sposób na to, jak obchodzić prawo: goście baru zostawali po prostu jednodniowymi członkami stowarzyszenia. Aż wreszcie miasto odkryło szwindel i jako przewodniczący stowarzyszenia zeznawałem przed urzędnikami, którzy okazali się dość wyrozumiali. Dostaliśmy 500 euro mandatu, co na pięć lat naruszania prawa nie było zbyt dotkliwą karą.

Klub był parodią grup wsparcia typu Anonimowi Alkoholicy. My przyznawaliśmy się do defektu – byliśmy Polakami. Z drugiej strony to była nasza odpowiedź na zmiany w Berlinie. Do miasta wchodził twardy liberalizm, media trąbiły o tym, że liczy się sukces, szczęście, panował terror doskonałości. My psuliśmy trochę tę zabawę, głośno upominając się o prawa dla nieudaczników. Klub wyręczał ministerstwo spraw za-

granicznych w składaniu not protestacyjnych – Nieudacznicy zwrócili uwagę na postkolonialne traktowanie Polaków przez niemieckie media, relacje o Polsce pełne były tonu faszystującej wyższości nad złodziejami, pijakami etc.

Klub stał się miejscem ważnym nie tylko dla Polaków, bywali u nas ministrowie rządu, socjologowie, poeci enerdownicy. Nieudacznicy trafiali do programu popularnego talkmastera Biolka, występowali zaraz po Britney Spears.

Berlin jest świetny, nie spotkałem drugiego takiego miasta – wielkiego, a zarazem nie molocha. Intensywnego, ale dającego możliwość odejścia. Może nie jest najpiękniejszy i dużo w nim było nazioli, jednak chyba jest najfajniejszą stolicą w Europie. Zaraz po Pradze.

Wojciech Stamm, rocznik 1965, pisarz, performer, autor powieści: „Czarna Matka”, prezes Stowarzyszenia Nieudaczników Polskich. W Berlinie od 1993 do 2009 r.

Jacek Sienkiewicz: miasto, w którym rządzi techno

Pierwsze wyprawy wyglądały podobnie: wyjazd pociągiem na noc, w Berlinie o świcie. Spacer pod Hardwax, legendarny sklep płytowy na Kreuzbergu, do otwarcia którego zostało jeszcze parę godzin. Potem cały dzień przy gramofonie i słuchanie nowej muzyki. Wieczorem spacer na dworzec, plecak zakupio-

nych winyli lądował w skrzynce i na imprezę. Rano powrót do Warszawy. I tak co kilka tygodni.

Środek lat 90. w Polsce to był początek clubbingu, w Warszawie działały dwa kluby, gdzie grano „nową muzykę” – od industrialu po hip-hop i techno, a mnie interesował przede wszystkim industrial i techno-trance-acid.

Kultura techno znalazła świetny grunt do rozwoju w Berlinie, w którym dopiero co upadł mur. Mocne bity powstawały w Detroit od połowy lat 80., ale tutaj spotkały się z falą energii po zjednoczeniu Niemiec. Ludzie poczuli się wolni, zanurzyli się w muzykę nieskazitelną polityką, która była czystą zabawą. Zabawa w klubach była jak spuszczenie powietrza z balonika napięć, jakie to miasto utrzymywało przez dziesięciolecie konfliktu.

Powstawały setki klubów. W mieście było mnóstwo pustostanów po zamkniętych sklepach, fabrykach, bankach, kawiarniach. Nie miały szyldów, reklam, mapek. O imprezach dowiadaliśmy się w małych sklepach muzycznych, wejście zawsze było gdzieś z boku, dla wtajemniczonych. Tam były świetne warunki do odbioru tej muzyki. Niemcy nawet underground potrafili perfekcyjnie zorganizować. Panowała atmosfera luzu, braterstwa. Nikt nie zwracał uwagi, że jestem z Polski, nie czułem się ubogim krewnym ze Wschodu. Zresztą na te imprezy przyjeżdżało pół Europy, wiele osób potrzebowało odejścia się od świata na parę godzin. Tak byliśmy tym nakręceni, że niewiele potrzeba było narkotyków, choć kwas wywarł na mnie wtedy duży wpływ.

Zawsze chciałem się przenieść do Berlina i nigdy na to się nie zdecydowałem. Wielokrotnie jeździłem tam na parę miesięcy, tygodni, ale zawsze wracałem. Podobało mi się, że będąc Polakiem, wszedłem jako producent do obiegu światowego. Nie musiałem nawet znać niemieckiego.

W Berlinie lubię luz i pewność, że tu każdy może spełnić swoją fantazję. Tak jak ja jeździłem słuchać muzyki elektronicznej, tak inni przyjeżdżali oglądać eksperymentalny teatr, taniec,

Berlin jest przyjazny. Dobrze się tu mieszka. Kusi świetnym transportem, tysiącami kilometrów ścieżek rowerowych, mnóstwem zieleni. Ale o dobre mieszkanie bliżej centrum jest coraz trudniej.

sztukę. Jeszcze inni na twardy gejowski seks. I tak jest nadal.

Dziś techno, muzyka elektroniczna i tzw. clubbing to wizytówka tego miasta, ale też spory komercyjny przemysł. Ale to nie znaczy, że gdzieś na obrzeżach nie rodzą się nowe trendy. Underground w Berlinie jest wiecznie żywy.

Jacek Sienkiewicz, rocznik 1976, didżej, producent muzyczny. Stały rezydent berlińskich klubów.

Agnieszka Brzeżańska: totalna nadprodukcja sztuki

Mieszkam w Berlinie od pięciu lat. Przyjechałam na rezydencję DAAD, tę samą, na którą w 1963 r. skusił się z Argentyny Witold Gombrowicz. I tak jak 90 proc. uczestników po zakończeniu stypendium zostałam. To miasto zbudowało system wspierania artystów, np. dofinansowywania wynajmu pracowni. Może dlatego w Berlinie osiadło kilkanaście tysięcy twórców z całego świata i działa 5 tys. galerii. Co zresztą nie przekłada się na sprzedaż. Kolekcjonerzy mieszkają raczej w Kolonii czy Monachium. Berlin nie generuje pieniędzy, to najbiedniejszy land w Niemczech.

Berlin to miasto Love Parade, najstynniejszej imprezy fanów muzyki techno. Clubbing i muzyka elektroniczna są wizytówką niemieckiej stolicy.



BERND HEINZ/DPA/APF

Mam do Berlina dystans, nie uważam, że to ekscytujące miejsce, ale przyjemnie się tu mieszka: wiele parków, dobry transport. Wszędzie można dojechać na rowerze, mnóstwo ścieżek rowerowych, uważni kierowcy. Ale w ostatnich latach widać zmiany. Coraz trudniej wynająć mieszkanie. Właściciele niechętnie powierzają je komuś z zagranicy, kto często nie ma stałego zatrudnienia. Jak masz szczęście i znajomych, przejmujesz mieszkanie bezpośrednio po tym, kto je zwalnia. Jak nie, stajesz do konkursu. Znajdujesz ogłoszenie, lecisz zobaczyć lokal na konkretną godzinę i znajdujesz tam kilkanaście takich osób jak ty. A agent wybiera tego, kto zapłaci i zapewni spokój. Dlatego coraz więcej osób mieszka dalej od centrum, poza dzielnicami tradycyjnie uważanymi za „ciekawe”, choć kiedy obserwuje się tłok w kawiarniach na Kreuzbergu, widać, że upadek tym dzielnicom nie grozi.

W Berlinie żyje 200 tys. Polaków, właściwie większość moich znajomych to Polacy. To nowe, ciekawe i otwarte pokolenie emigrantów. Wyjechali z kraju jako dzieci albo urodzili się już w Paryżu, Londynie, Rzymie. Przyjechali do Berlina, bo mają tu znajomych, bo jest taniej niż w Europie Zachodniej.

Dzisiaj to, co robi się w Warszawie lub gdzieś na polskiej prowincji, ma szansę być szybciej zauważone niż to, co wystawia się w Berlinie. Berlin cierpi na gigantyczną nadprodukcję sztuki, nikt tutaj już nie czeka na kolejny projekt artystyczny, nikomu nie jest potrzebny. Wernisaże często się na siebie nakładają, ludzie chodzą z jednej galerii do drugiej i oglądają wystawy. Tylko ile można zobaczyć wystaw w czasie wieczoru? Cztery? Pięć? A w programie masz kilkadziesiąt. Żeby sztuka była żywa, musi budzić rezonans społeczny, ciekawość. Dlatego paradoksalnie lepsze warunki do robienia sztuki panują w Polsce, gdzie spotyka się ona z jakąś reakcją.

Agnieszka Brzeżańska, rocznik 1972, malarka, fotografka, artystka wizualna. Stypendystka prestiżowego DAAD. W Berlinie od 2008 r.

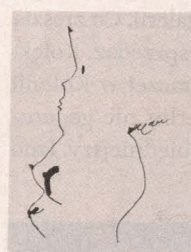


ROZMAWIA MARTYNA SZTABA

Z archiwum T.

Stefan i Franciszka Themersonowie doczekali się właśnie wystawy w Muzeum Sztuki w Łodzi podsumowującej ich twórczość. O niezwykłych artystach opowiada Jasia Reichardt, krytyczka sztuki, opiekunka Archiwum Themersonów w Londynie, a prywatnie siostrzenica Franciszki Themerson.

Cały dorobek ich pracy znajduje się obecnie w Archiwum Themersonów w Londynie i mieści się w prywatnym domu Jasi Reichardt i Nicka Wadleya w pięknej, dużej willi w parkowej dzielnicy Belsize Park. Zgromadzono tam zarówno wspólne książki Themersonów, książki Stefana Themersona w ośmiu językach, książki wydawane przez ich wydawnictwo, jak i ich własne, prywatne biblioteki, dzięki którym można się dowiedzieć, co czytali, z czego korzystali i skąd czerpali inspiracje. Swoje miejsce znalazła tam również korespondencja pomiędzy Themersonami a intelektualistami, autorami, przyjaciółmi, artystami. Przechowywane są tam także notatki i rękopisy Stefana Themersona w języku an-



W archiwum Themersonów wciąż trwają prace nad uporządkowaniem i skatalogowaniem bogatej spuścizny po artystach, a także tysięcy druków, rachunków i zgromadzonych dokumentów.

gielskim, polskim i francuskim, projekty typograficzne, nagrania z wykładów. Archiwum to także miejsce przechowywania dokumentów z polskiego działu filmowego w Ministerstwie Informacji i Dokumentacji w Londynie w latach 40. oraz dokumentacja pracy Franciszki jako kartografki dla polskiego rządu z okresu drugiej wojny światowej. Obszerna biblioteka zawiera wszystkie publikacje poświęcone parze artystów: książki, czasopisma, filmy dokumentalne, katalogi wystaw.

Nie jest to jednak zwykłe archiwum ze względu na to, że mieści się w prywatnym domu – każdy badacz przyjmowany jest tak, jakby był członkiem założonego przez Themersonów Common Roomu, salonu poświęco-

nemu dyskusji. Wizyty zostają wzbo- gacone o przekazy ustne. Każdy badacz współuczestniczy w rozwijaniu archiwum – może pomóc w prostych pracach administracyjnych, porządkować katalogi lub zmierzyć się z rozszyfrowaniem nieopisanych reprodukcji prac malarki.

Jacy byli Themersonowie?

To trudne pytanie. Można powiedzieć, że byli dosyć normalni. Pracowali, chodzili na spacer, mieli przyjaciół, jedli trzy razy dziennie i o ile się dało, akceptowali to, co się dzieje dookoła. Ale trzeba pamiętać, że znaleźli się w kraju, który był bardzo inny od Polski. W Anglii jako artyści mogli robić, co chcieli, ale to nie znaczy, że tam od razu byli odbiorcy zainteresowani ich pracą. To zainteresowanie musieli zbudować, a to zawsze trwa jakiś czas.

Kiedy ktoś mnie pyta o ich życie, zawsze sugeruję, żeby przeczytał wiersz Stefana „Komorne”. To jest coś, co było bardzo bliskie ich stylowi życia.

Czy w Londynie dalej tworzyli filmy?

Zrobili dwa z działem filmowym Polskiego Ministerstwa Informacji i Dokumentacji należącym do Polskiego Rządu na Emigracji: „Wzywamy Pana Smitha” i „Okno i ucho”. A potem, po roku

1945, nie było możliwości pracy w filmie, chociaż Themersonowie mieli wymyślone nowe projekty. Na przykład film o fortepianie Chopina. Notatki dotyczące tego projektu są obecnie prezentowane na wystawie w Muzeum Sztuki w Łodzi.

W Londynie chcieli rozszerzyć działalność artystyczną?

Chcieli dalej pracować w świecie sztuki i literatury, książek, malarstwa, teatru itd., więc założyli małe awangardowe wydawnictwo Gaberbocchus Press. Nazwę wzięli od imienia smoka z „Alicji w Krainie Czarów” w wersji łacińskiej. Franciszka narysowała szereg wersji, w których zwykle Gaberbocchus trzyma w łapie pióro do pisania. Równolegle oboje dalej pracowali w swoich zawodach – Franciszka malowała, a Stefan pisał.

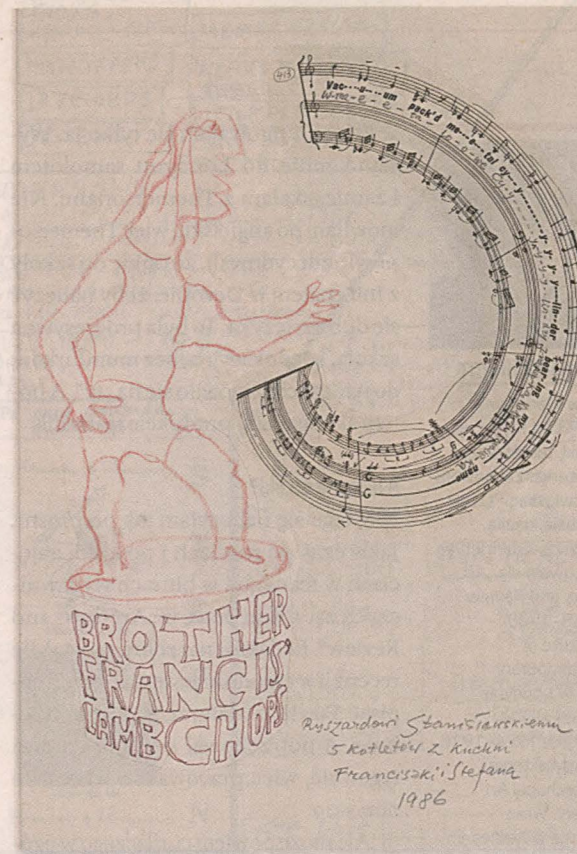
Dlaczego postanowili zostać w Anglii?

Początkowo myśleli o powrocie do Paryża, gdzie mieszkali przed wojną, ale podczas wojny Stefan przeżył tam trudne chwile, co musiało ich zniechęcić. I akurat w Londynie pojawiły się różne możliwości: dla Stefana na wydanie książek, dla Franciszki ilustrowanie pism. Wprawdzie te możliwości zniknęły, ale wtedy już Themersonowie zajmowali się Gaberbocchusem i wydawali pierwsze przekłady książek na angielski, na przykład „Ubu Króla” Jarry'ego i „Ćwiczenia stylistyczne” Raymonda Queneau, a także książki innych pisarzy.

Franciszka malowała, rysowała, projektowała scenografię i stroje do teatru i miała szereg wystaw, Stefan pisał wiersze, eseje na temat filozofii, powieści i teksty na temat sztuki.

Jak powstawało Archiwum Themersonów?

Pod koniec życia Themersonów razem z Nickiem spędzaliśmy z nimi wiele czasu. Po ich śmierci trzeba było wszystkim się zająć. Przenieśliśmy wszystkie książki, rysunki, rękopisy, obrazy, papiery itd. z ich mieszkania. No i kilka mebli.



MATERIAŁY PRASOWE MUZEUM SZTUKI W ŁODZI (3)

Nie było żadnych stażystów?

W 2001 r. napisał do nas mężczyzna, który był wielkim entuzjastą Themersonów i ich pracy, ofiarował nam pomoc w archiwum. Kiedy przybył pierwszy raz, zdziwił się, że archiwum nie znajduje się w biurówcu, a w prywatnym domu. Roger przychodzi do nas co wtorek od 12 lat. Jako wolontariusz zajmuje się organizacją i opisywaniem materiałów. Nadal jest tam wiele pracy.

W waszym domu w Belsize Park są tak naprawdę dwa archiwa, prawda? Jedno Themersonów, drugie twoje i twojego partnera Nicka Wadleya.

Od lat 50. kolekcjonujemy druki efemeryczne dotyczące sztuki. Zaproszenia na wystawy, artykuły, plakaty – wszystko, co ludzie zazwyczaj wyrzucają. Stefan kiedyś zapytał, co właściwie kolekcjonuję. Powiedziałam, że zbieram rzeczy dotyczące artystów, którzy mnie interesują. Stefan na to: „Co w takim razie z tymi, którzy cię nie interesują, bo przecież możesz się nimi zainteresować w przyszłości?”. Miał rację, powiększyliśmy kolekcję i obecnie mamy prawdopodobnie największy prywatny zbiór druków ulotnych w Anglii. Kiedy

W 1972 r. Themersonowie wydali „St. Francis and The Wolf of Gubbio or Brother Francis' Lamb Chops. An Opera in 2 Acts” z tekstami Stefana i ilustracjami Franciszki. Poniżej: portret Stefana autorstwa jego żony.



mam napisać artykuł o jakimś artyście, po prostu schodzę na dół i znajduję folder jemu poświęcony, a także materiały z okresu, o którym chcę pisać.

Masz plany dotyczące Archiwum Themersonów?

Archiwum musi znaleźć swój stały dom. Zgłosiły się Harvard University i British Library, ale British Library nie była zainteresowana dodatkowymi dokumentami, np. rachunkami i wszystkimi papierami księgowymi Gaberbocchusa, lecz tylko rękopisami Stefana. Ale archiwum musi zostać w całości. Rachunki potrafią powiedzieć wiele o ludziach i ich pracy i są także biografią książek – ile kosztował papier, druk, ile egzemplarzy książek sprzedali. Rachunki są ważnym dokumentem działalności. Grzegorz Gauden, dyrektor Instytutu Książki, zainteresował archiwum Bibliotekę Narodową w Warszawie. Byliśmy zachwyceni tą instytucją i sposobem, w jaki pracują z drukami. Rozmowy nadal trwają, zobaczymy, co się stanie. Mamy tylko dwa warunki: archiwum musi zachować spójność i wszystkie rzeczy muszą być przechowywane razem w swoim miejscu. Nie możesz zostawić filmów w jednym miejscu, a rękopisów w drugim, bo te rzeczy korespondują ze sobą. Drugi warunek to konieczność zatrudnienia kuratora archiwum, który posługuje się zarówno językiem angielskim, jak i francuskim, bo to są języki tych zbiorów. Kurator jest potrzebny, ponieważ zawartość jest tak rozległa, że nikt, kto zajmowałby się tym okazjonalnie, nie byłby w stanie nic o tych zbiorach powiedzieć. Sam katalog archiwum to osiem wielkich tomów, jego przeczytanie zajmuje kilka dni.

Praca nad Archiwum Themersonów była dla ciebie kwestią wyboru? Czy wiedziałas, że zajmiesz się nim przez kolejne, długie lata?

Gdy umierali Themersonowie, nie było jeszcze przecież archiwum – tak po prostu wyszło. Zawsze byłam jednak blisko, zajmowałam się katalogowaniem ich pracy jeszcze przed ich śmiercią. Pewnego dnia, już pod koniec życia,

Stefan leżał w łóżku w swoim pokoju, który był również jego gabinetem, patrzył na wszystkie piętrzące się papiery i książki na półkach i powiedział: „Tyle pracy, tu jest tyle pracy”. Wydawało mi się, że podsumował swoją działalność, ale Nick wychwylił prawdziwy sens tego zdania od razu i powiedział: „To będzie nasza praca”.

Myśleliście o udostępnieniu opisu albo części zbiorów w Internecie?

Początkowo sądziłam, że to dobry pomysł, ale potem zmieniliśmy zdanie. Musi być jakieś miejsce, w którym jest początek badań, w którym rozpoznasz teren, widzisz archiwum jako całość. Poza tym, gdyby archiwum stało się jeszcze bardziej dostępne, mielibyśmy zbyt wielu odwiedzających. Przyjmowanie badaczy, historyków sztuki, literatury to część naszej pracy, ale na to już nie mamy tyle czasu.

Nielatwo jest znaleźć prywatne informacje o tobie. Są publikacje, wzmianki w książkach, kilka wspomnień w artykułach. Ale doszukanie się czegoś więcej jest sporym wyzwaniem.

Raczej nie lubię mówić o sobie. Choć niedawno wydałam książkę autobiograficzną „15 Journeys from Warsaw to London”. Przyjechałam do Londynu, gdy miałam 12 lat. Ta książka opisuje moje dzieciństwo podczas wojny. Umieściłam w niej również listy do Franciszki od mojej babci, czyli od matki Franciszki, oraz od mojej mamy, siostry Franciszki. Urodziłam się w Warszawie przy ul. Piusa, a w getcie mieszałam przy ulicach Śliskiej i Siennej. Z całej rodziny, która podczas wojny została



JASIA REICHARDT

Ur. w Warszawie w 1933 r. Krytyczka sztuki, redaktorka, kuratorka. Zajmowała się związkami sztuki z poezją, nauką, techniką, cybernetyką. Pracowała dla „Art News and Review” (1958-1960), Institute of Contemporary Arts w Londynie (1963-1971), w latach 1974-1976 była dyrektorką Whitechapel Art Gallery. Wraz z Nickiem Wadleyem opiekuje się Archiwum Themersonów w Londynie. Prywatnie siostrzenica Franciszki Themerson.

w Polsce, uratowała się tylko ja. Wysłano mnie do Londynu samolotem i zamieszkałam z Themersonami. Nie mówiłam po angielsku, więc Themersonowie zdecydowali, że pójde do szkoły z internatem w Devonie, żeby nauczyć się dobrze języka. To była progresywna szkoła, koedukacyjna, bez mundurków, do nauczycieli mówiło się na „ty”. A potem skończyłam produkcję teatralną.

A historię sztuki?

Nie, tego się nauczyłam tak po prostu. Jakiś czas po studiach i po kilku zajęciach w teatrach i w biurach wydawniczych zaczęłam pracę w „Art News and Review”. Redaktor naczelny zapytał, ile recenzji w tygodniu jestem w stanie napisać. Powiedziałam, że tyle, ile potrzebuje. A potrzebował siedmiu co dwa tygodnie, więc pracowałam właściwie non stop.

Ale może powiem ci, dlaczego w ogóle jestem zainteresowana sztuką na marginesach. Pomyśl o kształcie sztuki, tradycyjnej sztuki, masz obrazy, rzeźby, rysunki – to wszystko jest w centrum wielkiego koła. A mnie interesują obrzeża. Gdzie literatura styka się z poezją konkretną, gdzie rzeźba spotyka się z nauką. A teraz nie ma już obrzeży – wszystko się stało mainstreamem. Moje zainteresowania kończą się w momencie, kiedy eksperyment staje się czymś codziennym. Właściwie od lat 50. interesowałam się związkami techniki i sztuki.

Techniki?

Interesowała mnie cybernetyka. W piwnicy domu, gdzie Gaberbocchus Press miał swoje biuro, Themersonowie rozpoczęli działalność salonu pod szyl-

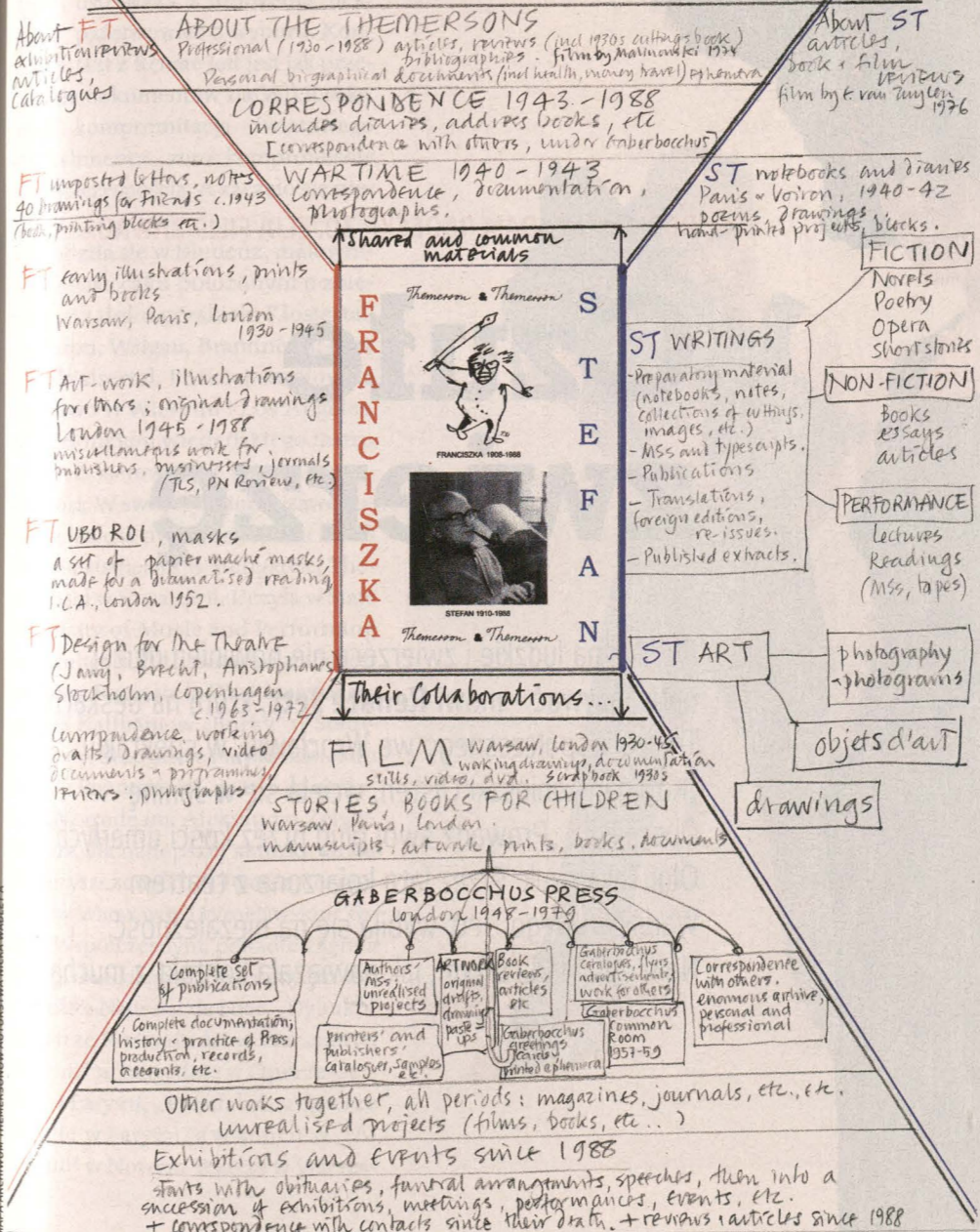
dem Gaberbocchus Common Room. Nazwa pochodzi od świetlic uniwersyteckich, gdzie studenci i profesorowie spotykali się, żeby porozmawiać. Themersonowie utworzyli pierwszy tego typu prywatny klub w Londynie, który działał przez dwa lata. Artyści, pisarze, naukowcy, poeci, muzycy i kompozytorzy dawali tam wykłady, urządzali koncerty, rozmawiali, pili kawę i jedli spaghetti. W Archiwum Themersonów znajdują się zapisy tych spotkań, a także teksty pozostawione przez wykładowców. Wśród uczestników tych spotkań był także Tarkowski, który zajmował się cybernetyką, tam poznałam to pojęcie.

Jakiś czas później dostałam pracę w Institute of Contemporary Arts w Londynie jako asystentka dyrektora. Jedną z wystaw, którą tam zrobiłam, „Between Poetry and Painting”, odbyła się w 1965 r. i pokazywała prace z zakresu poezji konkretnej. Była to pierwsza prezentacja poezji wizualnej w Londynie. Jedną z osób, które odwiedziły tę wystawę, był niemiecki filozof, fizyk i pisarz prof. Max Bense. Zapytał, co zamierzam zrobić po tej wystawie. Kiedy powiedziałam, że nie wiem, zapytał, dlaczego nie zajmę się komputerami. I tak zrobiłam. Już w 1968 r. otworzyłam wystawę „Cybernetic Serendipity”. Architektura wystawy została zaprojektowana przez Franciszkę i jej studentów z Bath Academy of Art. W ICA znowu zaczęłam robić za dużo i znowu mnie zwolniono. Następnie dostałam pracę w Whitechapel Gallery jako dyrektor i pracowałam tam przez dwa lata. Potem chciałam napisać książkę o robotach, więc odeszłam z pracy. Od 1976 r. jestem freelancerką.

Potrafisz wyobrazić sobie swoje życie bez tego archiwum? Bez codziennej pracy nad nim?

Będzie mi go brakowało, oczywiście. Ale są też materiały związane z Themersonami, które nie są częścią archiwum. Jak obrazy Franciszki czy jej rysunki, którymi trzeba będzie się nadal zajmować. Interesuje mnie tak wiele rzeczy. Gdyby Themersonowie mnie nie mieli, to pewnie ktoś inny zająłby się tą pracą.

COLLECTIONS & LIBRARIES



A jeżeli chodzi o pracę, to zawsze zjawia się coś ważnego do zrobienia.

Nad czym teraz pracujesz?

Nad tomem „Unposted Letters”. Są to listy Themersonów z lat 1940-1942 do siebie oraz rysunki Franciszki z tych lat, które sama nazwała „unposted letters”. To jej listy pisane do Stefana, których nie mogła wysłać, aby nie sprawiać mu przykrości, bo były zbyt smutne.

Franciszka i Stefan byli jednymi z najbardziej wszechstronnych i płodnych polskich artystów.

„Themersonowie i awangarda”

Muzeum Sztuki w Łodzi, ul. Ogrodowa 19, do 5 maja 2013 r.

Książka zawiera też teksty z dzienników Stefana z tego okresu. Franciszka była wtedy w Londynie, a Stefan w schronisku Czerwonego Krzyża w Voiron. Właśnie pracuję nad indeksem do tej książki, wydana zostanie latem przez Gaberbocchus Press w Amsterdamie i zamknie pięć lat mojej pracy nad nią. Mam nadzieję, że kiedyś te listy ukażą się w Polsce, bo były przecież pisane w języku polskim.

Stefan Themerson „Komorne”

Zył sobie dziad i baba bardzo starzy oboje, mieli domek nad rzeką, w nim dwa małe pokoje.

W jednym mieszkał pan Strus, w drugim – pani Żyrafa, były w pokojach krzesła, stół, kanapa i szafa.

Żyli sobie spokojnie, żyli sobie po cichu; a dziad i baba także, a jakże – na strychu.

A dlatego na strychu mieszkać z babą dziad musiał, żeby móc brać komorne od Żyrafy i Strusia.

7 fiołków płacili, za mieszkanie co środę, za sprzątanie – stokrotkę i konwalię – za wodę.

To na wiosnę, a latem 7 chabrow i bratek, a rumianek poza tem – lokalowy podatek.

Na jesieni 3 listki: 1 lipy, 2 klonu, 4 szyszki sosnowe i nasturcję z balkonu.

Zimą śniegu 5 gwiazdek i soplek ćwierć metra, kwiatek z szyby zmarzniętej jako wzorek do swetra.

Żyli sobie spokojnie, żyli sobie po cichu, Strus z Żyrafą w pokojach, dziad i baba na strychu.

Mnie by także w tym domku żyło się doskonale – Ale adres zgubiłem i nie mogę go znaleźć.

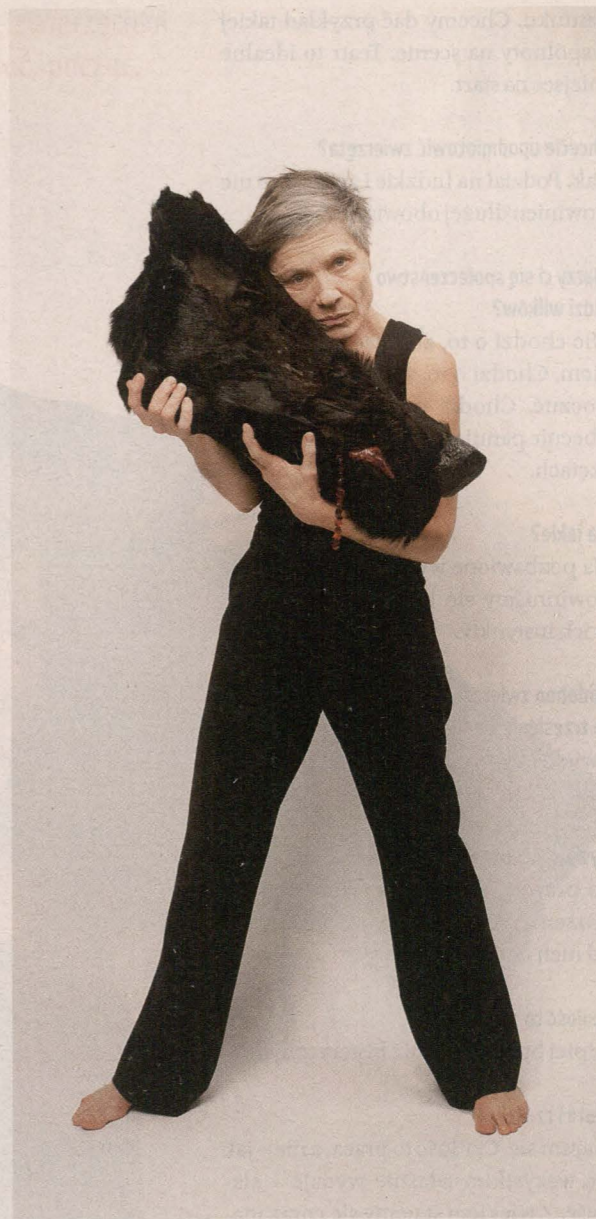
ROZMAWIA ADAM RADECKI, ZDJĘCIA FILIP ZAWADA

Czułe zwierzę

Podział na ludzkie i zwierzęce nie powinien dłużej obowiązywać – mówi **Renate Jett**, która na deskach Teatru Współczesnego we Wrocławiu, w spektaklu „Kotlina” Agnieszki Olsten, wciela się w Janinę Duszejko z „Prowadź swój pług przez kości umarłych” Olgi Tokarczuk. Przez lata kojarzona z teatrem Warlikowskiego, Jett wybija się na niezależność. Nam opowiada o tym, jak nawiązała kontakt z muchą.

Austriaczka z urodzenia, bezpaństwowiec z wyboru. Kontakt z Renate Jett jest jak przeglądanie dokumentów na WikiLeaks: pełna kompromitacja światowego establishmentu, zero kompromisów ze współczesnością. A zaczęło się niewinnie.

Urodziła się w Bludenz, malowniczym miasteczku położonym u zbiegu pięciu dolin górskich: Klostertal, Montafon, Walgau, Brandnertal oraz Groß Walsertal. Później studiowała aktorstwo w Wiedniu i Los Angeles. Była członkiem wiedeńskiego teatru Der Kreis kierowanego przez George’a Tabori. W swojej karierze zawodowej związana była z Schauspielhaus Graz, Staatstheater w Stuttgarcie, Theater Basel w Szwajcarii. Uczyla w State University of Music and Performing Arts Stuttgart. Od dawna związana jest z teatrem Krzysztofa Warlikowskiego, zagrała Kalibana w „Burzy” w Stadttheater w Stuttgarcie i w warszawskim Teatrze Rozmaitości, za tę rolę otrzymała Nagrodę im. Aleksandra Zelwrowicza dla najlepszej aktorki. Grała w „Oczyszczonych” w Teatrze Rozmaitości w Warszawie i Wrocławskim Teatrze Współczesnym, ponadto zagrała u Warlikowskiego w „Śnie nocy letniej” w Theatre National de Nice, „Dybuku” w Teatrze Rozmaitości w Warszawie, „Ifigenii” w Taurydzie w Operze Garnier w Paryżu, „Parsifalu” w Operze Bastille w Paryżu, a w końcu w „(A) polonii” w Nowym Teatrze w Warsza-



wie. Nagrywała też songi do „Opowieści afrykańskich wg Szekspira”. Od 2000 r. reżyseruje również własne spektakle. Niektórzy porównują jej śpiew do Björk czy Sigur Rós. Jednak Jett nikogo nie naśladuje – posiada swój własny styl i temperament.

Właśnie trwają próby w Teatrze Współczesnym we Wrocławiu do „Kotliny” – nowego spektaklu Agnieszki Olsten (premiera 9 marca 2013 r.), tworzonego na podstawie książki Olgi Tokarczuk „Prowadź swój pług przez kości umarłych”. Renate Jett gra w nim Janinę Duszejko, narratorkę książki Tokarczuk, która opowiada rok z dziejów swojej wspólnoty, którego ramy wyznaczają śmierci kolejnych mężczyzn – miejscowych myśliwych, jak pisze Igor Stokfiszewski w zapowiedzi spektaklu. Duszejko podejmuje walkę o zaprzestanie polowań. W imieniu zwierząt i na ich rzecz sięga po wszelkie środki – od pyskówek i przepychanek poprzez donosy na policję aż po astrologię, a wszystko po to, by obalić ten bezwzględnie brutalny obyczaj. Stawką jest ustanowienie wspólnoty opartej na trosce i solidarności wszystkich istot. Wiadomo, że początki bywają trudne, dlatego teatr wydaje się idealnym miejscem, żeby pokazać, na czym to wszystko polega i z czym to się je. Tematykę spektaklu Olsten, który współtworzy między innymi z Jett i kilkoma psami, należy potraktować jako apel. O co? O czułość i zrozumienie. Chyba. ☞

Chwilę przed twoim przyjściem miałam spotkanie z gołębiem.

Coś mówił?

Nic. Po prostu podszedł do mnie i na mnie spojrzał. Nawiązaliśmy kontakt.

Nie przestraszyłaś się?

Absolutnie nie.

A gołąb?

Również nie.

To spotkanie było udane.

Trudno w to uwierzyć, ale pewnego razu nawiązałam kontakt z muchą. To zdarzyło się tylko raz, wiele lat temu. W Wiedniu. Pewna mucha podążała za mną przez kilka dni. To było niesamowite.

Może uwiódł ją twój zapach?

Możliwe. Nigdy tego nie zapomnę.

Opowiadasz o tym jak o romansie.

(śmiej) Bez przesady, ale było w tym coś niesamowitego. Jest we mnie coś takiego, co sprawia, że rośliny i zwierzęta czują się dobrze w mojej obecności.

A ludzie?

Ludzie też. Staram się być w kontakcie z moim otoczeniem, niezależnie od tego, jak wygląda i kto lub co się na nie składa. Wszystko jest dzisiaj wyobcowane. Wszyscy i wszystko staje się sobie obce. Trudno na to patrzeć.

Czyli jest dokładnie odwrotnie, niż się wszystkim wydaje?

Oczywiście. Kiedy jesteśmy w pewnym sensie odseparowani od siebie samych, wtedy łatwiej nas kontrolować, łatwiej na nas wpływać, kształtować nasz styl życia.

I łatwiej modelować nasz lęk.

Żyjemy w strachu, ale tylko dlatego, że ktoś chce, żebyśmy w nim żyli. Ktoś zarabia nieźle pieniądze na naszym strachu.

I jeszcze ta abdykacja Benedykta XVI...

Tak, strach jest coraz większy. Myślę, że dobrze by nam zrobiło, gdybyśmy przestali myśleć w kategoriach piramidowych hierarchii. Hierarchia jest idealnym narzędziem sprawowania władzy.

Ale dzisiaj wszystko opiera się na zasadzie ustawiania się w szeregu, w którym każdy jest nieczystym sumieniem i strażnikiem innych.

Dlatego trzeba coś z tym zrobić.

To wszystko brzmi jak apel.

Bo nasza planeta ma kłopoty.

Poważne?

Oczywiście, że tak! Zwierzęta tylko czekają, aż zrozumiemy, że żyjemy tu wszyscy razem. Chodzi o złapanie wspólnej perspektywy, nie powinniśmy dłużej myśleć o zwierzętach jak o poddanych. O nikim nie powinniśmy tak myśleć.

Czyli „Kotlina” to rodzaj apelu. Apelu o co?

Stawką jest ustanowienie wspólnoty opartej na trosce i solidarności wszystkich istnień. Wspólnoty wyzbytej szowinizmów także ze względu na przynależność do ludzkiego lub nieludzkiego

gatunku. Chcemy dać przykład takiej wspólnoty na scenie. Teatr to idealne miejsce na start.

Chcecie upodmiotowić zwierzęta?

Tak. Podział na ludzkie i zwierzęce nie powinien dłużej obowiązywać.

Marzy ci się społeczeństwo ludzi wilków?

Nie chodzi o to, aby stać się zwierzęciem. Chodzi o to, żeby je zrozumieć, poczuć. Chodzi o to, żeby zmienić obecnie panujące wyobrażenie o zwierzętach.

Na jakie?

Na pozbawione wyższości i przemocy. Powinniśmy się bardziej wsłuchiwać w ich instynkty.

Podobno zwierzęta przeczują nadchodzące trzęsienie ziemi?

I wiele innych rzeczy, śmierć na przykład. Zwierzęta są niesłychanie czułe.

Bywają też bardzo agresywne.

To prawda, ale tylko w sytuacjach zagrożenia. A czułości powinniśmy się od nich uczyć.

Czułość to słabość.

Lepiej być czułym niż histerycznym.

Jesteś czuła?

Staram się. Czułość to praca, a nie – jak się wszystkim właśnie wydaje – słabość. Z wiekiem stajemy się coraz mądrzejsi, to naturalne. Teraz wiem więcej niż kiedyś. Dwa lata temu musiałam uspić moją sukę Suki. Ostatnie lata swojego życia spędziła w całkowitej ciemności i niemocie. Miała niebywały charakter. Często się kłóciłyśmy, ale teraz rozumiem, że to ja postępowałam niewłaściwie.

To też apel o czułość?

Tak, bo wojna nie jest żadnym rozwiązaniem. Wyścig zbrojeń trwa. Kilku panów tylko czeka na moment, kiedy będzie można „włączyć” wojnę. Nie możemy do tego dopuścić. Musimy pozostać w swoich sercach, jakkolwiek naiwnie to brzmi, tylko tam jesteśmy bezpieczni. Nie możemy dać się sprokować, ktoś tylko na to czeka. A nakręcanie przemysłu zbrojeniowego to nie najlepszy pomysł na zarabianie pieniędzy.

Handel bronią zapewnia najwyższe dochody.

Ale to naprawdę nie jest najmądrzejsze rozwiązanie. Nie możemy dać się zwariować. Warto pamiętać, że z natury powodują nami emocje, dlatego łatwo nami sterować. Jesteśmy też zdolni do wytworzenia w sobie emocji bardzo niszczycielskich. I to wszystko razem stanowi bardzo delikatną konstrukcję. Dla mnie najbardziej interesujący jest moment, w którym zauważam, że ktoś żyje pod czyjeś dyktando, chociaż myśli, że jest niezależny. Zazwyczaj żyjemy pod czyjeś dyktando. Medycyna, moda, kosmetyki, banki. Wszystko.

Wszystko?

Tak. Tylko, że dzisiaj Fort Knox jest pusty i trochę nie wiadomo, co robić, jak już nie ma złota, dlatego trzeba wszystkich jeszcze bardziej zdyscyplinować, wytresować.

Myślisz, że Europejczycy są dobrze wytresowani?

Cały świat zaczyna być bardzo dobrze wytresowany.

To chyba coś jest nie tak.

Gdyby ludzie się dowiedzieli, jak bardzo są okłamywani, wpadliby w przerażenie. To niewiarygodne.

Ale my lubimy iluzję.

Tak się nas wychowuje, ale to nie znaczy, że musi tak być. Ludzie powinni się w końcu obudzić. Takie jest moje zdanie, ale oczywiście nikt nie musi

☞ Nie chodzi o to, aby stać się zwierzęciem. Chodzi o to, żeby je zrozumieć, poczuć.

brać mnie na poważnie. I znowu: chodzi o to, żeby coś poczuć, żeby się na dłuższą chwilę wyłączyć i odpaść. Zdaję sobie sprawę z tego, że podobne opinie nie cieszą się dużą popularnością.

Nic dziwnego. Wszędzie tylko strach.

Strach przynosi duże zyski. To właśnie trzymanie nas w strachu jest najbardziej opłacalne. Boimy się o to, czy nie stracimy pracy, czy będzie nas stać na spłatę kredytu, na opłacenie prywatnej edukacji dla dzieci i tak dalej, i tak dalej. Powody do obaw są nieskończone. To szaleństwo. Nie można tak żyć. Trzeba się wyłączyć i zobaczyć, co dalej. Trzeba żyć unplugged. Turn on. Tune in. Drop out.

To musi być trudne w dzisiejszym świecie.

Oczywiście, ale gra jest warta świeczki. To dobre dla zdrowia, co nie znaczy, że nie powinniśmy się interesować tym, co się dzieje na świecie. Przeciwnie, śledzenie reklam czy programów telewizyjnych bardzo dużo o nas mówi.

W końcu dziś zmienia się z Orange.

Niestety tak.

Chciałabys zobaczyć, jak świat spłonie?

To smutne, ale świat spłonie. Musi się w jakimś sensie zresetować. Może później zaczniemy się traktować z miłością.

Jak walczy się o upodmiotowienie zwierząt w kraju, w którym zdecydowana większość ludzi uważa, że Anna Grodzka to „chłop”?

Nie chcę nikogo osądzać, nie czuję, że bym miała do tego prawo. Mieszkam i pracuję w Polsce z jakiegoś powodu, na razie to jest moje miejsce. Widać mam tutaj coś do zrobienia, do powiedzenia. Sama często zadaję sobie to pytanie: dlaczego Polska?

Dlaczego Polska?

Nie wiem do końca. Ale tak naprawdę nie mam chyba „swojego” miejsca, jestem kimś w rodzaju bezpaństwowca, daję mi to ogromną wolność i siły do pracy. ☞

STACH SZABŁOWSKI

Niedzielny konceptualista

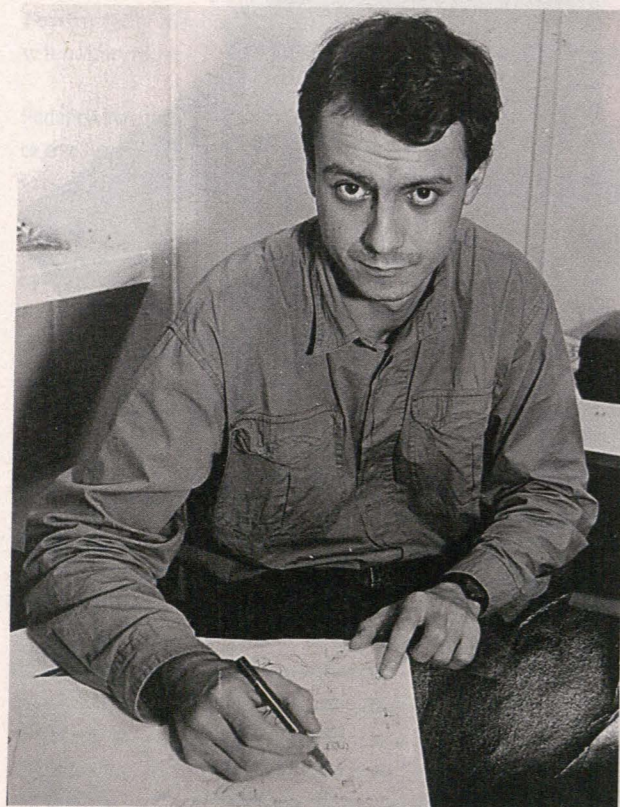
Janusz Łukowicz specjalizuje się w robieniu rzeczy bezcelowych, nieużytecznych i nonsensownych. Tak jak miliony z nas. Różnica polega na tym, że on czyni to z premedytacją i organizuje bezsens codzienności w artystyczne projekty. Stołeczna Galeria Starter otwiera właśnie retrospektywę artysty.

Zycie cały czas wymaga od nas efektywności, sensu i celu – stwierdza Łukowicz. – Cel oczywiście można sobie wytyczyć, ale potem trzeba się nieźle nawywijać, aby go zrealizować, a nie jest powiedziane, czy w ogóle warto i czy cele, do których dążymy, mają sens. Im bardziej wymaga się od nas efektywności, tym bardziej mam ochotę być niepraktyczny.

Rentgen jaja z niespodzianką

I Łukowicz folguje tej ochocie. Spotykamy się tydzień przed otwarciem jego wystawy w Starterze. Artysta opowiada o jednej z nowych prac, które zamierza tam pokazać. Ostatnio kupuje plastry medyczne i klepia je razem, substancjami aktywnymi do siebie: na przykład plaster depilujący z plastrem na porost włosów, plaster z nikotyną z plastrem wyciągającym toksyny, plaster rozgrzewający z plastrem chłodzącym. To dobra metafora życia według Łukowicza; niekończące się zmagania, których bilans jest zerowy.

Parę lat temu Janusz Łukowicz pokazał mi fotografię rentgenowską. Zdjęcie przedstawiało prześwietlone, nieodpakowane jeszcze jajko z niespodzianką i przedwcześnie zdradzało sekret ukryty w czekoladowej skorupce. Początkowo zepsucie niespodzianki wydało mi się gestem złośliwym i cynicznym. Łukowicz zauważył jednak, że rozczarowanie, jakie



Janusz Łukowicz lubi absurd. To m.in. laureat Paszportu Polityki, którego... nigdy nie otrzymał.

wiąże się ze zdradzeniem tajemnicy, jest niczym w porównaniu z zawodem, jaki odczuwamy zazwyczaj po odpakowaniu badziewnej zabawki z jajka z niespodzianką. Na to dictum nie miałem dobrej riposty – bo czy czekoladowe jajka w istocie nie są jednym z tysięcy konsumpcyjnych gadżetów, które rozpalają nasze oczekiwania po to tylko, by je bezlitośnie

zawieść? Tymczasem prace Łukowicza oczekiwań nie zawodziły – one je przerażały. Na przykład spryskiwacz do mycia okien – zamiast płynem do czyszczenia szkła wypełniony był koszmarnie brudną wodą. A już na pewno wszelkie oczekiwania przerażała zrobiona przez Łukowicza piłka futbolowa; artysta wykonał ją z litego kamienia. Na zużytych plastikowych torebkach ręcznie malował logo znanych sieci handlu detalicznego. Przez nikogo nieproszony i z własnej inicjatywy umieszczał w miejscach publicznych wykonane domowym sposobem koślawe drogowskazy kierujące współobywateli do kluczowych punktów życia zbiorowego. „Bankomat”, „Do supermarketu”, „Do banku” – głosiły tablice. Prace Łukowicza do złudzenia przypominają sytuacje, z jakimi stykamy się na każdym kroku, i bezbłędnie wtapiają się w codzienność, ale zakażają ją wirusem porażki i totalnego bezsensu.

Sfalszowany Paszport Polityki

– Na swoje usprawiedliwienie mogę powiedzieć, że nie tylko ja tworzę nieudane, groteskowe produkty – mówi Łukowicz. – Wiele z nich producenci umieszczają w swojej ofercie i tworzą katalogi wysyłkowe, w których przedstawiają je jako superofertę. Trochę się na tych produktach odgrywam za to, że mi się walają pod nogami i że muszę na nie pracować. Wydaje mi się, że jeden spryskiwacz z syfem w środku jest sto razy fajniejszy niż sto spryskiwaczy z płynem do mycia szyb. To rodzaj odreagowania wobec wszystkich rzeczy, które nas tłamszą – trochę tak jak dorysowywanie politykom lub modelom na zdjęciach w gazecie rogów i wąsów. Lekka satysfakcja jest.

Kiedy poznałem się z Łukowiczem, artysta legitymował się Paszportem Polityki. Jeszcze przed naszym pierwszym spotkaniem w Galerii Kronika w Bytomiu odbyło się przyjęcie z okazji przyznania Łukowiczowi tej najbardziej w naszym kraju prestiżowej nagrody w dziedzinie sztuk wizualnych. Paszport dodawał Łukowiczowi artystycznej wiarygodności, pomimo to, a tak naprawdę dlatego właśnie, że istniało jak najbardziej uzasadnione przekonanie, iż dokument jest

ROZWIĄZANIE QUIZU

N 1 E 3 S 4 U 5 O 6 NG 2a 8 No 9 Sc 10

sfalszowany, a jego posiadacz to laureat samozwaniec. Wątpliwości co do autentyczności Paszportu potęgował fakt, że do momentu otrzymania wyróżnienia artysta był praktycznie nieobecny na scenie sztuki. Łukowicz skończył wprawdzie warszawską ASP na początku lat 90. i jest dyplomowanym malarzem, ale po studiach nie malował, bo twierdził, że „unikatowość malarstwa go krępuje”.

– Tworząc unikatowe dzieła sztuki, musiałbym podejmować zbyt wiele ważkich decyzji, na które nie jestem gotowy. Mniej mnie deprymują działania z gotowymi obiektami. Może po prostu nie obawiam się ich zmarnować? – zastanawia się artysta.

W jednym z wywiadów Łukowicz twierdził, że czas między końcem studiów a swoim późnym debiutem poświęcił na „rozwiązywanie problemu roku 2000”.

– Tak naprawdę po akademii chciałem czegoś jeszcze poszukać, odciąć się do tego, czego nauczyłem się w szkole – mówi Łukowicz. – Trochę to trwało. Około 17 lat. Zafundowałem sobie kwartalanę. Po studiach wydawało mi się, że ważne są takie sprawy życiowo-techniczne typu mieszkanie. Że trzeba pójść do pracy, zaciągać kredyty, wkroczyć na tą ścieżkę. Poszedłem nią za daleko. Z drugiej strony zebrałem kilkanaście lat doświadczeń w dziedzinie absurdalności codziennego życia. Ta absurdalność wyłazi z rzeczywistości stopniowo; na pierwszy rzut oka jej nie widać, ale kiedy przyjrzeć się bliżej, można się za głowę złapać.

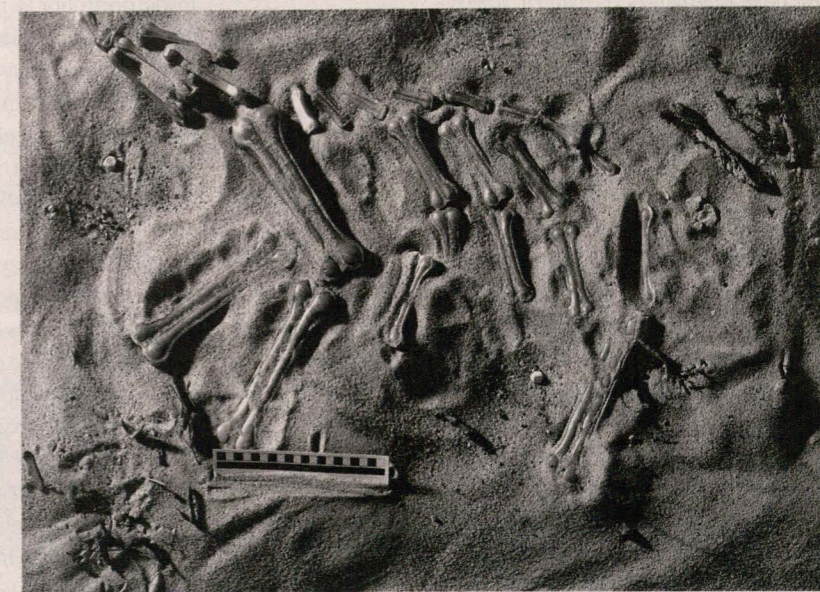
Paragon fiskalny z kołędą

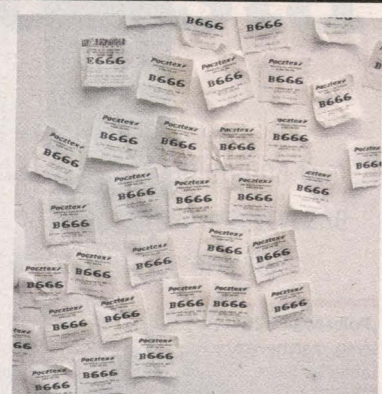
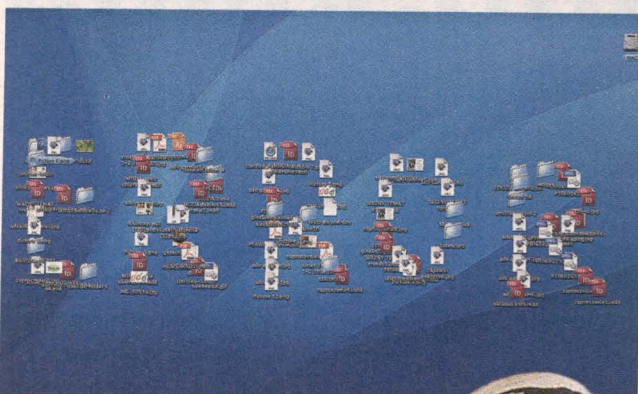
W połowie lat dwutysięcznych Łukowicz pojawił się na scenie sztuki właściwie znikąd. Trudno go było zaszufadkować. Przypominał trochę komiksowych superbohaterów z ich podwójnym życiem, w którym raz jest się ugrzecznionym Clarkiem Kentem, a raz herosem dokonującym niezwykłych czynów. Łukowicz w swoim wcieleniu Clarka Kenta pracuje na pełny etat jako grafik dla dużych firm. Po godzinach robi zupeł-

„Nieskończoność”, 2009, offset, długopis

„Półbatwan”, 2010, śnieg, marchewka, kamienie

„Kosmogonia”, 2013, kości prasowane dla psów. Fragment paleozoologicznego projektu Janusza Łukowicza; na swoją retrospektywę w Galerii Starter artysta zbudował trójwymiarową rekonstrukcję szkieletu prehistorycznego gada z psich kości-gryzaków zakupionych w sklepie z artykułami dla zwierząt.





„Yin-yang”, 2009, niewielka kulka stworzona z plasteliny.

nie inne rzeczy. Tworzy na przykład zdalnie sterowaną torebkę foliową, która tylko z pozoru wala się po ulicy wśród innych śmieci, a w rzeczywistości cały czas jest kontrolowana przez radio przez artystę. Albo obławia kasę fiskalną i każe jej zamiast rachunku za zakupy drukować na paragonie tekst kolędy „Lulajże, Jezuniu”. Albo kseruje poplamioną kawą kartkę A4, pomniejszając za każdym kolejnym razem kopię o 50 proc. tak długo, aż otrzyma czysty wydruk. Subtelne operacje Łukowicza na materii, rozgrywanie banału i oparte na absurdalnym humorze przedrzeźnianie codzienności – to wszystko zdawało się podążać antyartystyczną i anarchistyczną drogą wyznaczaną przez artystów dada, godzących z równą bezczelnością zarówno w powagę życia, jak i sztuki. Łukowicz, wprowadzając do galerii paragony fiskalne, wypełnione syfem spryskiwacza albo zapisy SMS-owych dialogów z automatyczną wróżką, której radził co do inwestycji w polską sztukę współczesną, pokpiwał z idei dzieła sztuki jako bezcennego artefaktu, ale mieścił się w postkonceptualnych strategiach artystycznych, które pozwalają czasem nazwać sztuką niemalże wszystko, co zechcemy. Czy można jednak być nie-

dzielnym konceptualistą? Na marginesach sztuki funkcjonują oczywiście „niedzielni malarze”, choć taką figurę wyobrażamy sobie jako postać raczej nieszkodliwą. Tymczasem w postaci konceptualisty wpisana jest przebiegłość i przewrotność – zupełnie jak u Łukowicza.

– Na pewno nie nazwałbym się artystą zawodowym. Słowo „zawód” w kontekście sztuki mnie odstrasza. Co miałyby znaczyć profesjonalizm w wypadku twórcy? Że umie zadbać o PR? Dobrze przygotować portfolio? Jasne, ale to nie ma wiele wspólnego z uprawianiem sztuki. Zawodu można się wyuczyć, sztuki chyba jednak nie. Mnie interesują nieprzewidywalne rezultaty, potencjał niepragmatycznego działania, możliwości tkwiące w tym rodzaju wysiłku, który okazuje się niewspółmierny do efektu, starania, które palą na panewce. Czy jestem niedzielnym konceptualistą? W pewnym sensie tak, jeżeli chodzi o porę, w której realizuję swoje pomysły – tworzę po pracy, zajmuję się sztuką od soboty do niedzieli. Z drugiej strony ocieram się o sprawy, których dotkam potem w pracach codziennie, od poniedziałku do poniedziałku, bo z rzeczywistością zderzam się non stop. To tak jak z egzystencją. Nie można być niedzielnym egzystencjalistą. I wszyscy jesteśmy

„Bumerang”, 2008, zapakowany w kopertę australijski bumerang wysłany pocztą do nieistniejącego adresata. „Wyrzucony bumerang nie szybuje w powietrzu, ale jest wysłany listem poleconym na nieistniejący adres. Mam przynajmniej pewność, że do mnie wróci. Z siłami natury i prawami fizyki nigdy nic nie wiadomo, a instytucji można zaufać”.

„Wrześnie niebo (Warto zobaczyć)”, 2009, kolaż z wykorzystaniem gwiazdek przyznawanych w recenzjach prasowych.

„Error”, 2009, wydruk z ekranu. Pulpit komputera osobistego Janusza Łukowicza.

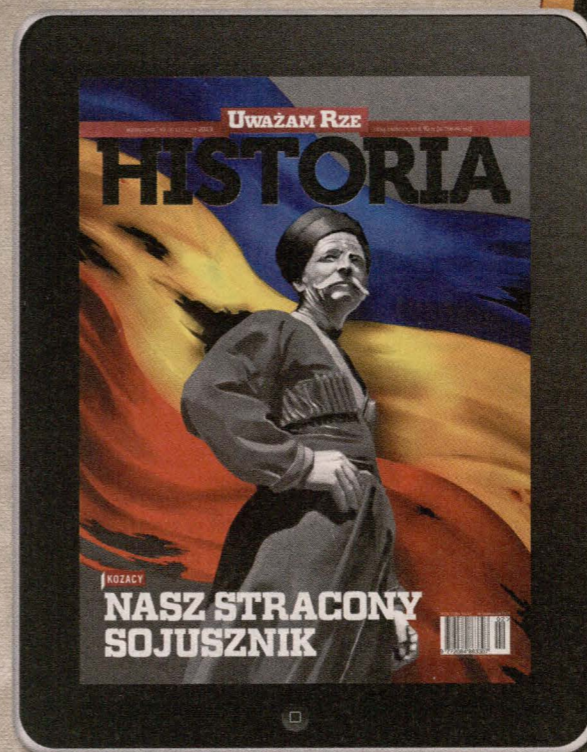
„Bestia codziennie (Beast everyday)”, 2010 – do dziś, bilety z automatu kolejkowego z biblijnym Numerem Bestii, dokumentacja trwającej akcji – praca w trakcie nieustającej realizacji. „Zachowuję czujność w kolejce do okienka pocztowego. Z automatu kolejkowego odbieram codziennie numer 666”.

egzystencjalistami amatorami. Niektórym się wydaje, że są w tej dziedzinie zawodowcami, ale to złudzenie.

W korporacji życia

Zanim Łukowicz ujawnił się z pracami na scenie artystycznej, przez kilka lat robił je do szuflady. Po fajrancie prowadził dyskretną rozgrywkę z rzeczywistością, wytwarzając nieużyteczne przedmioty i aranżując absurdalne sytuacje.

– Zacząłem wystawiać, bo pomyślałem, że może więcej osób potrzebuje takiej terapii. Skoro mi to pomaga, ktoś inny też się podleczy. Może przyjdzie mu do głowy, że wstawanie o 6.45, aby dążyć do celów, których tak naprawdę nie chce się osiągnąć, nie jest do końca tym, o co chodzi – mówi Łukowicz. I dodaje, że nie chodzi mu jedynie o absurd życia w korporacjach, ale życia w ogóle, bo życie też jest swego rodzaju korporacją. Codzienne golenie, śniadanie – uwikłanie w powtarzane rytuały niekoniecznie wynika z chodzenia do pracy. Nawet jeżeli się nie pracuje w korporacji, to i tak się jest w korporacji. W korporacji życia. – Moje prace nie oferują gotowej recepty, jak sprostać tej sytuacji, bo taką receptę każdy musi znaleźć sam. Są raczej sygnałem, że coś być może jest nie tak – kwituję artysta. ☞



NOWY NUMER już w sprzedaży, a w nim m.in.:

- prof. Antony Beevor / Upadek Stalingradu nie oznaczałby jeszcze niemieckiego zwycięstwa
- prof. Grzegorz Motyka / To Borowiec stworzył „pierwszą UPA”, ale banderowcy ukradli mu nazwę
- Michał Kurkiewicz / O tym, jak katolicki ksiądz z sowieckiej partyzantki został kapelanem berlingowców



Available on the App Store



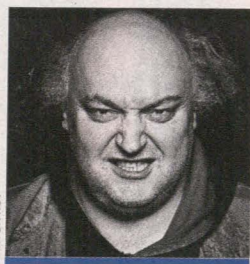
Google play

POBIERZ APLIKACJĘ
NA SWÓJ TABLET

www.historia.uwazamrze.pl

Maciej Nowak

Wagina narodowa



ARTUR KOT

B. zabija Alinę, Kirkora, odrzuca matkę, ale tak naprawdę nie jest w stanie sprostać swemu losowi.

A gdyby tak stworzyć poczet wiedźm polskich? Na jego ostatnich stronach znajdzie się miejsce dla dzieciobójczyni Katarzyny W., zdraczyni Wandy N., łapówkarki Beaty S. i oszustki matrymonialnej Anety K. Cofając się w przeszłość, znajdziemy w nim też m.in. Marzenę D., czyli Anastazję Potocką, oraz legendarne ucieleśnienie zbrodniczej przebiegłości – Ritę Gorgonową. Obok nich Różę L., Irenę K., Wandę W. Złe kobiety, sukuby, kusicielki, dręczycielki, przestępczynie inspirujące wyobraźnię. Wczytajcie się w relacje kolorowej prasy z procesu Katarzyny W. Każdy grymas, splot warkocza czy krój sweterka interpretowane są jako przejaw zbrodniczych instynktów. A na samym początku polskiego atlasu kobiet upadłych z pewnością umieścić trzeba Balladynę, postać ulepioną przez Juliusza Słowackiego z ludowych ballad i przesądów.

Sceniczna zabójczyni krąży niczym strzyga po polskich teatrach z dużą regularnością. To chyba najczęściej wystawiana sztuka Słowackiego. Tym razem przepisał ją od nowa Marcin Cecko, a Krzysztof Garbaczewski wystawił w Teatrze Polskim w Poznaniu. Niespecjalnie przekonuje mnie pierwsza część, sytuująca wydarzenia w zapuszczonym laboratorium genetycznym, które oglądamy za pośrednictwem kamer wideo. Pasjonujące widowisko zaczyna się po przerwie, gdy okazuje się, że B. otrzymuje od świeżo poślubionego Kirkora (Piotr B. Dąbrowski) nie pałac, nie bogactwa, ale... teatr! I to nie byle jaki, tylko właśnie Teatr Polski w Poznaniu. Teatr ze wzniosłą 150-letnią tradycją patriotyczną, teatr wybudowany w XIX w. ze składek Wielkopolan.

Gdy B. wchodzi na proscenium, gdy przygląda się złocystem lożom, okazuje się, że nie ma nic do powiedzenia. A jedyne skojarzenie, jakie ma, to porównanie wnętrza narodowej sceny Wielkopolski do wielkiej

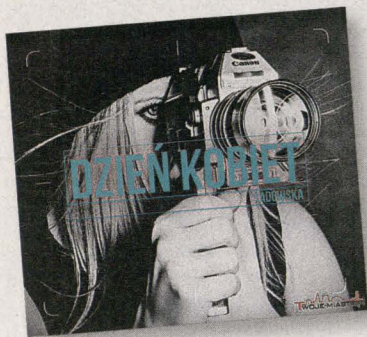
waginy. B. zabija Alinę, Kirkora, odrzuca matkę, ale tak naprawdę nie jest w stanie sprostać swemu losowi. Jest zbrodniarką, ale jest też bezradną kobietą, przejmująco zagraną przez Justynę Wasilewską. W sukurs idą jej dwie raperki z Drapcipeskuadu, które rymują doświadczenia polskich dziewczyn. Ostro, wulgarnie, dosadnie. To ten sam ton, który znamy z akcji Pussy Riot, Femenu czy Pojuszczije Trusy. Ze sznurowni zjeżdża nad scenę obiekt Huberta Czerepoka, neon, w którym napis „Naród sobie” z frontonu Teatru Polskiego wpisany jest we wstęgę znad bramy wejściowej do Auschwitz. Naród sobie? Co naród sobie? Jak naród sobie? Obóz koncentracyjny? Wielka vagina? Wielkie narracje? Nic takiego. Von Kostryn (Michał Kaleta) okazuje się infantylnym futbolistą, który na zmianę bawi się piłką i przepytuje Balladynę z „Wyznania wiary dziecięcia polskiego”. „Czym zdobyta? – Krwią i bliźną?” – wykrzykuje B., co w kontekście rapowego numeru Krewkurew kieruje skojarzenia w zupełnie nieoczekiwaną stronę.

„Balladyna” Cecki i Garbaczewskiego wywołała w Poznaniu osłupienie. Jasne stało się, że reżyser wykorzystał Teatr Polski i jego dumną historię do rozliczeń z formatami polskości. Kilka ważnych osób śmiertelnie się obraziło, kilka innych wyszło z teatru, trzasnąwszy drzwiami, a w lokalnych mediach i na forach ukazały się miażdżące opinie. Autorzy spoza Poznania wzięli spektakl w obronę, co z kolei wywołało poczucie, że mamy do czynienia z dziełem kontrowersyjnym, niezrozumianym, odrzuconym przez wielkopolską konserwę. Nie warto iść tą drogą. Pielęgnowanie pozytywnego i niedocenionego twórcy jest w złym guście, podobnie zresztą jak demonstracyjne opuszczanie spektaklu i wykrzykiwanie obraźliwych słów. To tandetne gesty z repertuaru dawnego teatru. Nowy teatr stwarza warunki do skutecznego dialogu. ☞

Autor jest teatrologiem, szefem Instytutu Teatralnego, smakoszem, autorem barwnych recenzji kulinarnych. U nas pisze o premierach teatralnych.



„Balladyna”
dramaturgia
Marcin Cecko,
reżyseria
Krzysztof Garbaczewski,
Teatr Polski w Poznaniu,
prapremiera 25.01



„Dzień kobiet” wchodzi na ekrany 8 marca. W tym samym czasie nakładem wydawnictwa Fonografika ukaże się dwupłyty album „Dzień kobiet” ze ścieżką dźwiękową i piosenkami inspirowanymi tematyką kobiecą skomponowanymi i wykonanymi przez Marię Sadowską.



ROZMAWIA ZUZANNA ZIOMECKA

Babski western w spożywczażaku

Film „Dzień kobiet” wchodzi na ekrany (tak, zgadliście!) 8 marca. Od muzyki klubowej i tańca na lodzie do poważnego kina z przekazem jest spory dystans. O pokonywaniu go opowiada reżyserka **Marysia Sadowska**.

Cały czas kojarzę cię z muzyką. Kiedyś klubową, ostatnio jazzową. Tymczasem uparcie nie chcesz być muzykiem, tylko filmowcem. Co jest grane?

Muzyka z filmem przeplatają się u mnie. Film zawsze był moją drugą pasją. To nie jest jakiś nagły zryw. Interesuję się filmem od dziecka. Moi rodzice mieli programy dla dzieci, w których reżyserowałam, robiłam teledyski dla tych dzieci. Jako nastolatka byłam zagorzałą kinomaniaczką, uciekałam na wargary do kina. Oglądałam pięć lub sześć filmów dziennie. Łykałam wszystko – od rzeczy artystycznych po filmy kla-



TOMASZ STANCIAN/AGENCJA GAZETA

sy b i c. Po skończeniu szkoły muzycznej i zdaniu matury wybrałam studia filmowe, ponieważ pasowały do mojego charakteru. Takie studia skupiały wszystkie moje zainteresowania – opowiadanie historii, zdjęcia, muzyka, filozofia... Po 12 latach klasycznego grania na fortepianie wiedziałam, że akademia muzyczna nie jest dla mnie. Jednak po studiach wątki muzyczne znów się nasiliły. Zamiast dyplomu filmowego u profesora Marczewskiego, za jego namową nagrałam płytę. Powiedział mi wtedy, że muzyka to pierwsza ze sztuk. Gdyby nie to, pewnie nie nagrałabym sześciu płyt. Jednak projekty filmowe zawsze toczyły się równocześnie, czasem w tle, a czasem na pierwszym planie, jak przez ostatnich kilka lat.

„Dzień kobiet” jest społecznie zaangażowanym filmem o kobietach wykorzystywanych na rynku pracy. Konkretnie w sieciówkach spożywczych. Skąd potrzeba zgłębienia tego tematu?

Ten film zaczyna się tam, gdzie poprzedni się skończył. W ostatniej scenie „Non Stop Kolor” główna bohaterka wchodzi w strajk pielęgniarzek. Nowy film zaczyna się właśnie tam – od kobiet na rynku pracy. Tym razem nie pielęgniarce, tylko kasjerki. Ja jestem z pokolenia, które o nic nie walczyło. Udział w ruchach społecznych kojarzył mi się źle, z PRL-em. Wydawało mi się, że jako artysta nie powinnam się tym zajmować, tylko stworzyć własny świat. Chyba się po prostu

do tego dorasta. Im więcej widzisz i rozumiesz, tym więcej rzeczy cię wkurza, aż w końcu decydujesz się zabrać głos.

Skupiłaś się na kobietach. Zresztą nie tylko na ich pracy, ale też na ich wspólnym międzypokoleniowym świecie. Zdajesz sobie sprawę, że w twoim filmie nie ma ani jednego sympatycznego faceta?

Nieprawda. Jest prawnik Leonard, ciepły i szlachetny starszy pan. Są też złe kobiety. Opowiadam się generalnie po stronie uciśnionych. Przecież nie jest tak, że nienawidzę mężczyzn. Choć film skupia się na świecie kobiecym, historia jest uniwersalna. Mogłaby się zdarzyć robotnikom, np. w hucie. Konstrukcja byłaby taka sama. To nie jest film o wojnie płci, tylko o solidarności. O przebudzeniu do walki o siebie. W tym przypadku kobiet.

Czujesz się reżyserką kina artystowskiego czy mainstreamowego? Mam kłopot z klasyfikacją tego filmu.

To nie takie proste. Zależało mi na tym, żeby film „miał jaja”, żeby pokazywał ducha walki, a nie opowiadał historię o ofiarach. Włożyłam wiele wysiłku w to, żeby przemówił do osób, o których opowiada. Żeby te dziewczyny, kasjerki, miały przyjemność z oglądania tej historii, a nie czuły się wykluczone przez wydziwione artystowskie formy. Wiem, że polskie kino uwielbia martyrologię, ale ja tego nie noszę. Ta historia wydarzyła się naprawdę i od początku mnie zauroczyła tym, że jest archetypiczną bajką o słabszym, który wygrywa z większym, mocniejszym wrogiem.

Zaryzykowałaś film z happy endem – dobre polskie kino nie stosuje takich amerykańskich chwytów!

Bo to jest dość trudne. Łatwiej jest pokazać tragedię niż odcienie szarości i pozytywne, jednocześnie niekiczowaty obraz rzeczywistości. W Polsce pozytywizm jest traktowany jako odmiana naiwności albo prostackie frajerstwo. To jest kompletne przekłamanie. Dlatego „Dzień kobiet” jest słodko-gorzki, ale przez to bardziej zbliżony do prawdy.

Dorota Chrobak o filmach



reż. Michael Winterbottom
Wielka Brytania, 2011,
Against Gravity, 117 min

klętych nie jest w stanie wybrzmieć, bo niemal każdą scenę z ich udziałem przerywa brutalne cięcie montażowe, a nawet w najbardziej dramatycznych momentach pojawiają się przebitki w postaci widoczków przyrody, zwierząt itp. Michael Winterbottom, niczym stachanowiec w kopalni, od ponad dekady kręci co najmniej jeden film rocznie. Najwyższa pora, by odpowiedział sobie na pytanie: po co?



reż. Cristian Mungiu
Rumunia, 2012,
Stowarzyszenie Nowe
Horyzonty, 150 min

ny, która za wszelką cenę próbuje odnowić przyjaźń z koleżanką zakonnica, jest filmem irytująco antyklerykalnym (na bramie klasztoru wita nas tabliczka: „Innowiercom wstęp wzbroniony”), z bohaterami o skrajnie uproszczonym rysunku psychologicznym (tabun identycznych, jak z szablonu ciętych sióstr zakonnych) i akcją sprowadzoną do regularnych ataków psychozy głównej bohaterki. Dwie i pół godziny monotonnej mordęgi.

Katarzyna Nowakowska o serialach

Rozczarowani(e)

Nigdy nie byłam fanką „Lostów”, a do J.J. Abramsa mam stosunek chłodny. Jednak na wieść, że kręci serial z Jonathanem Nolanem, poczułam się zaintrygowana.

Pomysł na „Wybranych” też był intrygujący. Informatyczny geniusz Finch (Michael Emerson) tuż po zamachach z 11 września opracowuje na zlecenie rządu maszynę, która na podstawie analizy rozmaitych danych (rozmowy telefoniczne, e-maile, dane z ulicznego monitoringu) potrafi wskazać jednostki podejrzane. Oczywiście dla władz istotne są te wyniki, które pozwolą zapobiegać ewentualnym aktom terroru, a „zwykłe” zbrodnie: morderstwa, oszustwa i wszelkie inne podłości, to tylko szum informacyjny. Jednak Finch nie może się pogodzić z takim podejściem i zatrudnia byłego agenta służb specjalnych Reese'a (Jim Caviezel), by interweniował także w prywatnych sprawach wskazanych przez maszynę. Bracia Nolanowie to dobra marka, a Jonathan jako autor scenariusza filmu „Prestizj” ma u mnie naprawdę duży kredyt zaufania. Niestety: dobry pomysł to nie to samo co dobry serial. Gdy w imię błyskotliwej idei trzeba nieco ponaginać logikę, warto stworzyć jakiś wentyl bezpieczeństwa dla widza, dać mu znać, że wiemy, gdzie przebiega ta cienka granica między fikcją a bzdurą. Nie od rzeczy byłoby jakieś puszczanie oka, gdy nam konwencja trzeszczy w szwach. Byle nie było bzdurnie i pompacyjnie. A jest. „Wybrani” (Person of Interest), TVN, poniedziałki, godz. 23.30 (od 4 marca).



Płyty ocenia Angelika Kucińska



Inc., „No World”,
4AD/Sonic
👍👍👍👍

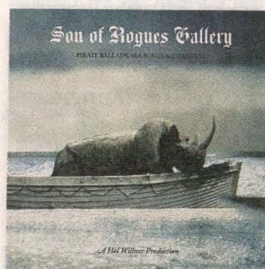
R'N'B

Romans w rytmie R'N'B

Kurs na sypialnie trzyma się mocno. Tym razem do swojej wersji pościelowego R'N'B przekonują dwaj bracia z Los Angeles, działający pod szyldem Inc. Prince już dawno nie nagrał tak dobrej płyty. I tym zdaniem można zaczynać recenzje wielu albumów, które ukazały się w ostatnich kilku latach. W klasycznym soulu inspiracji szukają Jamie Lidell i Miguel, każdy po swojemu. Pharrell Williams przejął monopol na szarżowanie falsetem. A The Weeknd i How To Dress Well odarli lata 90. z niedyskretnego obciachu. Inc., braterskiemu duetowi z LA, najbliższe do tego ostatniego – pokrewieństwo słychać przede wszystkim w intymnych aranżacjach na szumach i westchnieniach. Bardziej romantycznych niż erotycznych. Nie są najlepsi w swojej kategorii, ale też nie odstają od tych, którzy przecierali im szlak. Nawet od tego mikrusa na obcasie. 📞



MATERIAŁ PRASOWY (2)



Różni wykonawcy,
„Son of Rogues's Gallery:
Pirate Ballads, Sea Songs
& Chanteys”,
Anti-/Sonic
👍👍👍👍

SZANTY

Piraci z Hollywood

Z czym kojarzą się szanty? Z niczym dobrym? Keith Richards to zmieni.

Za kompilacją stoją czołowi piraci Hollywood: aktor Johnny Depp i reżyser Gore Verbinsky. Dwupłytowe wydawnictwo zbiera, ogólnie rzecz ujmując, piosenki o morzu. Wrażenie robi nie tylko odkurzenie niepopularnego gatunku, ale i lista zaproszonych muzyków. Pierwsza liga. Tom Waits, Iggy Pop, Patti Smith, wspomniany wcześniej Keith Richards, Nick Cave, Beth Orton, Sean Lennon i jeszcze paru. Najbardziej bawią wykonania wyciągające z szant ich esencję tylko po to, żeby ją brutalnie wykoślawić, jak chociaż knajpiany duet Waitsa i Richardsa, ewidentnie inspirowany przemysłowymi ilościami rumu. Chcę na tę fajbę. 📞



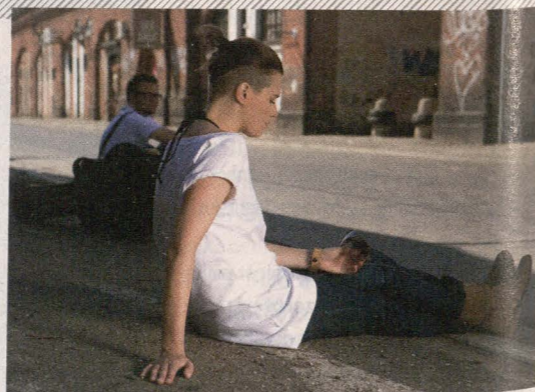
Mikromusic,
„Piękny koniec”,
EMI
👍👍👍

ELEKTRONIKA

Perfekcyjnie nudni

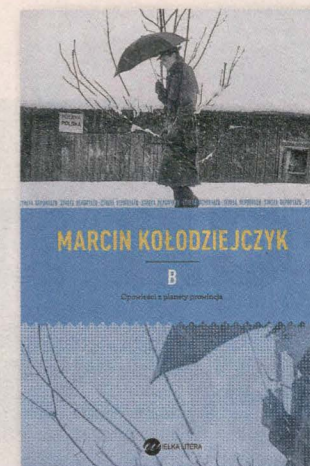
Gdyby Natalia Grosiak zgłosiła się do „X Factor”, pewnie odpadłaby w przedbiegach. Dziewczyna o niewielkim głosie nadrabia charyzmą. I tyle wystarczy?

Najpierw atuty. Nie wydziwia, nie popisuje się, nie kombinuje. A jednak to sposób, w jaki śpiewa, ustawia kolejne płyty Mikromusic – określa ich plastykę, buduje emocje. Śpiew Grosiak jest z jednej strony niewymuszony, z drugiej manieryczny (trochę jak u Björk), zawsze jednak rozpoznawalny. Idealnie wkomponowany w dopieszczone, nowoczesne aranżacje. Mikromusic, wrocławski zespół wywodzący się z trip-hopu, dziś jest już mniej oczywisty w inspiracjach i zdecydowanie bardziej uniwersalny w kompozycjach. To teraz minusy. Wszystko na tej płycie jest przemyślane, ładne, gładkie, dopracowane, nieskazitelne. I takie samo. Brakuje czegoś, co różnicowałoby piosenki, odwagi, żeby podkreślić dramaturgię. Perfekcja jest nudna, niestety. 📞



Poezja podmiejskich pociągów

Majstersztyk reportażu. Ale nie tylko. Krótkie opowiadania Marcina Kołodziejczyka, dziennikarza „Polityki”, to coś więcej niż literatura faktu. Znakomicie napisane historie czyta się jak opowiadania. Ulotne, a zarazem twardo osadzone w szaroburych realiach. Poruszające i jednocześnie naznaczone subtelną ironią. Kołodziejczyk znakomicie oddaje język swoich bohaterów. Czegoś takiego nie usłyszymy na uniwersytetach czy w kawiarniach. Trzeba wsłuchać się w poezję lokali o kiepskiej reputacji, podmiejskich pociągów, polonezów „z futrzakiem z cielaka na siedzeniach” i autobusów zalatujących kaszanką. Już od pierwszego rozdziału wiadomo, że obcujemy z błyskotliwą prozą. Trudno się oderwać od tych historii: o pięknej dziewczynie – jak śpiewał Kazik – „bez zęba na przedzie” z praskiej fabryki Wedla albo o „trzech psychicznie indyferentnych”, którzy poszli na pogrzeb kolegi, czy aktorkach prowincjonalnych jadących robić karierę do miasta. Wszystko to bez cienia protekcjonalizmu. → Marcin Kube

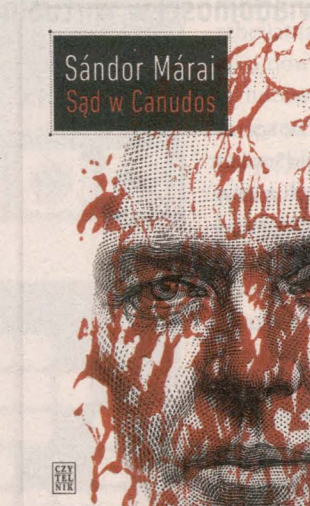


Marcin Kołodziejczyk,
„B. Opowiadania
z planety prowincja”,
Wielka Litera 2013,
cena 29,90 zł
👍👍👍👍

Zapowiedź szaleństwa

Koniec XIX w., Brazylia. W odludnych rejonach stanu Bahia powstaje utopijne miasto-państwo, w którym chronią się wyznawcy sekty religijnej kierowanej przez samozwańczego proroka, zwanego Doradcą. Sekciarze stawiają się ponad brazylijskim systemem prawnym świeckim (nie respektują prawa własności) oraz kościelnym (kapitanem może zostać wybrany każdy członek społeczności). Uciekają na peryferia republiki i poza margines społeczeństwa, bo wierzą w nadciągającą Apokalipsę. Koniec świata ma przynieść wyzwolenie od doczesnych trosk i ziemskiej niesprawiedliwości. Rychło okazuje się jednak, że Święte Miasto, które miało być etapem przejściowym na drodze do Raju, okazuje się przedsionkiem Piekiła. Członkowie wspólnoty popadają w nędzę jeszcze większą od tej, której doświadczyli przed ucieczką do Bahia, zaś ich anarchistyczne państewko nękają wojska republiki. Bastion upada po czwartym szturmie – żołnierze krwawo rozprawiają się z sekciarzami...

W słabo znanym fragmencie dziejów Brazylii (sekciarskie państewko upadło w 1897 r.) węgierski pisarz dopatruje się zapowiedzi rewolucyjnych i totalitarnych patologii, które wstrząsnęły światem w następnym stuleciu. Ludzie ulegali i ulegają patologicznym ideologiom pod każdą szerokością geograficzną, gorzko przekonuje Marai. → Cezary Polak



Sándor Márai,
„Sąd w Canudos”,
Czytelnik 2013,
cena 25 zł
👍👍👍👍

Język z kością

„Chciałbym zobaczyć film oparty na tej książce...” – tak Marcin Dorociński rekomenduje nową powieść Joanny Fabickiej. Pomysł to karkołomny, bo istota tej prozy nie kryje się w wykrzywionym, obfitującym w stereotypy portrecie prowincji. Jej wartość tkwi w słowie, a Fabicka wyczynia z nim cuda. Pisarka ze zjadliwym humorem skrobie do kości zgrane frazeologizmy, ludowe mądrości i powiedzonka. Buduje ciągi brawurowych skojarzeń i obnaża pustosłowie, jakiemu się na co dzień oddajemy. W miejscowości o znamiennej nazwie Podlewo zebrała wszelkie dziadostwo oraz biedę (materialną i intelektualną). Duszny obraz prowincji i językowa ekwilibrystyka sprawiają, że gdzieś w dali słychać echa „Amatorek” Jelinek. Połączenie doświadczeń autorki literatury młodzieżowej oraz jej feministycznego zacięcia powinno obrodzić pozycją wyjątkową. Mimo licznych atrakcji trudno się jednak opędzić od myśli, że gdzieś już to wszystko czytaliśmy. → Marcin Kube



Joanna Fabicka,
„Second Hand”,
W.A.B. 2013,
cena 36,90 zł
👍👍👍

ANNA PRZYBYLL

Niech moc newsa będzie z Tobą

Wiadomości można czytać, oglądać, a od niedawna także w nie zagrać. Powstają specjalne aplikacje, które **przetwarzają wiadomości w wirtualną rzeczywistość** i wciągają z równą siłą jak tradycyjne strzelanki.

Wyobraźmy sobie, że scenariusz gry „Battlefield” opiera się na wydarzeniach z misji stabilizacyjnej w Iraku z ostatniego miesiąca, a grając w „Angry Birds”, poznamy zagrożone gatunki ptaków. Z kolei dzięki „CityVille” zamiast budować miasto marzeń rozwijamy wiedzę na temat problemów konkretnej metropolii świata. Byłoby tak samo zabawnie, ale znacznie ciekawiej.

I tak już jest za sprawą platformy online Game the News, która służy do rozwoju gier na podstawie bieżących wydarzeń. Są już gry na komputer i na smartfony o pracy dzieci w Uzbekistanie, zmianach klimatu i o konfliktach w Syrii. Na przykład gra „Endgame: Syria” pozwala wczuć się w to, co przeżywają rebelianci w kraju pochłoniętym wojną domową. Gra jest wciąż aktualizowana, by oddawać rzeczywisty rozwój sytuacji w Syrii.

Zespół pracujący nad platformą liczy zaledwie siedmiu programistów, którzy dotychczas (od grudnia 2012 r.) stworzyli 13 gier. W przyszłości ma tam powstawać jedna gra dziennie.

Poczuj newsa

Zaletą gamifikacji newsów jest to, że mają szansę dotrzeć do większej liczby

osób i skłonić je do pogłębienia wiedzy o bieżących wydarzeniach. Gry są dość przystępne dla przeciętnego internauty, ale dotyczą istotnych kwestii. Zmuszają do myślenia, nie tylko posiadania umiejętności operowania joystickiem.

Rozwojem gier bazujących na prawdziwych wydarzeniach zajęła się amerykańska fundacja Knight, oferując program grantowy 21st Century News Challenge. Wsparcie finansowe przeznaczono dla instytucji, która podejmie się „wykorzystać nowoczesne metody, aby pomóc obywatelom budować relacje ze swoją społecznością”. Jednym z laureatów grantu w 2007 r. został Instytut Nowych Mediów Uniwersytetu w Minnesocie. Projekt zatytułowany „Playing the News” zakładał przygotowanie prototypu gry, która opierałaby się na kontaktach pomiędzy różnymi podmiotami rządowymi, prywatnymi i korporacyjnymi, zainteresowanymi daną sprawą. W tym przypadku chodziło o produkcję bioetanolu z kukurydzy. Gra jest dostępna online pod adresem www.inms.umn.edu/projects/games.html. Jej twórczynie, Nora Paul i Kathleen Hansen, stwierdziły, że używanie gier do celów informacyjnych ma sens wtedy, gdy chcemy pozyskać odbiorców spędzających czas

w Internecie. Ich tropem poszły młode start-upy.

Zagraj i zrozum

Firma ImpactGames powstała w 2006 r. Jej założyciele, Asi Burak i Eric Brown, ukończyli właśnie studia w Centrum Technologii Rozrywkowej na Uniwersytecie Carnegie Mellon w Pittsburghu. Stworzyli stronę Play the News, aktywną od połowy 2008 do początku 2009 r., na której zamieszczali proste gry bazujące na newsach. Wypromowali ideę aktywnego zaangażowania się w wiadomości, zamiast ich pasywnego odbioru. Ta strona różniła się od „Game the News” tym, że gracze byli oceniani i mieli możliwość dyskusji o grach na forum.

Ich największym dokonaniem jest wyprodukowanie „PeaceMakera”, który pozwala wcielić się w izraelskiego premiera lub palestyńskiego prezydenta i podejmować decyzje z zakresu dyplomacji, bezpieczeństwa i gospodarki. Gracz musi mieć wyczucie, czy zignorować groźby terrorystów i nie przerywać rozmów pokojowych, czy wręcz przeciwnie – kontynuować rozbudowę osiedli żydowskich na terenach Palestyny. Kluczem do sukcesu w tej interaktywnej zabawie jest umiejętność właściwa



szachistom, czyli przewidywanie skutków decyzji na trzy ruchy do przodu.

– Dla wielu to przeżycie psychologiczne. Sporo Izraelczyków mówiło, że ma kłopot, aby grać po stronie palestyńskiej. Większość osób preferuje własną stronę – mówił Agencji Reutera Asi Burak.

Scenariusz opiera się na realnych wydarzeniach z przeszłości. Zawiera też elementy futurystyczne, jak utworzenie państwa palestyńskiego. Gra kosztuje 20 dolarów, jest dostępna w trzech językach – po angielsku, hebrajsku i arabsku.

Mortal Kombat

Najbardziej aktywnym dziś serwisem, który stara się przekuć bieżące wydarzenia na gry wideo, jest jednak GameTheNews.net. Firma Auroch Digital z siedzibą w Bristolu w Wielkiej Brytanii, która istnieje od 2012 r. i wyprodukowała dotychczas 13 gier inspirowanych najnowszymi wydarzeniami. Między innymi uświadamiającą strzelankę o kłusownikach polujących



Gra „PeaceMaker” pozwala wcielić się w izraelskiego premiera lub palestyńskiego prezydenta i podejmować decyzje z zakresu dyplomacji i gospodarki.

na nosorożce w Ameryce Południowej czy proekologiczną grę wyścigową promującą inteligentne autostrady, których latarnie włączają się w nocy tylko na odcinku, którym przejeżdżają pojazdy.

W październiku ubiegłego roku, w szczycie kampanii prezydenckiej w USA, Game the News stworzył swoją pierwszą grę o przewrotnym tytule „Mortal Kombat”, symulującą debatę

online, w której gracz obierał rolę Mitta Romneya lub Baracka Obamy. Dzięki temu niezdecydowani wyborcy mogli stwierdzić, czy poglądy łatwiej przechodzą im przez gardło i dzięki temu zagłosować zgodnie z własnym sumieniem. Najnowszym hitem firmy jest jednak wspomniana już „Endgame: Syria”. Jej produkcja zajęła zespołowi Game the News 11 dni. Jest dostępna za darmo online oraz do ściągnięcia na wszystkie urządzenia przenośne z literką „i” na początku oraz smartfony z systemem Android. Gra jest aktualizowana co dwa tygodnie i wzbogacana o nowe wątki wojny i dialogu pomiędzy rebeliantami a siłami rządowymi. Gracz jako dowódca powstańców dokonuje wyborów – akceptuje pokój za wszelką cenę, traci honor i zostaje uznany przez towarzyszy za zdrajcę. Gdy podejmuje walkę, naraża na śmierć tysiące swoich ludzi. Może też wypróbować różne scenariusze i przekonać się, jak trudne jest prowadzenie realnej polityki. Ostatecznie zakończenie napisze życie.

Całkiem poważna gra

– Kiedyś produkowałem jedną grę, i proces ten zajął mi rok. Wszystko, co się w niej znajdowało, było przestarzałe, i z każdym dniem traciło na wartości – mówi „Przekrojowi” Tomasz Rawlings, dyrektor kreatywny GameTheNews.net. – Dziś produkujemy kilka gier równocześnie, proces ten nigdy się nie kończy. Produkty są wciąż dostosowywane do rzeczywistości, a nowe pomysły pojawiają się po obejrzeniu wiadomości. Moim długofalowym celem jest wypuszczanie jednej gry dziennie, która będzie dotyczyła newsów. Niekoniecznie tych, o których mówi cały świat, ale takich, które są ważne w pewnym regionie. Przy globalizacji nawet małe wydarzenie może mieć ogromne skutki – uważa Rawlings.

Krytycy przekuwania newsów w gry zarzucają im zbyt upraszczanie tematów. No bo jak strzelanie do nosorożców wyjaśnia przyczyny istnienia

kłusowników, a proste technicznie gry wojenne tłumaczą wielowarstwowość przyczyn konfliktów wewnętrznych? Takie pytania zadaje Matt Hill, zastępca redaktora naczelnego brytyjskiego magazynu o gadżetach „T3”. – Łatwo jest robić gry o wydarzeniach neutralnych, jak sport czy pogoda. Jednak gdy mówimy o polityce międzynarodowej i konfliktach na świecie, ciężko jest napisać coś porywającego i dokładnego w krótkim czasie – uważa Hill.

Gier newsowych broni Rawlings. – One nie zastąpią podręczników do historii czy kanałów informacyjnych, ale działają jak bodziec zachęcający do ich przyswojenia, wgrzyzenia się w problem. Dziś większość osób tylko czyta nagłówki i patrzy na zdjęcia. Złożoność problemu znika nam z oczu. Gdy w coś gramy, angażujemy emocje i w ten sposób śledzimy rozwój tematu. Chcemy sprawdzić, czy w swoich przewidywaniach byliśmy mądrzejsi niż politycy, albo o co dokładnie chodzi z tą dziurą ozonową, skoro tak ładnie wygląda na zdjęciu – tłumaczy Rawlings.

Jego opinię podziela Nate Lanxon, redaktor portalu o trendach i technologiach Wired.co.uk. – Gra może zilustrować wydarzenia i decyzje, które zapadły, zanim doszło do czegoś, o czym

Gry newsowe nie zastąpią podręczników czy wiadomości TV, ale działają jak bodziec zachęcający do ich przyswojenia.

czytamy na żółtym pasku. Błędem jest myślenie, że gra oznacza uproszczenie tematu. W telewizji programy satyryczne stanowią ważne źródło wiadomości o świecie. Całkiem poważny produkt również może skierować uwagę na istotny temat, pokazać jego bogactwo i złożoność – uważa Lanxon.

Obecnie Rawlings z zespołem pracują nad grą o wojnach narkotykowych w Afryce Południowej. – Jako pierwsi przywracamy powagę grom o wojnach. Oprócz dostarczenia czystej rozrywki również informujemy – podsumowuje swoje działania producent z Game the News.

Edutainment

Dzięki współpracy pomiędzy Archiwum Federalnym (Bundesarchiv) i niemiecką wersją Wikimedia Commons tysiące zdjęć i ilustracji stały się dostępne dla internautów. Wolny dostęp do świadectw epoki wykorzystali Marcus Bösch und Linda Kruse, którzy za naszą za-

chodnią granicą budują konkurencję dla Brytyjczyków. Oboje są absolwentami studiów w Instytucie Badań i Rozwoju Gier Cologne Game Lab na Uniwersytecie w Kolonii. Byli dziennikarz i graficzka komputerowa na początku tego roku założyli studio The Good Evil. Pierwszym ich projektem jest „CC Play-” (ccplay.de), która zabiera nas w podróż po ważnych, ale i całkiem zwyczajnych wydarzeniach z historii Niemiec XX w. Gracz ma za zadanie ułożyć zdjęcia robite na puzzle. The Good Evil w przyszłości ma zamiar specjalizować się w produkcji gier związanych ze współczesnością, na to jednak potrzebuje sponsora. – Nasze działania to edutainment, czyli nauka połączona z rozrywką. Gdyby nie wysokie opłaty za dostęp do najnowszych zdjęć, robilibyśmy gry o wydarzeniach ostatnich kilku tygodni. To jest naszym celem – mówi Linda Kruse.

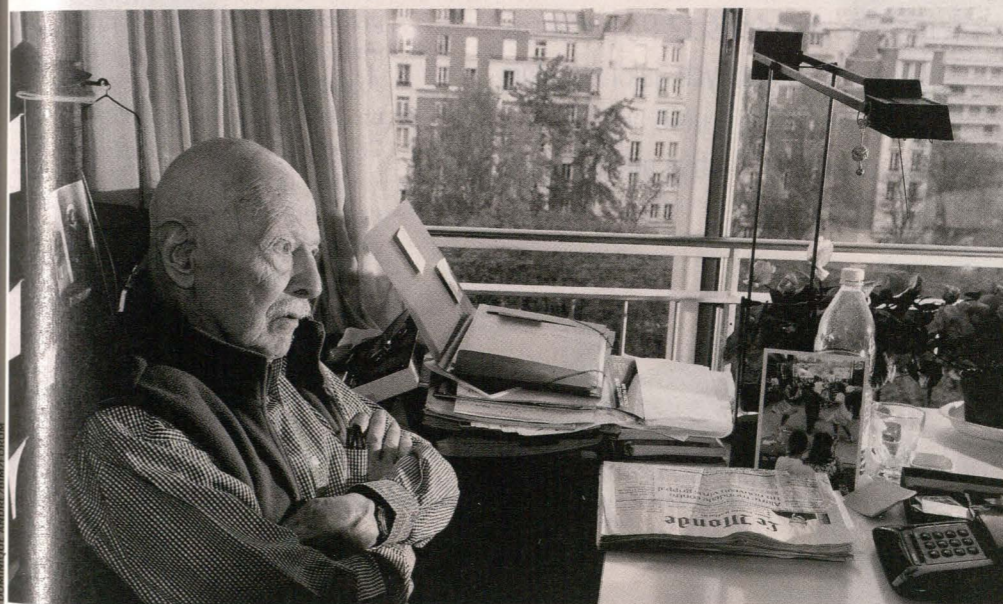
Uproszczoną wersją gry w newsa są testy sprawdzające wiedzę o wydarzeniach bieżących dostępne na stronach internetowych różnych mediów tradycyjnych, np. amerykańskiego magazynu „Slate” (raz w tygodniu) czy „New York Timesa” (codziennie), gdzie możemy przetestować i uzupełnić wiadomości ze świata polityki i gospodarki.

„Endgame Syria” pozwala wczuć się w to, jak zachowują się walczący z reżimem rebelianci. Gra jest aktualizowana i wzbogacana o nowe wątki co dwa tygodnie.

KUBA DĄBROWSKI

Nagość w Prowansji

Willy Ronis. O tym, że nie warto zamykać się w jednym gatunku i że dobrze mieć aparat w zasięgu ręki.



dokumentuje strajki, uliczne protesty i życie klasy robotniczej w dochodzącym do siebie po wojnie Paryżu. Jego zdjęcia są bardzo życzliwe, pokazują jasne strony trudnych czasów, drobne przyjemności zwykłych dni. Brudne ulice przedmieść (głównie Belleville), a na nich uśmiechnięty chłopiec z bagnetką czy skąpany w świetle zadymionny bar. Widać, że bohaterowie zdjęć wiodą skromne życie, ale jest w tych kadrach radość i godność uchwyconych postaci.

I nagle, niespodziewanie, w tym precyzyjnie skonstruowanym układzie pojawia się zrobiony ot tak, z czysto estetycznej potrzeby akt żony. „Cuda się zdarzają. Wiem, bo jednego doświadczyłem” – mówi Ronis. Po konsultacjach z żoną fotograf wrzuca zdjęcie do agencji. Ku jego zdziwieniu „Prowansalski akt”, bo tak zatytułowane zostaje zdjęcie, publikują redakcje na całym świecie. Kadr staje się symbolem prostego, pięknego życia poza miejską cywilizacją. Od tego czasu Ronis prowadzi dwie równoległe kariery – człowieka, który zrobił „to” zdjęcie, i społecznie zaangażowanego reportera. Akt prowadzi go do fotografii mody, zaczyna publikować między innymi w „Vogue'u”. Gaśnie też jego awersja do sztuki współczesnej – w 1957 r. wystawia się na biennale w Wenecji.

Willy Ronis (1910–2009) sfotografował „Prowansalski akt” w 1949 r. Modelką była jego żona, malarka Marie-Anne Lansiaux (1910–1991).

Kuba Dąbrowski co tydzień pisze o rzeczach, które mogłyby być uznane za sztukę, ale są też częścią codzienności. O zdjęciach, plakatach, reklamach, okładkach książek i płyt, logotypach.



WANDA MODZELEWSKA

Lanie wody wyszło z mody

W 2013 r. ceny za wodę i odprowadzanie ścieków w polskich miastach wzrosną średnio o kilka procent. **Jak szukać oszczędności?** Po pierwsze, nie brakuje produktów i rozwiązań, zarówno profesjonalnych, jak i zupełnie amatorskich, które pomagają w oszczędzaniu wody. Po drugie, warto przeanalizować swoje codzienne nawyki i upodobania, bo być może w nich kryje się sekret wysokich rachunków.

Designerzy już od dawna zmagają się z tematem oszczędzania wody. I choć powstają nowe formy produktów, kilka zasad racjonalnego wykorzystania wody jest niezmiennych. Po pierwsze, warto sięgnąć po wodę, za którą nie trzeba płacić, czyli po deszczówkę. Zwłaszcza wtedy, gdy jesteśmy posiadaczami ogrodu czy działki, zbieranie wody deszczowej jest dobrym pomysłem. Jednak czasy żardzewiałej beczki lub wanny ustawionej pod rynną odchodzą w przeszłość. Holenderski designer Bas van der Veer już swoją pracę dyplomową poświęcił tematowi gromadzenia deszczówki, a stworzony wówczas koncept rozwinął w projekt Raindrop produkowany przez holenderską firmę Elho. Przypominająca kształtem ogromną kroplę „narośli” na rynnę u góry ma miejsce na konewkę, a u dołu kranik ułatwiający jej napełnianie.



Zbiornik na deszczówkę Raindrop, proj. Bas van der Veer, prod. Elho.

du, mycia samochodu. Na dużą skalę można to robić np. przy wykorzystaniu systemu Pontos AquaCycle. Zebrana z wyżej wymienionych źródeł woda jest oczyszczana dzięki opatentowanemu mechaniczno-biologicznemu procesowi i dezynfekowana promieniami UV.

Zautomatyzowany, zamknięty system odzyskiwania wody nie wymaga dużego zaangażowania ze strony użytkownika i nie jest zależny od warunków pogodowych. Z systemu Pontos mogą korzystać bloki mieszkalne, apartamentowce, domy studenckie, baseny i ośrodki spa, hotele, kluby sportowe – jest dostępny w kilku rozmiarach. Klasycznym przykładem recyklingu wody jest W+W, czyli toaleta zintegrowana z umywalką. Woda po myciu rąk trafia do rezerwuaru toalety. Całość jest zamknięta w estetycznej, monolitycznej formie zaprojektowanej przez Roca Innovation Lab we współpracy z Gabriele i Oscarem Burattini. To rozwiązanie również jest już oficjalnie dostępnym na rynku produktem. Co ciekawe, pomysłowi polscy majsterkowicze (www.spryciarze.pl), opierając się na tej samej zasadzie, potrafią skonstruować toaletę zintegrowaną z umywalką, korzystając z deski, lejki, stalowej miski, baterii i kawałka węża. Recykling wody na małą skalę to np. wykorzystanie do podlewania domowych kwiatów wody po gotowaniu jajek lub myciu warzyw czy wody z akwarium.

Dla tych, którzy nie mają jeszcze spłuczki z funkcją eko, sposobem na oszczędności może być „utopienie” plastikowej butelki wypełnionej wodą w rezerwarze toalety. Rezerwar zmniejsza dzięki temu swoją pojemność, a my, korzystając ze spłuczki, zużywamy za każdym razem mniej wody. Można się uśmiechać z powodu „łopatologiczności” tej metody, ale z drugiej strony, gdy czytamy, że woda spuszczana w toalecie to nawet 30 proc. cieczy zużywanej w naszym domu, warty przemyślenia. Ten sposób reprezentuje trzecią metodę, czyli próbę, by wykonanie tych samych czynności pochłonęło mniej wody. Tu sposobów może być bardzo wiele: minutnik odmierzający długość prysznica i alarmujący, kiedy przekroczymy czas, zmywanie w misce, a nie pod bieżącą wodą, zakręcanie kranu podczas mycia zębów i płukanie ich wodą ze szklanki, a nie z kranu. Nie da się jednak ukryć, że zmiana nawyków przychodzi nam czasem z trudem



Umywalka zintegrowana ze spłuczką W+W, proj. Roca Innovation Lab, Gabriele i Oscar Buratti, prod. Roca. Po lewej: umywalka Poor Little Fish, proj. Yan Lu, projekt koncepcyjny.

Recykling wody na małą skalę to np. wykorzystanie do podlewania domowych kwiatów wody po gotowaniu jajek lub myciu warzyw czy wody z akwarium.



i warto ją wspomóc chociażby odpowiednim sprzętem AGD czy armaturą. Przy wyborze pralki i zmywarki warto pytać o urządzenia o niskim poborze wody, kupując wannę, zdecydować się na tę odpowiednio wyprofilowaną. Duże oszczędności może nam też przynieść odpowiednia armatura, wyposażona w perlatory, termostaty, regulatory strumienia wody, ograniczniki poboru wody gorącej. Perlatory napowietrzają wodę, wskutek czego płynie jej z kranu nawet do kilkudziesięciu procent mniej. Termostat eliminuje tzw. spuszczenie wody do osiągnięcia odpowiedniej temperatury – od razu możemy rozpoczynać kąpiel pod natryskiem. Ograniczniki poboru gorącej wody zmniejszą zużycie tej najdroższej, dodatkowo podgrzanej, a regulatory strumienia, podobnie jak perlatory, zmniejszają objętość wody w stru-



Lejek Petal Drops do założenia na standardową butelkę, proj. Pieter Laga, do kupienia na stronie www.quirky.com.

mieniu. Kosztowną jak na możliwości przeciętego gospodarstwa domowego inwestycją w oszczędność wody jest zakup baterii z elektronicznym czujnikiem ruchu – takiej, jakie stosuje się powszechnie w dużych publicznych toaletach. Jednak tego rodzaju produkty stają się coraz bardziej dostępne, więc trzeba trzymać rękę na pulsie. W tym bogactwie rozwiązań rodzi się jednak pytanie, jak rozpoznać te najbardziej oszczędne baterie. Otóż należy pytać o te posiadające certyfikat WELL (Water Efficiency Label). Ten system, wizualnie do złudzenia przypominający oznaczenia energooszczędności sprzętów AGD, został skodyfikowany przez Europejskie Stowarzyszenie Producentów Armatury. Produkty, które już go uzyskały, znajdują się w sprzedaży również na polskim rynku, warto więc szukać ich w sklepach.

ROZMAWIAJĄ BARTOSIAK & KLINKE

Magdalena Różczka śpiąca na sali rozpraw

Za pierwszą wypłatę Magda kupiła wymarzone spodnie. Pieniądze wypłacił jej Sąd Rejonowy w Nowej Soli, gdzie **pracowała jako protokolantka**. Aktorka opowiada nam też o angażu w drogerii i o mrożącej krew w żyłach przygodzie ze złym Mikołajem. Oto początki kariery gwiazdy kina.

Jak zarobiłaś...

Pierwszy milion?

Zacznijmy od mniejszych nominałów.

Na targu w rodzinnej Nowej Soli. Miałam 16 lat i chciałam zarobić na wakacje. Wstałam o piątej rano, poszłam na targ pod blokiem mojej babci i zapukałam do pierwszej budki, pytając, czy nie szukają pomocy. Od razu mnie przyjęli. Nawet nie gadaliśmy o kasie. Sprzedawałam ciuchy. Ale zabijcie mnie, nie przypomnę sobie, ile zarabiałam. Pewnie jakieś 12 złotych dziennie. Nie było tak źle, bo praca tylko od 5 do 10 rano. A czasem jako bonus dostawałam skarpetki! (śmiech). Stałam tam samiutka. Rano właściciele przywozili towar, a potem odbierali kasę. Dobrze mi szło. Byłam z siebie cholernie zadowolona. Babunia codziennie przychodziła z termosem z kawą i drożdżówką. Życie nie umierać. Kiedyś, kiedy w pobliżu nie było klientów, kucnęłam za budką, żeby zapalić. Do dziś pamiętam, jak sobie pomyślałam: „Ale to życie fajne...”. Podnoszę głowę i widzę twarz babci. Chciałam się zapaść pod ziemię. A ona tylko powiedziała: „Czekam na ciebie z drugiej strony”. Co to był za wstyd! Do dziś ta wtopa śni mi się po nocach.

Nikotynowa trauma spowodowała, że z branży tekstylnej wskoczyłaś w kosmetyczno-chemiczną?

W drogerii dostałam robotę po znajomości, bo jej szefową była koleżanka mojej mamy. Czułam się tam jak w prawdziwym królestwie. „Moje” zaplecze, własny kubek – poważna sprawa. Wszystko, co zarobiłam, wydawałam na kosmetyki. Dla mamy perfumy, dla mnie szampon, dla babci krem...

Jak długo wytrzymałaś w tym sklepie?

Wytrzymałaś?! Tam było super! Wydał mi się, że spędziłam w nim pół życia. A to były tylko cztery miesiące. Później moja koleżanka, która pracowała w sądzie rejonowym, powiedziała, że zwolniło się miejsce protokolantki w Wydziale Gospodarczym i że bym złożyła swoje CV. No to złożyłam. Potem się dowiedziałam, że sędzia, który przeprowadzał selekcję, opowiadał, że przeważał „błysk w oku Różczki” (śmiech). Przyszłam tam z nastawieniem, że zmienię świat. Ryłam w aktach od rana do nocy. Nie interesowały mnie kawka, herbatka, papieroski, imieniny, urodziny...

Pamiętasz jakąś wyjątkową sprawę gospodarczą?

Pamiętam tę, na której parę razy usnęłam. I to nie z nudów. Już wtedy chciałam zdawać do szkoły aktorskiej. W sądzie pracowałam od poniedziałku do piątku, co trzeci weekend studio wałam zaocznie socjologię w Zielonej

Górze, a w pozostałe dni przyjeżdżałam do Warszawy na zajęcia przygotowujące do egzaminów. Przez cały tydzień wstawałam o 5 rano. W piątek wracałam z pracy i skonana kładłam się spać, by po paru godzinach wstać i biec na pociąg nocny do Warszawy. Na początku jeszcze próbowałam walczyć ze snem, bo się bałam. Ale później zabierałam już ze sobą śpiwór i poduszkę. Zawsze szukałam kogoś, kto wyglądał na dobrego obrońcę. Siadałam z nim w przedziale, portfel i telefon chowałam do bojówek, myk do śpiwora i lulu.

Jak wyglądał „dobry obrońca”?

Był zadbanym panem po 60. (śmiech) Zwykle miałam szczęście. Raz tylko przytrafiła mi się nieprzyjemna historia. Trafił chciał, że sama spałam w przedziale. Przewracam się na drugą stronę i widzę... rękę w moim małym, harcerskim plecaczku. Rękę starego, brodatego dziada, jakiegoś złego Mikołaja. Facet przyłożył palec do ust, chrapliwym głosem powiedział: „Ciiiicho, śpij...” i poszedł. Nic nie zabrał.

A co z tą przespaną rozprawą?

Z Warszawy też wracałam nocnymi pociągami. Ładowałam w poniedziałek o czwartej rano w Nowej Soli. Biegałam do domu, brałam prysznic i pędem do pracy. Tamtego razu byłam tak



skonana, że jak tylko przestawałam pisać, to od razu opadała mi głowa i zasypiałam na siedząco. Biedny sędzia to widział i robił do mnie dziwne miny. W przerwie poprosiłam go o zastępstwo. Nie gniewał się, bo wszyscy wiedzieli, że zdaje do szkoły aktorskiej, i trzymali za mnie kciuki. Poznałam tam bardzo fajnych ludzi, którzy naprawdę o mnie dbali. Z niektórymi zresztą mam kontakt do dziś.

Co sobie kupiłaś za pierwszą wypłatę?

Była to najniższa krajowa, która prawie w całości poszła na wymarzone dzwoniaste Levisy. Nie było mojego rozmiaru, więc kupiłam mniejsze. Musiałam je rozpruć i wszyć kawałki sztruksowych klinów. To były świetne spodnie, chodziłam w nich latami. Marzyłam, żeby założyć prawdziwe dzinsy, a nie

wszehobecne, ohydne, obleśne dekatyzy. Drugim moim marzeniem były od zawsze martensy, które kupiłam sobie... niedawno. Założyłam je raz, ale nadal stoją w szafie na honorowym miejscu i są symbolem młodości i wolności.

Jak długo biedowałaś w trakcie tej wolności?

Tylko na początku zarabiałam mało. Potem dostawałam podwyżki, że ho, ho. Mówiłam wam, że o mnie dbali (śmiech). A że nic nie wydawałam, to zawsze uważałam, że mam strasznie dużo pieniędzy i zero potrzeb. Niektórzy o tym wiedzieli i często pożyczali ode mnie spore sumki. Do dziś się to nie zmieniło... W sądzie pracowałam półtora roku. Mam nawet zdjęcia w sędziowskiej todze i z łańcuchem. Jeśli wam je pokażę, to mnie zabiją.

MAGDALENA RÓŻCZKA

W tym roku będzie obchodziła 35. urodziny. Absolwentka Akademii Teatralnej w Warszawie. Nie stroni od seriali (m.in. „Oficer” z 2004 r. i jego kontynuacje, „Czas honoru” – na zdjęciu), występuje w filmach fabularnych, w teatrze, zajmuje się dubbingiem.

Przyjmijmy, że były to aktorskie ćwiczenia przed przyjazdem do stolicy.

Umowa stoi. W Warszawie najpierw chciałam być kelnerką, a potem postanowiłam pracować jako bileterka w teatrze, tylko po to, żeby za darmo oglądać spektakle, podpatrywać wielkich aktorów, a do tego przy okazji nauczyć się wszystkich ról i móc zastąpić w każdej chwili kogoś, kto zachorował (śmiech). Niestety, za pierwszym razem dostałam się na studia i zaczęło mi całkiem niezłe iść.

Też żałujemy. Tak obiecująco zaczynałaś w „Quo Vadis”...

Byłam statystką – kategoria plebs (śmiech). Przez trzy miesiące zarabiałam 40 zł za godzinę. Kupa kasy! Do tego dwie bułki na obiad. Byłam przeschęśliwa. Jakiś czas potem moja ręka zagrała w „Klanie”, ale to już opowieść na inne spotkanie... ☺

JAK ZOSTAĆ ŚWIĘTĄ?



Kociak tygodnia: Patryk, 20 lat, na co dzień uczęszcza do szkoły masażu. Uzależniony od ciężkiej muzyki i tatuaży. Fot. **Sonia Szóstak**



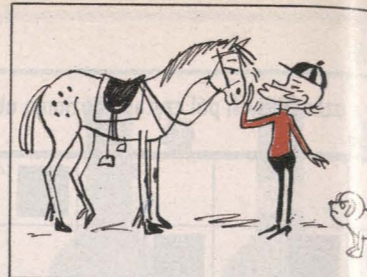
„Gdybym mogła przeżyć od nowa swoje życie, popełniłabym te same błędy, ale dużo wcześniej. Tallulah Bankhead



Szarmantkie ssaki

Czy dama może sama?

Trafiają się czasem dżentelmeni typu ZANADTO. Zrywni, deklaratywni i wylewni aż do przesady. Nadgorliwcy tego rodzaju zaludniają jednak komedie i czytała. W życiu prym wiodą powściągliwcy, którym się zdaje, że czułe wyznania szkodzą, jeśli nie nerwom, to reputacji. Dżentelmen taki wykorzystuje okazję, by się spotkać. Jak okazji nie ma, to ją stwarza. W rozmowie bolduje wszelkie osiągnięcia, tak dokonane, jak i planowane. Bywa nawet, że szasta szarmem, a mimo to leni się w ekspresji i niczego nie deklaruje. Mężka oczekiwania może rozdzwaniać serce, ale nie musi pchać w obłąd. Dama czyni wyznania sama, gdy najdzie ją chęć. Stara się jednak nie otumanić przesadną żarliwością, nie wpadać w trans z pochlebstwami, umyślnie nie nękać dżentelmena romantyczną koncepcją wspólnego istnienia. Gdy po wyznaniu brak aplauzu, a twarz dżentelmena robi się niemrawa albo zatrwożona, dama nie żałuje czynu. Nie myśli, że minęła się z wyborem, tylko że wybór minął się z nią. Żegnaj zuczka bajeranta i wyrusza uregulować swoje szczęście gdzie indziej. → Ula Ryciak



Rozlicz PIT z „Rzeczpospolitą”

Skorzystaj z pomocy ekspertów.

Sprawdzone program „Rozliczenie roczne 2012” pomoże Ci bezbłędnie wypełnić właściwy PIT oraz rozliczyć ulgi.



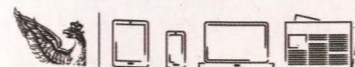
Pobierz program
www.rp.pl/pit
infolinia 801 15 15 15

Wpisz kod: **RZ2012PIT**
a zyskasz **50% rabatu**



Program ROZLICZENIE ROCZNE 2012 zweryfikowany przez spółkę doradztwa podatkowego MDDP Michalik Dłuska Dziedzic i Partnerzy

Partner projektu:



Pobudzamy myślenie RZECZPOSPOLITA

OFF ^{plus &}
camERA
prezentuje

**bierzcie
i kręćcie**

**zbiierz ekipę
i nakręć film**

10



Kamera *OFF* 789/009/P7
Patent nr 745/456 Aleksandra
Rys

Łączna pula
NAGROD:
ponad
100 000 zł

www.bierzcieikreccie.com

nagrody
fundują:

plus
Lider technologii LTE

allegro



SAMSUNG

patroni
medialni:

RMF

Classic

**PRZE
KROJ**

onet.

tvn